Nr indeksu 36762PL ISSN 0472-5042

Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 13 (1617) ROK XXXII 26 MARCA 1989 ROKU CENA 80 ZŁ

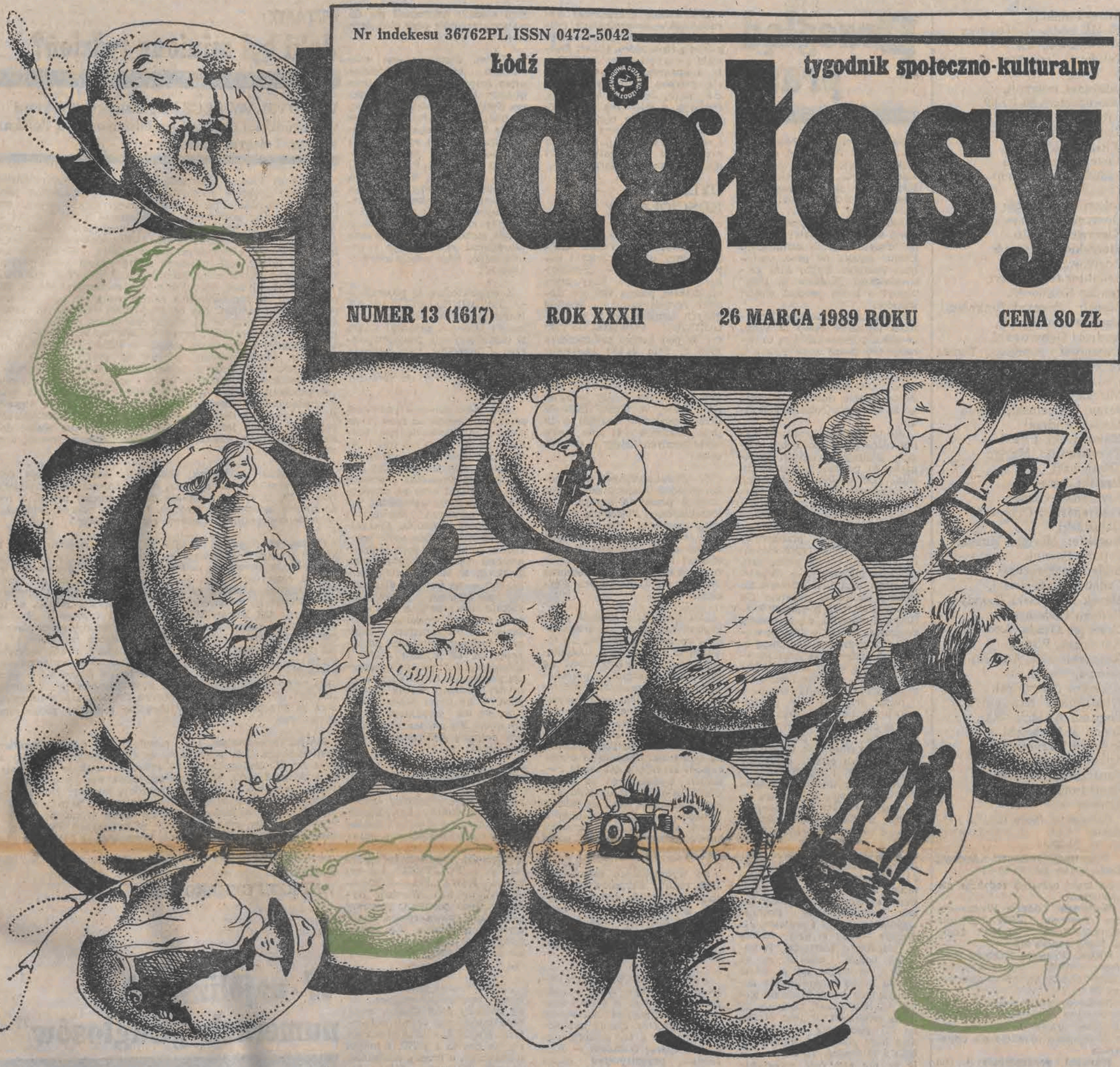

Rys. Dariusz Romanowicz

„Jeśli nie ma zmartwychwstania, to i Chrystus nie zmartwychwstał. A jeśli Chrystus nie zmartwychwstał, daremne jest nasze nauczanie, próżna jest także nasza wiara".

Paweł z Tarsu

„Syn Boży został ukrzyżowany — nie wstydzę się tego właśnie dlatego, że to wstyd przynosi. Syn Boży umarł — jest to godne wiary dlatego, że jest niedorzeczne. Pogrzebany zmartwychwstał — to jest pewne, ponieważ jest niemożliwe".

Tertulian z Kartaginy

Czy Jezus był w Indiach?

EDMUND LEWANDOWSKI

Pod tym tytułem opublikowaliśmy w ubiegłym roku („Odgłosy", nr 38, s. 13) fragment broszury „Why Islam" wydanej przez Islam International Publications w Londynie. Jest to oficyna muzułmańskiego Ruchu Al Ahmadia, który powstał w 1889 roku w północno-zachodnich Indiach.

Autorzy broszury wysunęli szokującą dla chrześcijan tezę, że Jezus z Nazaretu nie umarł na krzyżu, lecz stracił tylko przytomność. A później udał się w długą podróż do Afganistanu i Kaszmiru, gdzie znajdowały się resztki zaginionych plemion izraelskich. Na ślady jego działalności można podobno trafić w Ghazni, Jalalabadzie i Murree. W ostatniej miejscowości zmarła i została pochowana Maryja. Natomiast Jezus umarł około 112 roku w Śrinagar. Do dziś istnieje jego grób w Roza Bal przy ulicy Khanyar.

Jakie dowody mają świadczyć o tym, że Jezus przeżył ukrzyżowanie. W książce „Why Islam?" przedstawiono aż jedenaście argumentów.

1. Jezus wisiał na krzyżu zaledwie trzy godziny. Było to zbyt krótko, żeby umrzeć. W wielu przypadkach ukrzyżowani żyli trzy dni i dłużej.

2. Poncjusz Piłat zdziwił się, że Jezus tak wcześnie skonał (Mk 15,44). A przecież miał on doświadczenie w podobnych sprawach.

3. W celu przyśpieszenia zgonu obu łotrom połamano kości; a Jezusa oszczędzono, żeby mogło spełnić się proroctwo (J 19, 31--36).

4. Kiedy jeden z żołnierzy przebił włócznią bok Jezusowi, natychmiast wypłynęła krew i woda (J 19, 34). Oznacza to, że skazaniec był żywy.

5. Pod wpływem swej żony Piłat nie chciał skazać Jezusa (Mt 27, 19-24). Celowo przedłużał rozprawę, żeby ukrzyżowanie nastąpiło na krótko przed rozpoczęciem szabatu. Wiedział bowiem, że zgodnie z żydowskim zwyczajem w szabat ciała nie mogą pozostawać na krzyżu (J 19, 31).

6. Józef z Arymatei szybko zjawił się u Piłata i od razu uzyskał zgodę na zabranie ciała Jezusa (J 19, 38).

7. Kapłani i faryzeusze nie mieli pewności, czy Jezus naprawdę umarł. Dlatego zwrócili się do Piłata, żeby zabezpieczył grób (Mt 27, 62-64).

8. Jezus opuścił grób w przebraniu. Maria Magdalena myślała, że to jakiś ogrodnik (J 20, 14-15). A potem tylko wybrani ludzie mogli go ujrzeć (Dz 10, 40-41). Z grupą najbliższych uczniów potajemnie spotkał się w Galilei (Mt 28, 16) — daleko od Jerozolimy, gdzie groziło mu powtórne aresztowanie.

9. Jezus zapowiadał, że spędzi w ziemi trzy dni, podobnie jak Jonasz we wnętrznościach wielkiej ryby (Mt 12, 40). Miał to być ważny znak. Ale przecież prorok przebywał tam żywy, a nie martwy (Jon 2, 1-2).

10. Bezpośrednio przed aresztowaniem Jezus modlił się, żeby nie musiał cierpieć. Wyraźnie bał się i nie chciał umrzeć (Mt 26, 39-42). Na krzyżu miał nawet żal do Boga, że go opuścił (Mt 27, 46).

11. Jezus mówił, że został posłany do tych, którzy poginęli z ojczyzny Żydów (Mt 15, 24), że przyszedł ich szukać i zbawić. Z biblijnych dwunastu plemion od dawna brakowało dziesięciu. Przebywały gdzieś na Wschodzie. Jezus postanowił odnaleźć swych rodaków i również wśród nich głosić swą naukę.

Po tajnym spotkaniu w Galilei wyruszył w daleką podróż. Udał się na północ do Aleppo i Nisibin, a następnie przekroczył Tygrys, przeszedł przez centralną Persję i dotarł do Afganistanu. Tu oraz w Kaszmirze przebywały resztki zaginionych plemion, o czym świadczą badania historyczne, etnograficzne i lingwistyczne.

Początek diaspory Żydów

W jakich okolicznościach, kiedy i gdzie zaginęły plemiona izraelskie? Otóż stało się to w drugiej połowie VIII wieku przed naszą erą. Istniały wtedy dwa konkurujące i zwalczające się państwa żydowskie: Izrael ze stolicą w Samarii oraz Judea ze stolicą w Jerozolimie. W skład pierwszego wchodziło dziesięć plemion (Efraim, Manasses, Neftali, Ruben, Gad, Dan, Symeon, Issachar, Aser, Zabulon), a drugie królestwo tworzyły plemiona Judy i Beniamina. Państwo izraelskie liczyło około 800 tys. osób, a judzkie około 200 tysięcy.

Żydom zagrażała wówczas ekspansywna Asyria. W latach 745—727 potęgę tego imperium budował Tiglatpilesar III. Utworzył nowy aparat państwowy, zreformował system administracyjny i przystąpił do podboju okolicznych terytoriów. W serii wypraw wojennych pobił Aramejczyków, Chaldejczyków, Urartyjczyków.

Wobec groźnego wyzwania królowie Izraela i Damaszku stworzyli koalicję antyasyryjską. Przystąpiły do niej Tyr, Sydon, Gaza, Filistia, Edom i królowa Arabów. Natomiast stanowczo odmówił udziału władca Judy. A ponieważ usiłowano go wciągnąć siłą, poprosił o pomoc Tiglatpilesara III.

Król asyryjski niezwłocznie interweniował i rozbił koalicję. W 734 roku p.n.e. opanował Izrael, z wyjątkiem stolicy Samarii, a ludność uprowadził do niewoli. Trzynaście lat później upadła również Samaria. Jej mieszkańców stopniowo przesiedlono do Górnej

Adres redakcji:
90-113 Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.
Telefony: redaktor naczelny 36 52-44,
sekretarz redakcji,
fotoreporter: 36-80-99,
publicyści: 36-77-70, 32 89 70
Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.
Zastępca redaktora naczelnego: Edmund Lewandowski.
Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.
Kierownik działu literackiego: Henryk Pustkowski.
Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.
Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Andrzej Gębarowski, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Zofia Kędziora, Marek Koprowski, Mirosław Kuliś, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski, Marian Zdrojewski.
Grafik: Janusz Szymański-Glanc.
Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.
Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.
Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Marek Brzeziński (Londyn), Bohdan Gadomski, Grzegorz Gazda, Andrzej Karolczak, Witold Kasperkiewicz, Andrzej Kempa, Wasyl Kocznow (Iwanowo), Włodzimierz Krzemiński, Bogumił A. Makowski, Zenon J. Michalski, Ryszard Nakonieczny, Adam Ochocki, Jerzy Panasewicz, Dariusz Romanowicz, Maciej Świerkocki

Ogłoszenia: Biuro Reklam i Ogłoszeń Łódź ul. Sienkiewicza 3/5 tel 32-59-11.

Organizacja reklamy: **Andrzej Bartosiewicz** tel 36-80-99

Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa-Książka-Ruch" 91-103 Łódź. ul. Sienkiewicza 3/5.

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch". Łódź. ul. Armii Czerwonej 28

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada

Warunki prenumeraty: 1. Dla instytucji i zakładów pracy — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach, w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. 2. Dla indywidualnych prenumeratorów — osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa Książka Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonuje się używając blankietu „wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa Książka Ruch" 3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa Książka Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 23 00-958 Warszawa konto PKO BP XV Oddział w Warszawie nr 1658 201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca — poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam. 744 D-10

Przegląd prasy

Najpopularniejszą aktorką zagraniczną w Polsce jest niezbyt piękna ani szczególnie utalentowana Lucella Santos (Izaura i Virginia) — pisze w magazynie „GAZETY POZNAŃSKIEJ" nr 59) Zdzisław Beryt. Z danych Ośrodka Badania Opinii Publicznej wynika, że serial produkcji brazylijskiej „W kamiennym kręgu" ogląda 68 proc. dorosłych Polaków. Tylko film czechosłowacki „Kobieta za ladą" zdobył o jeden procent więcej widzów.

Najchętniej oglądają brazylijski tasiemiec osoby w wieku 50—59 lat. Przeważnie są to kobiety (76 proc.) oraz ludzie z wykształceniem podstawowym i niepełnym podstawowym (70 proc.). Oni przyznają serialowi ocenę bardzo dobrą i uważają go za wzór dla Polskiej Telewizji.

Nie ulega wątpliwości, że mamy różne gusty, potrzeby, interesy, poglądy, postawy. Społeczeństwo polskie jest zróżnicowane pod wieloma względami. Socjologowie wyodrębniają cztery orientacje polityczne. W połowie 1988 r. zwolennicy panującego ładu stanowili 20 proc. dorosłej ludności, przeciwnicy — 16 proc., osoby reprezentujące centrum — 37 proc., tzw. milcząca mniejszość — 26 proc. W ciągu ostatnich czterech lat osłabło społeczne poparcie dla przeciwstawnych biegunów konfliktu, a umocniła się orientacja centrowa. Należy o tym pamiętać, aby zachować tolerancję opartą o uznane partnerstwo — pisze w tygodniku „KULTURA" (nr 10) prof. dr Gebethner z Uniwersytetu Warszawskiego.

Autor artykułu jest programowo niezależny i bezpartyjny. Bierze udział w pracach zespołu do spraw reform politycznych „okrągłego stołu". Na uwagę zasługują jego oceny dotyczące „Solidarności" i PZPR.

„Jednym z ważkich elementów utrudniających — wręcz uniemożliwiających — porozumienie w 1981 r. było bezpodstawne twierdzenie «Solidarności» i jej przywódców, że reprezentują całe społeczeństwo. «Solidarność» liczyła formalnie ok. 10 milionów. To było jednak mniej niż połowa całego dorosłego społeczeństwa. Członkowie «Solidarności» tworzyli wspólnotę negacji i protestu. Jednakże — jak to dziś wiemy — wspólnotę nietrwałą. Z naszych badań wynika, że od 1985 r. utrwaliła się w miarę trwała liczba respondentów deklarujących swoją lojalność wobec «Solidarności». Oscyluje ona w granicach 20 proc. Można na tej podstawie określić, że dziś bazę społeczną stanowi około 5 milionów. To dużo — ale to nie jest całe społeczeństwo i nie jego większość.

Z kolei spisywanie PZPR na straty jest wielkim błędem w postrzeganiu polskiej współczesnej rzeczywistości. Z badań naszych wynika, że PZPR ma za sobą bazę społeczną gdzieś w granicach 30 proc. W badaniu przeprowadzonym na przełomie 1987 r. i 1988 r. jedna trzecia respondentów popierała przewodnią rolę PZPR (a w tym nawet 11 proc. chciało wzmocnienia tej roli). Natomiast jedna trzecia chciałaby jej pomniejszenia (20,6 proc.) lub radykalnego zredukowania (12,9 proc.). Zaś dla jednej trzeciej (myślę, że głównie to «milcząca mniejszość») jest to sprawa obojętna.

Po 40 latach PZPR — jako partia hegemoniczna w systemie politycznym — tkwi mocno w strukturach rządzenia i zarządzania. Sprowadzenie jej tylko do syndykatu władzy, broniącego egoistycznie swoich interesów jest błędem. PZPR ma swoje oparcie w bazie społecznej. Prawdopodobnie linia X Plenum bazę tę powiększy — zwłaszcza rekrutująco się z orientacji centrum i milczącej mniejszości. Może utraci coś ze swych fundamentalistów — z grona tych 11 proc. domagających się dalszego umocnienia przewodniej roli. Myślę jednak, że w ogólnym bilansie zyska więcej — sama zresztą się zmieniając".

Zmiany dokonują się obecnie w całym naszym życiu społecznym. Powstają nowe instytucje gospodarcze, polityczne, kulturalne. Mówi się już o powołaniu senatu i urzędu prezydenta. Ta ostatnia instytucja nie ma jednak w Polsce dobrej tradycji. Hieronim Orzeszek przypomina w tygodniku „SPRAWY I LUDZIE" (nr 10) znamienne fakty:

„Pierwszego prezydenta: Narutowicza — zamordowano, drugiego: Wojciechowskiego — wygnano z Belwederu, trzeci: Mościcki — uciekł przez Zaleszczyki, a czwarty: Bierut — okazał się «polskim Stalinem». Zostawcie więc, koledzy sojusznicy, tradycję, a jeśli tak kochacie Prezydenta — to niech będzie. Ja się, całkiem szczerz mówiąc, i na Króla zgodzę, a nawet na prawdziwie demokratycznego i pluralistycznego Cesarza".

DYLEMATY KOŚCIOŁA

W latach osiemdziesiątych ukształtował się w Polsce trójbiegunowy układ władzy i autorytetu: Kościół — „Solidarność" — państwo. Przy czym największą potęgą stał się Kościół rzymskokatolicki. Według danych zamieszczonych w „TYGODNIKU POWSZECHNYM" (nr 2) pod koniec października 1988 r. było 24 076 kapłanów (18 053 diecezjalnych i 6 023 zakonnych), w seminariach duchownych kształciło się 8 867 alumnów, nowych księży wyświęcono 1 149. W latach 1980—88 liczba kapłanów wzrosła o 19 proc., alumnów o 41 proc., nowo wyświęconych księży o 82 procent.

W pluralistycznych i demokratycznych krajach zachodnich Kościół przeżywa kryzys, a w socjalistycznej Polsce ma znakomitą kondycję. Nie wiadomo więc, czy proces demokratyzacji będzie służył Kościołowi polskiemu? Na paradoks ten zwraca uwagę w miesięczniku „WIĘŹ" (nr 1) Kazimierz Wóycicki.

„Na Zachodzie Kościół przegrywał nie tylko z urbanizacją i uprzemysłowieniem, ale również z demokracją. Absolutyzm religii i wiary kłócił się tam nazbyt często z pluralizmem i pragmatyzmem demokracji. Czym bowiem innym wyjaśnić paradoksalną sytuację odradzania się wiary pod władzą komunistów, a słabnięcia jej tam, gdzie istnieje pełna swoboda wyznania? Pytanie to brzmi czasem szokująco dla wielu Polaków wyznających na równi wiarę katolicką z ideałami demokratycznymi, staje się jednak w istocie pytaniem naczelnym z chwilą otwarcia się szerszych politycznych możliwości przed polską demokracją".

Po wydarzeniach marcowych 1968 roku i sierpniowych 1980 roku do Kościoła demonstracyjnie garnęli się intelektualiści. Część z nich jest dziś rozczarowana i wycofuje się z tej współpracy. Kazimierz Wóycicki pisze:

„Intelektualiści polscy, nie różniąc się w tym wiele od np. francuskich, byli w swojej większości tradycyjnie nastawieni antyklerykalnie. Znana jest głośna opinia z lat sześćdziesiątych o sporze Gomułka — Wyszyński, przypisywana części tych kręgów, iż najlepiej się do tych spraw nie wtrącać, jest to bowiem spór dwóch ciemnogrodów. Środowiska intelektualne zaczęły jednak, szczególnie od roku 1968, kiedy to Kościół wystąpił przeciw antysemickiej kampanii części aparatu władzy, spostrzegać, że religia jest jedyną poważną przeciwwagą dla monopolistycznych dążeń we władzy. (...)

Zmiana klimatu, która na Zachodzie doprowadziła do postmodernistycznego fermentu, w Polsce popchnęła intelektualistów ku religii. Znaleźli się, czasem ku swemu własnemu zaskoczeniu, w Kościele. I w tym momencie zaczęły się też trudności. To, co z zewnątrz jako instytucja duchowa wyglądało tak atrakcyjnie, teraz poznawane jako instytucja również ziemska, odsłaniało swoje braki. Obie strony przyczyniały się do tego, iż rodziły się nieporozumienia i rozczarowania. Intelektualiści, którzy do Kościoła tak demonstracyjnie często wkroczyli, zaczęli po cichu tylnymi drzwiami Kościół opuszczać".

W ostatnich latach pojawiły się symptomy kryzysu religijności. Przede wszystkim spadła żarliwość studentów. Trudności przeżywa duszpasterstwo akademickie. Ale i tak jest znacznie lepiej niż było na początku lat siedemdziesiątych.

ZNAMIENNA RÓŻNICA ZDAŃ

O pozycji Kościoła w Polsce świadczy wypowiedź księdza Alojzego Orszulika na łamach „PRZEGLĄDU KATOLICKIEGO" (nr 11). Dyrektor Biura Prasowego Episkopatu jest przekonany, że Kościół w decydującym stopniu przyczynił się do podjęcia rozmów przy okrągłym stole.

„Takim dramatycznym momentem były zamiejscowane przez księdza arcybiskupa Bronisława Dąbrowskiego, sekretarza Episkopatu Polski, rozmowy w budynkach parafii w Wilanowie 17—18 listopada ubiegłego roku. Bez tych rozmów prawdopodobnie nie byłoby pierwszego etapu X Plenum KC PZPR. A potem, bez drugich rozmów kościelno-państwowych, na samym początku tego roku, nie byłoby — jak się mówi — drugiej części tego plenum z takim stanowiskiem w sprawie pluralizmu związkowego i politycznego, jakie wtedy sformułowano".

Z wypowiedzią tą polemizuje w „TRYBUNIE LUDU" (nr 62) Marek Jaworski. Uważa on, że ksiądz Orszulik przebrał miarę w charakteryzacji pewnych zdarzeń i przecenił rolę Kościoła w przygotowaniu obrad „okrągłego stołu". Pisze między innymi:

„Nie mam zamiaru podważać poważnego znaczenia rozmów na plebanii w Wilanowie, tym bardziej, że nie znam ich treści. Ale każdy człowiek o zdrowych zmysłach czytając powyższe słowa księdza Orszulika z pewnością przecierał oczy ze zdumienia. Arcybiskup Dąbrowski, jako siła sprawcza kierunku i treści obrad Komitetu Centralnego partii?! Można sobie wyobrazić, że przebieg tych rozmów umocnił wolę zdecydowanego działania w kierownictwie partii, lecz — na Boga — działania te były logiczną konsekwencją kilkuletnich przemian zachodzących w partii, doskonale widocznych w dokumentach i zapisach dyskusji partyjnych poczynając od IX Zjazdu PZPR i szczególnie łatwych do odczytania poczynając od VI Plenum obecnej kadencji władz partyjnych. O ile wiem hierarchowie Kościoła nic wspólnego z tym nie mieli. Nie oni wszak wymyślili politykę porozumienia narodowego".

CASUS RSW

Niektórzy uczestnicy obrad „okrągłego stołu" krytykowali nasz koncern prasowy. Postulowano rozbicie RSW na kilka niezależnych wydawnictw. W sprawie tej wypowiedział się na łamach „POLITYKI" (nr 10) prezes RSW „Prasa-Książka-Ruch", dr hab. Wiesław Rydygier. Jego zdaniem, powinny decydować prawa rynku, a nie czynniki polityczne. Nie można wracać do praktyk, które większość społeczeństwa dziś odrzuca.

„Niechże więc powstają nowe pisma, nowe wydawnictwa, nowe zakłady poligraficzne, nowe organizacje czy formy kolportażu. Więcej konkurencji przyda się na pewno i RSW, i innym wydawcom, a przede wszystkim naszym odbiorcom, którzy będą mieli bogatsze możliwości wyboru. (...)

Nie mam żadnych oporów ideologicznych. Z drukarni RSW wychodzi przecież „Tygodnik Powszechny", „Gość Niedzielny", „Posłaniec Serca Jezusowego" i wiele innych pism katolickich. Jeśli po legalizacji „Solidarności" zwróci się ona do RSW o druk swego tygodnika, będziemy dla niego szukać miejsca w naszych drukarniach, z tym, że nie mamy takiej możliwości w Warszawie. I nic tu nie ma do rzeczy, że są drukarnie zbudowane z naszych własnych środków, a nie z dotacji budżetowych".

KTO NAPISAŁ „CICHY DON"?

Na koniec ciekawostka. W miesięczniku „ODRA" (nr 2) opublikowano ciekawą rozmowę z Josifem Brodskim. Twierdzi on, że Michaił Szołochow niezasłużenie otrzymał Nagrodę Nobla, bo prawdziwym autorem „Cichego Donu" był ktoś inny.

„Czyli Kriukow albo ktokolwiek to był, ale nie Szołochow. A w ogóle sądzę, że otrzymał ją wtedy Patoliczew, minister handlu zagranicznego, który umieścił w Szwecji wielomilionowe zamówienia na budowę statków".

E. L.

PYTAMY:

Jaki był miniony tydzień?

WŁADYSŁAW OLCZAK, zastępca dyrektora wojewódzkiej dyrekcji przedsiębiorstwa Polska Poczta, Telegraf i Telefon

— Był to tydzień pod znakiem strajku. W poniedziałek stanęła część urzędów pocztowych, ale nie wyłoniono jeszcze — przynajmniej oficjalnie — reprezentacji strajkujących, więc nie mieliśmy z kim rozmawiać. Nawiązaliśmy z nią kontakt dopiero we wtorek, gdy były już nieczynne wszystkie łódzkie poczty, aż do wieczora. Tego dnia o godz. 17.45 podpisaliśmy z wojewódzkim komitetem strajkowym porozumienie. Strajk na szczęście był więc krótki, jeśli miałbym dodać jeszcze jeden przymiotnik, to użyłbym słowa: niepotrzebny. Od początku wiadomo było, że nie możemy dać więcej, niż było założone w planie. Mówiliśmy o tym na spotkaniach z załogą, odbytych na krótko przed rozpoczęciem strajku. Nie do wszystkich zapewne to dotarło, nie wszyscy uwierzyli, że na więcej nie możemy sobie pozwolić. Na postawy wpłynęła też , przypuszczam, ogólna sytuacja: przykład warszawskiej poczty oraz strajki w łódzkich zakładach, a zwłaszcza w „Marchlewskim". Myślę, że stąd właśnie wzięła się żądana kwota 30 tys. zł podwyżki. Być może, niepokój załogi spowodowany też został w części przeprowadzaną od niedawna reorganizacją mającą na celu pełną samodzielność finansową przedsiębiorstwa. Reorganizacja łączy się zawsze z niepewnością. W tym wypadku dotyczyć ona raczej powinna administracji, której część (około jedna trzecia) przesunięta ma zostać do służb eksploatacyjnych. Plotka, jak wiadomo, zawsze jednak wyolbrzymia te sprawy.

Przechodząc do kwestii płacowych: załoga zyskała dokładnie tyle, ile zyskać i tak musiała. Konkretnie: 29 922 zł podwyżki, w tym 15 200 zł średniej dopłaty do zasadniczej pensji, a resztę — do innych składników zarobku, m.in. do nagród jubileuszowych, odpraw emerytalnych i premii regulaminowej.

Odpowiem teraz na drugie pytanie: co stracili na strajku klienci poczty. Po pierwsze — nastąpiły opóźnienia w doręczaniu przesyłek, a zwłaszcza, nad czym szczególnie ubolewam, w doręczaniu emerytur i rent. Po drugie — listonosze nie dostarczają już prasy do mieszkań w mieście. Prenumeratorzy muszą ją sobie odbierać na poczcie lub w kiosku. Myślę, jednak, że nie możemy tego tak zostawić. Jest faktem, iż umowa z „Ruchem" na dostarczanie prenumeraty jest zła: za każdy egzemplarz gazety otrzymywaliśmy zaledwie 3,75 zł. Listonosz nie dostaje z tego ani grosza. Sytuację może jedynie zmienić nowa, korzystniejsza umowa z „Ruchem", która jest w Warszawie negocjowana. Jeśli nie dojdzie ona do skutku, trzeba będzie pomyśleć o czymś innym — na przykład o umowie z wydawnictwami, z pominięciem „Ruchu". W każdym razie , obecną sytuację z prenumeratą uważam za przejściową. Nie wyobrażam sobie, by mogło to trwać zbyt długo.

Strajk, co oczywiste, nie rozwiązał też naszych problemów z zatrudnieniem. Dla przykładu, w Obwodowym Urzędzie Pocztowym nr 11, obsługującym 87 rejonów, brakuje do pełnej obsady etatów 13 osób. Niby nie tak dużo, ale proszę wziąć pod uwagę, że u nas w większości pracują kobiety. Do tej trzynastki należy więc dodać 30 osób na zwolnieniach, a to już daje prawie połowę stanu osobowego... Widzę tylko jedną drogę: wypracowywać większy zysk, aby były w przyszłości środki na wyższe zarobki. Strajki jednak tego nie wymuszą.

Notował:
ANDRZEJ GĘBAROWSKI

W najbliższych numerach „Odgłosów"

— Jan Duch musiał nauczyć się angielskiego. Codziennie przychodził na dziewiątą rano do college'u. W klasie znajdowało się około dwudziestu osób. Tadzio, pan Stefan i pani Marcia to byli rodacy. Oprócz nich trzech Jugosłowian, paru Chińczyków, matka i syn z Bułgarii, przystojna Węgierka i kilku Greków, reszta z Ameryki Południowej. Nauka zaczynała się punktualnie i trwała do trzeciej po południu. Obecność była sprawdzana. Rząd kanadyjski płacił bowiem za naukę jak za pracę. Co tydzień kursanci dostawali czeki w wysokości przeciętnej płacy kanadyjskiej. Z tego mieli pokryć koszty mieszkania i wszystkie inne. Byli już na swoim — kolejny odcinek książki ANDRZEJA BRYCHTA „Azyl polityczny".

— Kiedy wojska niemieckie zbliżyły się do Kaukazu, Stalin polecił oczyścić tyły swojej armii z niepewnych elementów. W ciągu jednego dnia wywieziono Czeczenów i Inguszy do północnego Kazachstanu. Ponoć nikomu nie udało się ujść w góry. A były to narody bitne, dorodne, ceniące honor nade wszystko. Przybyli do nas gdzieś w kwietniu. Umierali na wiosnę, latem, jesienią. Zima dokonała reszty. Z kilkudziesięciu rodzin nie pozostała ani jedna — wspomnienia EUGENIUSZA IWANICKIEGO.

— Pamiętam brawa, jakimi sala przywitała wejście przywódców partii i rządu. Potem zaczęłam się nudzić i powiedziałam do generała Bałdanowa, obok którego siedziałam, że pójdę wręczyć kwiaty Stalinowi. I poszłam — wspomnienia ENGIELSINY MARKIZOWEJ.

— Podobno w Łomży jest jeszcze gorzej. Ale efekty łódzkiego budownictwa to już nie jest wynik słaby. To po prostu mizeria. Wykonano 74 proc. planu, co w klasyfikacji województw dało nam 48 miejsce — artykuł ZBIGNIEWA GRZEGORZEWSKIEGO pt. „Gdzie są klucze do nowego mieszkania?".

Uczestnik podzespołu „Okrągłego stołu" opowiada o tym, jak to się odbywa.

Stawka na intelekt

Rozmowa z MARKIEM BARTOSIKIEM — dyrektorem Instytutu Aparatów Elektrycznych PŁ, członkiem KC PZPR, uczestnikiem rozmów „Okrągłego stołu" w podzespole do spraw oświaty, szkolnictwa wyższego, nauki i postępu technicznego.

— Stół jest okrągły, ale siedzą przy nim różne strony. Ile jest tych stron?

— W zasadzie trzy: koalicyjno-rządowa, opozycyjno-solidarnościowa i społeczna reprezentowana przez OPZZ i Związek Nauczycielstwa Polskiego. Partnerzy z tej strony reprezentowali poglądy czysto związkowe, czyli interesy ludzi pracy.

— Zakres tematyczny, jaki przypadł temu podzespołowi był bardzo szeroki Czy to nie utrudniało pracy?

— Owszem. Dużo czasu poświęciliśmy najpierw problemom oświaty i przez to trzeba było dalszą dyskusję podzielić na 4 bloki, stworzyć zespoły redakcyjne, które pracowały nad poszczególnymi stanowiskami zespołów. Zespół redakcyjny do spraw nauki, w którym uczestniczyłem pracował tak precyzyjnie, że zgłaszanie poprawek na końcowym posiedzeniu zespołu trwało niespełna 4 minuty.

— Niektórzy mówią z przekąsem, że jest to porozumienie elit. Czy tak było rzeczywiście?

— Wszystko zależy od definicji elity. Gdyby przyjąć takie pojęcie, było to porozumienie elit fachowców.

— A młodzież? Czy była reprezentowana? Przecież problematyka dotycząca wyższych uczelni obejmuje ją przede wszystkim.

— Problemy młodzieży omawiano przy innym stoliku. U nas przedstawiciele studentów byli po stronie koalicyjno-rządowej i po stronie opozycyjno-solidarnościowej. Ta strona wystąpiła na przykład z wnioskiem, aby na uczelni organa samorządu studenckiego były wyłącznym decydentem finansów, jakie są przeznaczone na cele studenckie. Pogląd ten nie znalazł uznania u strony koalicyjno-rządowej, która stanęła na stanowisku, że pluralizm obowiązuje obie strony. Nie można zatem wyłączyć innych organizacji studenckich z udziału w decydowaniu o pieniądzach przeznaczonych na studencką działalność. Nam chodziło o to, aby zapewnić podmiotowość tym organizacjom, które już istnieją i tym, które mogą powstać.

— Być może wystąpiły rozbieżności w pojmowaniu pojęcia: pluralizm.

— Prezentowano różne poglądy. Ja tępię i będę tępił następujący sposób myślenia: — co to jest totalitaryzm? — To jest system, w którym monopolistyczne rządy sprawuje partia. Co to jest pluralizm? — To jest system, w którym monopolistyczne rządy będzie sprawowała opozycja. To przecież nie ma nic wspólnego z pluralizmem. Pluralizm niesie ze sobą wielopodmiotowość polityczną. Trzeba zatem myśleć nie tylko o tych trzech stronach, które siedziały przy naszym stole, ale o znacznie większym bogactwie podmiotów politycznych, jakie mogą się objawić za rok, dwa, pięć lat oprócz obecnej opozycji mniejszościowej. I w kontekście takich warunków politycznych trzeba widzieć system edukacji narodowej. Wartością nadrzędną tego systemu musi być interes narodu, jego przyszłość.

— W końcu to nic nowego.

— Zacznijmy może od tego, że potrzebę reform dostrzeżono dużo wcześniej niż ustawiono „Okrągły stół". Rozpoczęto też różne prace zmierzające do zreformowania oświaty i szkolnictwa wyższego, a również nauki. Potrzeb reform nikt nie kwestionował. Cel był wspólny.

— Jakie zatem były różnice?

— Różnice wynikały z oceny istniejącego stanu oraz metod, jakimi chce się podźwignąć system edukacji narodowej i nauki. To był przedmiot dyskusji.

Powszechnie wiadomo, jaka jest rola inteligencji, nauki i postępu technicznego w procesie wychodzenia z kryzysu. Jeśli tak, to trzeba inaczej patrzeć na metody dławienia inflacji i uzdrawiania gospodarki. To nie może odbywać się kosztem nauki i edukacji. Wręcz przeciwnie, niezbędne są wzmożone świadczenia na potrzeby oświaty, szkolnictwa wyższego i nauki, aby móc kształcić dla przyszłości. I to nie było kwestionowane. Dyskutowano jedynie, jak to osiągnąć, jakimi sposobami?

Różnica poglądów między stroną koalicyjno-rządową a opozycyjno-solidarnościową polegała między innymi na odmiennym widzeniu filozofii sprawowania władzy, zarządzania poszczególnymi dziedzinami systemu edukacji narodowej i nauki.

— Na czym to polega?

— Sposób widzenia naszej rzeczywistości przez stronę opozycyjno-solidarnościową ukształtował się w okresie centralizmu, kiedy dominował system nakazowo-rozdzielczy. Te uwarunkowania spowodowały skazę w widzeniu wielu spraw. Strona opozycyjno-solidarnościowa widzi sposób na poprawę obecnej sytuacji w swoistej hiperdemokracji, w której każda mikrospołeczność ma się sama rządzić, wybierać sobie szefów i to bez żadnych ograniczeń. Tymczasem, moim zdaniem suma małych głupstw nie musi oznaczać zbiorowej mądrości. Ludzie są różni. Nie można naiwnie zakładać, że na przykład słaba rada pedagogiczna wybierze mądrego dyrektora, który zacznie realizować program podnoszenia wiedzy, podniesie wymagania i tak dalej. A jaka jest gwarancja, że słaba rada pedagogiczna — w obronie swojej wygodnej pozycji — nie odwoła dobrego dyrektora?

Trzeba uważać, abyśmy zamiast demokracji rzeczywistej, rozumianej jako uświadomiona konieczność, nie zafundowali sobie systemu, w którym dominować będzie wygodnictwo i minimalizm. Aby tak nie było, potrzebny jest racjonalnie funkcjonujący mechanizm wyłaniania najlepszych kadr kierowniczych: obiektywny, konkursowy, oparty wyłącznie na merytorycznych kwalifikacjach kandydatów, wykluczający subiektywizm tych gremiów wybierających i grupowe interesy.

Droga do rozwiązania tego problemu nie prowadzi ani przez nadmierny centralizm pozbawiony społecznej kontroli, ani przez hiperdemokrację ubezwłasnowalniającą kadrę kierowniczą. Poza tym zarządzanie — to nie mogą być rządy zbiorowości, bo nie do przyjęcia jest zasada zbiorowej odpowiedzialności. Nie na tym polega demokracja. Dyrektor, kierownik, zarządzający musi mieć prawo do samodzielnego podejmowania decyzji i odpowiada za nie.

— Łatwo dochodziliście do wspólnych punktów widzenia?

— Nie. Spory były ostre. Ale liczyły się przede wszystkim i wyłącznie argumenty. Być może ktoś odbierze to jako użycie zbyt wielkich słów, ale prawda była taka, że dominowało poczucie odpowiedzialności za podejmowane decyzje i uzgodnienia. Po obu stronach w wyniku tych sporów i zderzania racji i argumentów zmieniał się sposób myślenia, kształtowało się inne widzenie świata. Sądzę, że było to kształcące nie tylko dla strony koalicyjno-rządowej, ale i dla opozycyjno-solidarnościowej. Przecież za to, co dziś postanawia się przy „Okrągłym stole", kilka lat temu wyrzucano i z partii, i z „Solidarności".

— Punkty wyjścia były bardzo rozbieżne?

— O tak. Na przykład wielokrotnie pojawiło się w dyskusjach stwierdzenie, że wszystko, co było do tej pory nie liczy się, nie istniało. Co oczywiście jest nieprawdą. Ale pod wpływem argumentów zbliżały się punkty widzenia. Na przykład strona opozycyjno-solidarnościowa chciała powrotu do ustawy z 1982 roku o szkolnictwie wyższym, gdzie organa kolegialne uczelni miały słynny skład 1/3 —1/3—1/3. Po dyskusji uzgodniono, że w senacie wyższych uczelni 66 proc. powinni stanowić profesorowie i docenci. To dobrze, że nasz pogląd, iż o istocie akademii mają decydować akademicy w końcu okazał się wspólny. Uzgodniono dalej, że należy przyspieszyć prace nad nową ustawą o szkolnictwie wyższym w poszerzonym składzie Komisji Kodyfikacyjnej przy Radzie Głównej Nauki i Szkolnictwa Wyższego. Natomiast nie było żadnych powodów, aby przebudowywać system pracy nad nową ustawą, bo jest demokratyczny, dobry i nie kwestionowała go żadna ze stron.

— Co postanowiono w sprawie oświaty?

— Były próby odideologizowania i odpolitycznienia oświaty. Postulaty w tej sprawie wysuwano w formie niebywale kategorycznej, co było reakcją na uwarunkowania lat minionych. Ale przecież nigdzie na świecie nie ma szkoły apolitycznej i bezideowej. Problem polega raczej na systemie wartości, w oparciu o które działa szkoła. Uzgodniono, że w Polsce takim kanonem wartości ideowych i politycznych będzie Konstytucja i Powszechna Deklaracja Praw Człowieka.

W moim przekonaniu państwo nie może być pozbawione wpływu na system oświaty. Państwo bowiem utrzymuje szkoły oraz określa podstawowe cele kształcenia i wychowania. Nie ma więc powodu, aby zrywać więzi pomiędzy państwem a szkolnictwem. Budujemy przecież nowe państwo, nowy system sprawowania władzy. Trzeba reformować je dalej. Dla takiego państwa, do którego wspólnie dążymy, system edukacji narodowej musi sprawnie pracować, byśmy nie zatrzymali się w rozwoju.

— System edukacji narodowej powinien dysponować właściwą bazą materialną. Inaczej również nie będzie rozwoju.

— Zespół nasz stanął na stanowisku, że nakłady na oświatę powinny wynosić co najmniej 7 procent dochodu narodowego podzielonego. Powinno to być również wykorzystane dla właściwego uposażenia nauczycieli.

Zespół uznał także, że środki budżetowe dla szkolnictwa wyższego powinny wynosić w najbliższych latach około 3 procent dochodu narodowego podzielonego.

Nakłady na inwestycje w szkolnictwie wyższym wynosiły do tej pory 0,5 procent ogólnych nakładów na inwestycje. Ministerstwo Edukacji Narodowej poczyni starania, aby w najbliższych latach wzrosły one do 1,5 procenta.

Nakłady finansowe na badania naukowe w sferze „B+R" (badania i rozwój) — bez kosztów wdrożeń — powinny w 1990 roku wynieść nie mniej niż 3 procent, a pod koniec lat dziewięćdziesiątych 4 procent dochodu narodowego. Przy tym nakłady finansowe na badania poznawcze powinny wynosić co najmniej 18 procent kwot przeznaczonych dla sfery „B+R".

— Takie rozwiązania nie są niczym nowym. Od dawna już je postulowano, ale można je było zaliczyć tylko do pobożnych życzeń.

— Niestety tak, to dosyć stare postulaty. Na przykład 7 procent dochodu narodowego przeznaczonego na oświatę nie wzięło się z niczego, gdyż jest to wielkość określona przez uchwały IX Zjazdu PZPR. Był to postulat mający zagwarantować perspektywiczny rozwój oświaty. Ale nigdy nie osiągnięto tej wielkości. Bez pieniędzy nie ma i nie będzie rozwoju oświaty. Wszyscy się z tym zgodzili. Ma to dziś jednak inny wymiar i sens polityczny.

— Podział dochodu narodowego akceptowany był przez Sejm PRL. Dlaczego posłowie, wśród których byli nauczyciele, naukowcy i działacze oświatowi godzili się na taki stan rzeczy?

— Bo u nas ciągle jeszcze panuje kult łopaty zamiast kultu intelektu. Trzeba wreszcie zerwać z kultem łopaty i zacząć tworzyć kult intelektu. Ta prawda powinna dotrzeć do tych, którzy sprawują nie tyle rząd dusz, co rząd kas. Wreszcie musi powstać lobby proedukacyjne. Być może pod naciskiem tego lobby zaczniemy w Polsce stawiać na intelekt.

— Ale jak ci od łopaty tupną nogą, to ci od rządu kas przestraszą się i wszystko będzie po staremu.

— Może tak być. Jaką bowiem siłę ma strajk studentów przy strajku górników? Ale myślę, że siła przebicia środowisk związanych z edukacją też się zwiększyła. Bierze się ona z przeświadczenia, że jeśli i władza, i społeczeństwo nie zrozumieją, że trzeba stawiać na rozwój, to znaczy kształcić zdolności myślenia, to popełnimy kolejny błąd historyczny. W naszym zespole tę świadomość miały wszystkie strony.

— A czy zdołacie się z tym poglądem przebić do dużego „Okrągłego stołu"?

— Mamy taką nadzieję, bo to jest wielka szansa na wyjście z kryzysu, której nie wolno utracić. Niedostrzeganie tego jest najgorszym rodzajem ślepoty politycznej.

— Jakie są gwarancje, że wasze propozycje i koncepcje zostaną zrealizowane i powiodą się?

— Widzę trzy takie gwarancje. Pierwsza — to system ekonomiczny wymuszający u ludzi dużą efektywność ich pracy oraz na tyle logiczny, aby ludziom dobrze się pracowało i ich praca była właściwie wykorzystana. Druga — to taki system prawny, który gwarantuje rozwój ekonomiczny i zapotrzebowanie na twórczą myśl. Trzecia — to ludzie, którzy wszystko to będą realizowali, ludzie o wysokich kwalifikacjach, zaangażowani, odpowiedzialni.

— A jakie są zagrożenia?

— Cztery „acje".

— Co to takiego?

— Stalinizacja, anarchizacja, faszyzacja, chomeinizacja. Wszystkie możliwe i wszystkie groźne. Fundamentalistów, którzy chcieliby bronić okopów Świętej Trójcy jest wielu, po każdej ze stron. Oni chętnie wróciliby do totalitaryzmu ze swoim znakiem na czele.

Trzeba zatem zwalczać wszelkie skrajności, wszelkie przejawy fundamentalizmu, gdyż niesie on z sobą nietolerancję, brak zrozumienia i szacunku dla innych poglądów niż moje.

Reformy trzeba robić w sposób światły. Zbyt rewolucyjne zmiany niosą z sobą niebezpieczeństwo destabilizacji, a ich skutki mogą dać negatywne rezultaty. Reformy w Polsce nie zaczęły się przecież od „Okrągłego stołu".

— I na „Okrągłym stole" się nie skończy. Co dalej?

— Myśmy zrobili swoje. Teraz do głosu musi dojść nowy parlament. Zapowiada się, że wybory będą już niedługo. Do nowego parlamentu — miejmy nadzieję — wejdą ludzie z różnych ugrupowań politycznych. Wejdą w myśl porozumienia jakie zawarli przy „Okrągłym stole". To powinno ich zobowiązywać do realizowania takiego programu reform, jak wspólnie ustalono. Jeśli temu nie sprostają, to przeciw nim wyłoni się nieuchronnie nowa opozycja. Takie są prawa społecznego rozwoju.

Rozmawiała:
BOGDA MADEJ

Z tej ziemi

Nie cierpię świąt, ale...

1.

OCZYWIŚCIE! POLSKA PIECHOTA przed wrześniem 1939 roku nosiła GRANATOWE otoki na czapce i GRANATOWE wyłogi na kołnierzach z ŻÓŁTĄ wypustką. Fioletowe otoki i wyłogi nosił Korpus Kapelanów. Rację ma mgr **Zdzisław Siech** ze **Zgierza**, który szybko zareagował na mój błąd, zakładając jednocześnie, że pewnie korzystałem z bardzo dobrej książki „Wojsko Polskie 1939—1945 Barwa i broń". Korzystałem z tej książki i zbytnio zaufałem drukarzom ze „Slovartu" w Czechosłowacji, gdzie była drukowana, którzy zamiast granatu położyli coś, co jako żywo przypomina fiolet.

Muszę przypomnieć więc, że granatowe otoki na czapkach nosili żołnierze piechoty, szkół podchorążych piechoty, Korpus Kapelmistrzów, żołnierze Korpusu Ochrony Pogranicza i ułani 19 pułku Ułanów Wołyńskich im. gen. Edmunda Różyckiego. I żeby nie było nieporozumień, to żołnierze KOP nosili czapki okrągłe z zieloną wypustką wokół denka, a ułani wołyńscy nosili na kołnierzach biało-granatowe proporce.

Skąd się wzięła pomyłka — wyjaśniłem. Całkiem więc niesłusznie posądza mnie **Jan Bojko z Łańcuta** o jakieś niecne machinacje, które nie bardzo wiadomo czemu miałyby służyć.

Wszystkich Czytelników serdecznie przepraszam za fatalną pomyłkę, a tym, którzy na nią zareagowali bardzo dziękuję. Jeśli będą jeszcze jakieś listy w tej sprawie z przyjemnością je pokwituję, chociaż to wcale nie jest przyjemnie przyznawać się do błędu. Cieszy mnie zainteresowanie naszą przeszłością, a to liczy się najwięcej. Jeszcze raz dziękuję i przepraszam!

2.

Rady narodowe powołały przy szkołach wyższych rady społeczne i przypadło mi w udziale uczestnictwo w pracach **Rady Społecznej Wyższych Szkół Artystycznych.** Radzie tej przewodniczy **Wiesław Jażdżyński.** Na jej pierwszym — inauguracyjnym — posiedzeniu przedstawił bogaty i interesujący program działania, w myśl którego Rada Społeczna miałaby przyjść z faktyczną pomocą studentom. Bo to o nich powinno głównie chodzić.

Był to zarys właściwie programu, próba przedstawienia problemów, którymi Rada Społeczna powinna się zająć. Jest to druga kadencja Rady Społecznej Wyższych Szkół Artystycznych i nie bez powodu **Ryszard Stanisławski** — dyrektor Muzeum Sztuki — zapytał zebranych: **— co myśmy właściwie zrobili do tej pory?** Sam sobie na to pytanie odpowiedział: **— nic!** Ale nie zgodził się z nim **Rajmund Ambroziak** — dyrektor Teatru Muzycznego w Łodzi, który powiedział, że owszem coś zrobiliśmy i to złego, bo pomogliśmy zlikwidować Galerię Anny Wesołowskiej przy ul. Piotrkowskiej i zamiast niej powstał klub straszący brudnymi szybami.

Sytuacja szkolnictwa wyższego nie jest najlepsza, a już artystycznego szczególnie zła. Wyższe uczelnie muzyczne, plastyczne, teatralne i filmowo-telewizyjne kształcą w Polsce około 8 000 studentów, z których co roku 1 300 zostaje magistrami i rozpoczyna samodzielne życie artystyczne. Pozostali muszą doskonalić swoje udolnienia w odpowiednich warunkach. Ale warunki są najczęściej najmniej odpowiednie. Nic więc dziwnego, że członkowie Rady Społecznej z dużą troską zastanawiali się nad tym, co mogą zrobić. **Zenon Płoszaj** — profesor Akademii Muzycznej w Łodzi — wysunął nawet zastrzeżenie, czy w składzie takiej Rady Społecznej nie powinni zasiadać przedstawiciele wielkiego przemysłu, którzy w razie potrzeby z czystej miłości do sztuki podeślą jakąś ekipę, podrzucą trochę grosza, albo inaczej pomogą uczelni. Jest to już wspomnienie dawnych czasów. Dziś nie ma takich filantropów, bo każdy liczy skrzętnie grosze. A przemysł dość już zdewastował zabytków architektury, aby miał się przejmować ciężkim losem artystów i ich sztuki.

Jak sobie sami nie poradzimy, to nikt nam nie pomoże. W myśl tej maksymy **Wiesław Jażdżyński** nie bez racji postulował potrzebę prowadzenia szerokiej działalności gospodarczej wyższych uczelni artystycznych. Dziś kto może i gdzie może — zarabia. Nie wiem, jakby to miało wyglądać w przypadku szkół wyższych, ale wiem, że poglądy, iż coś jest niemożliwe powoli odkładamy do lamusa. I im to szybciej i sprawniej zrobimy, tym będzie nam lepiej.

W Łodzi w najtrudniejszej sytuacji jest chyba **Akademia Muzyczna, która** — jak zapewne wiadomo — mieści się w pałacu Maurycego Poznańskiego przy ulicy Gdańskiej. Pałac nadaje się do solidnego i gruntownego remontu. Szkoła otrzymała budynek zastępczy, z którego trzeba użytkowników wyprowadzić, który trzeba do potrzeb szkoły przystosować. I można będzie rozpocząć remont, jeśli znajdzie się wykonawca, materiały, jeśli na czas będą plany i tak dalej. Przeszkód nigdy nie brakuje. Można powiedzieć, że jesteśmy mistrzami w tworzeniu przeszkód, które później zwycięsko pokonujemy.

Akademia Muzyczna potrzebuje też domu studenckiego — korzysta teraz z pomocy PŁ i szkoły filmowej. A co to znaczy dom studencki dla studentów Akademii Muzycznej? To znaczy, że każdy student Akademii Muzycznej musi w domu tym nie tylko spać w spokoju, odpoczywać, ale również... ćwiczyć. I żeby to nie przeszkadzało innym. Dom taki dla studentów Akademii Muzycznej w Łodzi trzeba zbudować. Bagatelka! Łatwo to powiedzieć. Bardzo trudno zrobić. Dowodzi tego choćby taki fakt, że mówi się o tym już od wielu lat i nic. Domu jak nie było, tak nie ma.

Małgorzata Karbowiak („Głos Robotniczy") i wspomniany już **Rajmund Ambroziak** zastanawiali się nad startem młodzieży artystycznej w dorosłą artystyczną przyszłość. Taki start nie jest łatwy. Młodzi artyści muszą pokonać wiele przeszkód. Podstawową jest chyba zdobycie mieszkania. Muszą też poczuć się dobrze w środowisku. Muszą widzieć dla siebie jakąś normalną przyszłość, warunki na odniesienie sukcesu. Jeśli tego nie zobaczą, to najczęściej emigrują. **Rajmund Ambroziak** powiedział wręcz, że my tu, w Polsce, kształcimy dla obcych, dla Zachodu. Z Teatru Muzycznego emigrowało ostatnie dwoje solistów i gdzieś w RFN śpiewają w chórze, ale zarabiają tak, że mogą sobie miesięcznie odłożyć po 800 marek. Jeśli wrócą do Polski, to wrócą jako ludzie dobrze urządzeni. Ależ też ze świadomością, że dorobili się nie w Polsce.

Na artystyczne saksy jeżdżą wszyscy: muzycy, aktorzy, plastycy, filmowcy. Niektórzy na stałe opuszczają Polskę. Inni tu wrócą. Świadomość takiego stanu rzeczy nikogo nie może cieszyć. Przeciwnie. Powinna zmuszać do podejmowania przeciwdziałań. Jakich? Nie wiem. Ale na pewno nie — jak się tego domagał **Rajmund Ambroziak** — mnożenia zakazów. Żądał on wręcz, aby Ministerstwo Kultury i Sztuki wydało zakaz wyjazdu za granicę młodym artystom. Nie wierzę w skuteczność zakazów. Zakazy już były. I nic nie pomogły. Piłkarzom także stworzono zakazy. I co? Uciekają wbrew zakazom.

Nie zakazy są nam więc potrzebne, tylko takie zmiany w życiu kulturalnym Polski, aby nie było potrzeby uciekania za chlebem i sukcesem na Zachód. Zastanówmy się więc, co w tej dziedzinie może zdziałać Rada Społeczna, jakie są jej możliwości?

3.

Przyznaję się. Nie lubię świąt, ale wiem, że muszą być. Różne są sprawy, których nie lubimy, które nam nie leżą, których nie znosimy, które nam ciążą. Ale one są i trzeba się z nimi uporać. A więc przy rodzinnym stole, zamiast narzekać, zastanówmy się przez chwilę, czy nie można byłoby jakoś tak zrobić, żeby te sprawy, które nam przeszkadzają, po prostu usunąć. To się nam musi udać! Tylko, jak się za to wziąć? Pomyślmy!

Życzę spokojnych Świąt!

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

ze str. 1

Mezopotamii. W miejsce deportowanych Żydów sprowadzono ludność z innych rejonów państwa asyryjskiego. W ten sposób Asyryjczycy utrwalali swoje panowanie na podbitych terytoriach. Nie tylko Żydzi musieli opuścić rodzinne strony. Na północnych kresach imperium osiedlono aż 150 tysięcy Chaldejczyków.

O zdobyciu Samarii i przesiedleniach ludności wspomina Biblia. W Drugiej Księdze Królewskiej czytamy:

„Król asyryjski najechał cały kraj, przyszedł pod Samarię i oblegał ją przez trzy lata. W dziewiątym roku Ozeasza król asyryjski zdobył Samarię i zabrał Izraelitów w niewolę do Asyrii, i przesiedlił ich do Chalach, nad Chabor — rzekę Gozanu, i do miast Medów.

Stało się tak, bo Izraelici zgrzeszyli przeciwko Bogu swemu, Jahwe, który ich wyprowadził z Egiptu, spod ręki faraona, króla egipskiego. Czcili oni bogów obcych i naśladowali obyczaje ludów, które Jahwe wypędził przed Izraelitami, oraz królów izraelskich, których wybrali. I wymyślili sobie Izraelici rzeczy przewrotne na przekór Bogu swemu, Jahwe. (...).

Król asyryjski kazał przyjść ludziom z Babilonu, z Kuta, z Awwa, z Chamat i z Sefarwaim, i osiedlił ich w miastach Samarii zamiast Izraelitów. Wzięli więc oni w posiadanie Samarię i osiedlili się w jej miejscowościach" (2 Krl 17, 5-9 i 24).

O dalszym losie wysiedlonych mieszkańców Izraela niewiele wiemy. Wilfrid J. Harrington twierdzi, że w obcym środowisku Żydzi ci zatracili swą tożsamość. Ale trudno w to uwierzyć. Piękna legenda talmudyczna głosi, że zaginione plemiona żyją gdzieś w niedostępnej krainie, którą oddziela od świata burzliwa rzeka Sambation.

Minęły cztery pokolenia i podobne nieszczęścia spadły na mieszkańców Judy. W latach 597, 587 i 582 deportowano jedną trzecią ludności do Babilonu. Przede wszystkim wysiedlono warstwy wyższe. Autor biblijny pisze:

„Chaldejczycy spalili dom królewski oraz domy ludu, mury zaś Jerozolimy zburzyli. Resztę ludu, który pozostał w mieście, i zbiegów, którzy mu się oddali, i pozostałych rzemieślników, Nebuzaradan, dowódca straży przybocznej, uprowadził do niewoli do Babilonu. Natomiast część ubogiej ludności nie posiadającej niczego, pozostawił Nebuzaradan, dowódca straży przybocznej, w ziemi judzkiej: dał im tego dnia winnice i pola" (Jr 39, 8-10).

Niewola babilońska Żydów trwała do 538 roku p.n.e. Uwolnił ich, zezwalając na powrót do ojczyzny, król perski Cyrus II. Ale większość nie chciała opuszczać bogatego Babilonu. Początkowo przybyła do Judy tylko garstka wygnańców. Większą grupę przyprowadził 110 lat później Ezdrasz.

Kolejna fala ludności żydowskiej [illegible] do emigracji w połowie IV wieku p.n.e. Król perski Artakserkes III przesiedlił część mieszkańców Judy aż nad Morze Kaspijskie. Chciał bowiem przeszkodzić odbudowie silnego i nacjonalistycznego państwa.

W czasach Jezusa Żydzi byli rozproszeni w wielu różnych krajach. Pierre Pierrard szacuje, że w Palestynie mieszkało milion Żydów, a w diasporze (głównie w Mezopotamii, Syrii i Egipcie) od 6 do 7 milionów. Bardziej prawdopodobną liczbę podaje chyba jednak Wilfrid J. Harrington. Jego zdaniem, we wszystkich krajach śródziemnomorskich żyło około 4 milionów Żydów.

Czy Jezus był nacjonalistą?

Każdy prześladowany we własnej ojczyźnie Żyd miał więc gdzie się schronić w licznych koloniach na Bliskim Wschodzie. Gdyby rzeczywiście Jezus przeżył ukrzyżowanie, to mógł udać się na emigrację i głosić tam doktrynę ewangeliczną.

Pisałem już kiedyś, że Jezus kierował swoją naukę tylko i wyłącznie do ludności żydowskiej. Wysyłając apostołów mówił, żeby nie szli do pogan i nie wstępowali do miast samarytańskich (Mt 10, 5-6). Zmienił zdanie dopiero wtedy, gdy w Palestynie udało mu się pozyskać niewielką grupę wyznawców (Mt 28,19). Początkowo należało do Kościoła zaledwie 120 osób (Dz 1, 15).

Nie znam żadnych przekonywających dowodów na to, że Jezus zamierzał odnaleźć plemiona wysiedlone przez Asyryjczyków. Na uwagę zasługuje tylko jedno zdarzenie opisane przez ewangelistów Mateusza i Marka. Miało ono miejsce w okolicach Tyru i Sydonu.

Pewna kobieta narodowości kananejskiej (Syrofenicjanka) prosiła, żeby Jezus uzdrowił jej córkę. On jednak zupełnie ją ignorował i nie odezwał się ani słowem. A kiedy apostołowie domagali się, żeby odprawił podążającą za nimi i krzyczącą kobietę, Jezus wypowiedział znamienne słowa:

„Jestem posłany tylko do owiec, które poginęły z domu Izraela" (Mt 15,24).

Gdy nie zrażona tym matka dalej go prosiła o pomoc, została potraktowana dość pogardliwie jako nie-Żydówka. Usłyszała mianowicie: *„Niedobrze jest zabrać chleb dzieciom a rzucić psom"* (Mt 15,26). Na to przytomna kobieta kananejska odparła: *„Tak, Panie, lecz i szczenięta jedzą z okruszyn, które spadają ze stołu ich panów"* (Mt 15,27). I wtedy dopiero Jezus przyszedł jej z pomocą. Cudzoziemka musiała najpierw ukorzyć się i przyznać, że należy do gorszej nacji. Poza tym zaskoczyła go swoją wiarą.

Zupełnie inaczej, co ciekawe, odnosił się Jezus do Samarytan, których Żydzi nie znosili i uważali za odszczepieńców. Podobnie zresztą Samarytanie (potomkowie ludności przesiedlonej przez Asyryjczyków) nienawidzili Żydów. Pewnego razu, przechodząc przez miasteczko Sychar, Jezus zatrzymał się przy studni i rozmawiał z napotkaną kobietą samarytańską. W dodatku wiedział o niej, że miała już pięciu mężów a żyła w konkubinacie z kolejnym mężczyzną (J 4, 6-18). Przy innej okazji Samarytanina dał za przykład miłości bliźniego.

Piłat walczy o życie Jezusa

Po opublikowaniu kontrowersyjnego fragmentu broszury „Why Islam" otrzymaliśmy jeden tylko, ale za to obszerny list od Kazimierza K. z Łodzi. Sprawdził on wszystkie odpowiednie fragmenty ewangelii i oskarżył H. Jamsheera o brak obiektywizmu. Nie zauważył jednak, że H. Jamsheer dokonał tylko przekładu z języka angielskiego. Wszystkie zarzuty należało więc kierować pod adresem autorów książki.

W broszurze „Why Islam?" najbardziej interesująca jest hipoteza, że Piłat celowo ustalił tak termin procesu, żeby Jezus krótko wisiał na krzyżu i mógł przeżyć. Nie ulega zresztą wątpliwości, że prokurator rzymski chciał zwolnić Jezusa. Był przekonany, że oskarżony nie zasługuje na karę śmierci.

Przebieg procesu Jezusa i zachowanie Piłata znamy z czterech ewangelii kanonicznych. Natomiast mało znana jest relacja Nikodema, który mógł być bezpośrednim świadkiem opisanych wydarzeń. Warto więc przytoczyć wybrane fragmenty tego popularnego niegdyś apokryfu.

„Piłat przywołał do siebie Jezusa i mówi doń: «Co oni świadczą przeciw tobie? Nic nie mówisz?» *Rzekł Jezus:* «Jeśliby nie mieli mocy mówienia, nic by nie mówili: każdy bowiem ma moc nad swymi ustami, aby mówić dobrze lub źle. Niech więc oni baczą!»

W odpowiedzi starsi Żydzi mówią do Jezusa: «Na cóż mamy baczyć? Po pierwsze że jesteś zrodzony z cudzołóstwa; po drugie, że twoje narodzenie w Betlejem spowodowało rzeź dzieci; po trzecie, że Józef, twój ojciec, i matka twoja, Maryja, uciekali do Egiptu, ponieważ lud im nie ufał».

Mówią niektórzy z tam stojących bogobojni Żydzi: «My nie mówimy, że jest On zrodzony z cudzołóstwa, lecz wiemy, że Józef był poślubiony Maryi; nie narodził się więc z cudzołóstwa». *Mówi więc Piłat do Żydów, którzy mówili, że jest zrodzony z cudzołóstwa:* «Wasze słowa nie są prawdziwe, ponieważ miały miejsce zaślubiny, jak to stwierdzają wasi współrodacy». *Mówią do Piłata Annasz i Kajfasz:* «My, cały tłum, wołamy, że jest on zrodzony z cudzołóstwa, a wy nie wierzycie, ci natomiast są prozelitami i Jego uczniami». *Przywołał do siebie Piłat Annasza i Kajfasza i rzecze do nich:* «Kto są ci prozelici?» *Mówią mu:* «To są ci, którzy zrodzili się jako dzieci Hellenów, a teraz stali się Żydami». *Mówią ci, którzy twierdzili, że nie narodził się z cudzołóstwa, a więc Łazarz, Asterios, Antoni, Jakub, Amnes, Zeras, Izaak, Fineas, Kryspus, Agrypa i Judasz:* «My nie staliśmy się prozelitami, lecz jesteśmy synami Żydów i mówimy prawdę, bo byliśmy obecni na zaślubinach Józefa z Maryją». (...)

Piłat nakazał, aby wyszedł cały tłum z wyjątkiem dwunastu mężów, którzy mówili, że nie narodził się z cudzołóstwa; kazał także oddalić Jezusa. Mówi do nich Piłat: «Dlaczego oni chcą Go zabić?» *Mówią do Piłata:* «Nienawidzą Go zazdrośni, że uzdrawia w szabat». *Mówi Piłat:* «Za dobry czyn chcą Go zabić?» *Mówią mu:* «Tak».

Pełen gniewu wyszedł Piłat z pretorium i mówił do nich: «Biorę za świadka słońce, że nie znajduję żadnej winy w tym człowieku». *Odpowiedzieli mu Żydzi i rzekli do namiestnika:* «Jeśliby On nie był złoczyńcą, nie wydalibyśmy Go tobie». *Rzecze na to Piłat:* «Weźcie Go wy i osądźcie według waszego prawa». *Rzekli Żydzi do Piłata:* «Nie godzi nam się zabijać kogokolwiek». *Rzekł Piłat:* «Czy tylko wam Bóg zakazał zabijać, a mnie nie?» (...)

Mówi do nich Piłat: «Weźcie Go więc i pomścijcie się na nim, jak wam się podoba». *Mówią Żydzi do Piłata:* «My chcemy, by został ukrzyżowany». *Mówi Piłat:* «Nie zasługuje na ukrzyżowanie».

Gdy namiestnik spojrzał na stojące wokół tłumy Żydów zauważył, że wielu spośród Żydów płacze. I mówi: «Nie cały lud chce, aby został wydany na śmierć». *Mówią starsi żydowscy:* «Dlatego przyszliśmy tu, my, cały lud żydowski, aby On umarł». *Mówi Piłat do Żydów:* «Dlaczego ma umrzeć?» *Mówią Żydzi:* «Bo twierdził, że jest Bogiem i królem»."

Saduceusze i faryzeusze uważali Jezusa za człowieka obłąkanego lub oszusta. Ponieważ zapowiadał, że trzeciego dnia zmartwychwstanie, prosili Piłata o ubezpieczenie grobu. Obawiali się, że ciało Jezusa zostanie wykradzione i wtedy będzie *„Oszustwo gorsze niż pierwsze"* (Mt 27,64).

Wiara religijna a prawda naukowa

Ewangelie zgodnie podają, że Jezus zmartwychwstał, opuścił grób w postaci cielesnej i spotkał się z uczniami. Jest to od początku do dziś podstawowy dogmat chrześcijaństwa. Św. Paweł podkreślał, że gdyby Jezus nie zmartwychwstał, to religia chrześcijańska nie miałaby sensu.

Kościół chrześcijański nie może przyjąć tezy, że Jezus przeżył ukrzyżowanie. Musiałby bowiem odrzucić całą dotychczasową teologię. W tej perspektywie mniej ważne jest, czy Jezus odnalazł zaginione plemiona izraelskie. Nie ma również większego znaczenia fakt, czy dożył aż 120 lat i umarł w indyjskim Kaszmirze.

Natomiast naukowiec musi sprawdzać wszystkie hipotezy. Musi pamiętać, że prawdy naukowe często wydają się paradoksalne.

W omawianej tu sprawie trudno jednak mówić o nauce. Rewelacyjne hipotezy mogą poruszyć wyobraźnię, lecz nie zastąpią dowodów. Poza tym każda religia jest domeną wiary oraz przeżyć, a nie wiedzy i refleksji. Przypomnijmy sobie zdumiewające wyznanie Fiodora Dostojewskiego:

„Gdyby mi ktoś dowiódł, że Chrystus jest poza prawdą, i rzeczywiście byłoby tak, że prawda jest poza Chrystusem, to i tak wolałbym pozostać z Chrystusem, aniżeli z prawdą".

EDMUND LEWANDOWSKI

Czy Jezus był w Indiach?

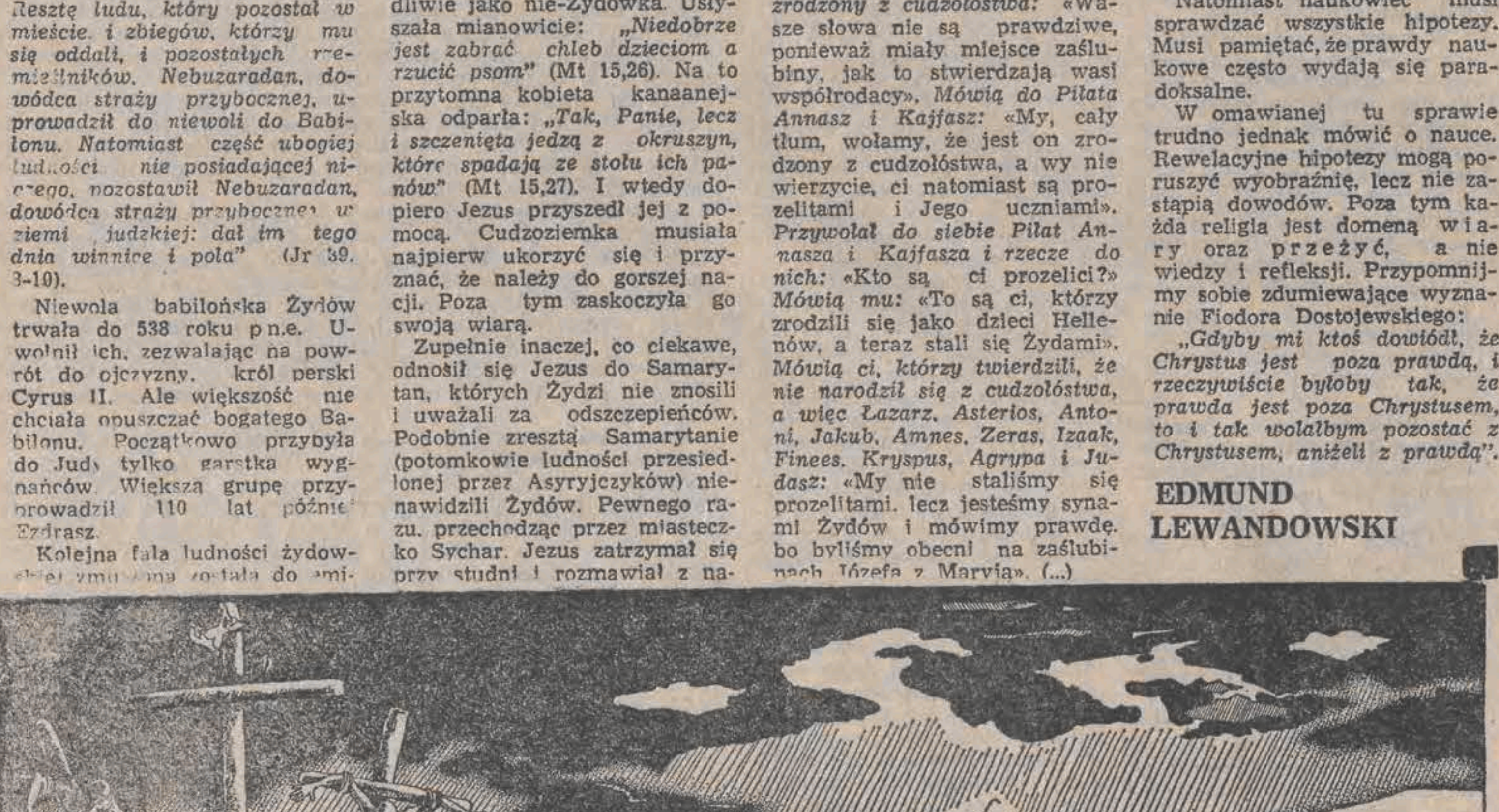

Rys. Dariusz Romanowicz

Pan Stanisław przeżywa najazd dziennikarzy — dopiero co pożegnał reporterów z Francji. Pojechał razem z nimi na zamek w Wiśniczu obejrzeć świeżo odzyskane włości. Nie, wcale nie w charakterze przyszłego lokatora. Ani mu w głowie brać sobie na barki ogromne, nie wykończone zamczysko. Nie ma do tego możliwości, ani ochoty. Liczy się satysfakcja, że własność Lubomirskich nie będzie już dla nikogo „majątkiem opuszczonym lub poniemieckim". Honor rodu, to przecież wartość nie taka znów przebrzmiała. Do niedawna był to właściwie jedyny ich kapitał, nie licząc resztek mebli i obrazów. Po wojnie — jak większość arystokratycznych rodzin — stracili prawie wszystko.

A w ogóle, pan Stanisław jest jak najdalszy od triumfowania. Spełnił obowiązek wobec rodu, to powinno wystarczyć. Kto, tak jak on, doświadczył w swym życiu zmienności fortuny, ten nie przejmuje się zbytnio sprawami własności. Nie może mu też imponować odzyskanie jednego zamku, skoro miał tylu przodków, majętnych w tak wiele zamków, rozsianych po całej Rzeczypospolitej. Dobrze zresztą pamięta, ile mu przyszło za tę ich byłą majętność wycierpieć.

Po tylu wiekach wzlotów i upadków, cóż może być cenniejszego niż spokojny, filozoficzny dystans wobec życia?

Prolog: tradycje rodu i pierwsza tragedia

Ród Lubomirskich jest rozgałęziony. Składał się jeszcze przed wojną z pięciu linii rodowych, z których do dziś przetrwały tylko dwie. Pan Stanisław pochodzi z linii marszałkowskiej, zwanej też dubrownicką — od majątku, pozostawionego we wschodniej Białorusi przed I wojną światową. Ogromny ten majątek, liczący 90 tysięcy hektarów ziemi, ofiarowany został Lubomirskim jeszcze przez Katarzynę Wielką — w zamian za inny, jeszcze większy majątek rodu pod Smoleńskiem, podarowany kochankowi carycy, kniaziowi Potiomkinowi.

W dwudziestoleciu międzywojennym Lubomirscy pozbyli się kolejnego swego majątku i pałacu, w Rajczy na Żywiecczyźnie. Sprzedał go dziadek pana Stanisława, Władysław Lubomirski, kompozytor i hodowca koni (pełnej krwi — naturalnie). Dziadek był człowiekiem z fantazją, pomagał młodym muzykom (m.in. wspierał w początkach kariery Artura Rubinsteina), zakupił nawet za wielkie pieniądze operę w Warszawie, która szybko splajtowała. Nie ma dziś takich ludzi, z taką kosztowną fantazją — pan Stanisław zdaje się mówić to z żalem.

Przed wybuchem wojny z Niemcami w 1939 roku rodzina Lubomirskich posiadała dwa sporej wielkości majątki ziemskie, nie licząc pustego, od dawna remontowanego zamku w Wiśniczu. W Chodorowie pod Lwowem gospodarował stryj, Eugeniusz Lubomirski. Była tam wielka na owe czasy cukrownia. W majątku Kruszyna pod Częstochową, gdzie znajdował się obszerny, klasycystyczny pałac, mieszkali rodzice pana Stanisława, Krystyna i Stefan Lubomirscy. Tam on wychował się, wyrastając powoli z wieku dziecięcego.

Wybuch wojny i zagrożenie ze strony Niemców spowodowały, że rodzice zdecydowali się opuścić Kruszynę. Wyjechali trzema samochodami na wschód, kierując się w stronę majątku stryja. Czyż mogli wtedy przypuszczać, że opuszczają swój pałac na zawsze, że wydarzy się w nim wkrótce okropna tragedia, że zginą wszyscy krewni i służący, co pozostali w Kruszynie?

Stało się to w dniu wkroczenia najeźdźców. Jako pierwsza przybyła szpica motocyklistów, dopiero później, po dwóch godzinach, nadciągnęły główne siły Wehrmachtu. Ci pierwsi zdążyli się tymczasem w pałacu rozgościć; jeden z nich, rozebrany już z munduru, wyjrzał akurat przez okno, strojąc głupie miny. To wystarczyło, żeby z przeciwnej strony padł strzał.

Nic to, że Niemiec zginął z ręki rodaka. Aby uniknąć kłopotliwego dochodzenia, zgoniono całą winę na Polaków. Nie zwlekając, rozstrzelano łącznie 40 osób.

Uciekający Lubomirscy nie mieli o tym pojęcia. Pan Stanisław, który był wtedy 11-letnim chłopcem, zapamiętał z ucieczki do Lwowa wiele szczegółów: chłopskie furmanki, kryte strzechami wsie, zmęczonych ludzi na drogach, upał, kurz, błyszczące w słońcu rozlewiska, rzeki i mosty nad nimi.

Chlubi się fotograficzną pamięcią, i widzi to wszystko bardzo dokładnie. Im jest starszy, tym lepiej te wydarzenia i krajobrazy widzi...

Lwów: dwa szczęśliwe przypadki

We Lwowie i okolicy przebywali przez 9 miesięcy. Przyjechali tam z nadzieją na ratunek, lecz potem myśleli już tylko, by jak najszybciej wyruszyć znów na zachód, najlepiej do Krakowa. We Lwowie, będącym pod kontrolą radziecką, w każdej chwili groziło im aresztowanie.

Dla komunistów byli przecież najgorszymi wrogami ludu, dla Rosjan — białymi obszarnikami z „panskoj Polszy", dla NKWD — potencjalnymi, albo faktycznymi szpiegami, niekoniecznie Rzeszy, możliwe też, że Francji lub Anglii. Jeśli z łatwością udowadniano to własnym, radzieckim wojskowym, to jakiż był problem oskarżyć o szpiegostwo Lubomirskich, którzy przed wojną wiele podróżowali, mieli rozległe, międzynarodowe znajomości? Na razie ratowało ich to, że byli „bieżeńcami" z zachodu. Na jak długo?

Prologiem do tego, co może Lubomirskich spotkać, była wpadka stryja Eugeniusza, który bynajmniej nie zamierzał opuścić Chodorowa. Rychło doczekał się nieprzyjemnej wizyty, by zaraz potem wyruszyć w daleką, wcale nie dobrowolną podróż. Najpierw do Kijowa, na śledztwo, w czasie którego usiłowano go zwerbować do radzieckiego wywiadu, a następnie w stepy Kazachstanu, do łagru.

Oni tymczasem schronili się w samym Lwowie, w pałacu hrabiostwa Bielskich, przepełnionym do ostatka uciekinierami z okolicznych, polskich majątków. Byli jednymi z ostatnich, zagnieździli się przeto na samej górze pałacu, w maleńkim, służbowym pokoiku. Trudno o szczęśliwszy wybór: którejś nocy przyszli Rosjanie, i wszystkich z dołu aresztowali. Lubomirscy, całkiem zrezygnowani, czekali już na swoją kolej, siedząc na spakowanych walizkach. W ostatniej chwili uratował ich służący. Widząc zbliżających się funkcjonariuszy, kopnął pod szafę wystawione do czyszczenia buty, a następnie oznajmił:

— *Tu, w tym pokoju, mieszka tylko służba!*

Mundurowi zawrócili. Skądże mogli przypuszczać, że ten służący nie wie, co znaczy świadomość klasowa?

Zdawało się wtedy rodzicom pana Stanisława, że złego losu we Lwowie i tak nie zdołają uniknąć. Zdarzył się jednak drugi szczęśliwy przypadek. Oto ojciec małego Stasia, przechodząc obok lwowskiego hotelu „Żorż", spotyka jegomościa w niemieckim mundurze, który, ujrzawszy go, woła nagle:

— *Stefan, co ty tu robisz!?*

Był to, okazało się, doktor Otto Wächter, jadący z ambasady Rzeszy w Moskwie do Krakowa, by objąć tam gubernatorstwo dystryktu. Obaj panowie poznali się przed wojną, przy okazji zawodów sportowych. Wtedy byli sobie równi, teraz — jeden z nich prosił, drugi — łaskawie wysłuchał. Obiecał zaraz szybką interwencję u ambasadora von Schulenburga w Moskwie (który też Lubomirskich przed wojną znał).

Interwencja była skuteczna. Lubomirscy znaleźli się w Krakowie, pod okupacją niemiecką. W Rosji pozostał stryj Eugeniusz.

Przygody stryja: z Łubianek do Andersa

Pan Stanisław spędził resztę wojny przy rodzicach, w Krakowie. Natomiast zupełnie inaczej potoczyły się losy stryja. Po wybuchu wojny niemiecko-radzieckiej niespodziewanie sprowadzono go z łagru do Moskwy. Okazało się, iż podejrzany jest o szpiegostwo, a to z powodu zeznań, jakie zanotowano na poprzednim śledztwie, w Kijowie. Eugeniusz Lubomirski przestrzegał wtedy oficerów, by nie męczyli tak jego rodaków, bo wkrótce Rosja Radziecka rozpocznie wojnę z Niemcami, i obecni wrogowie staną

Rys. Dariusz Romanowicz

Czy może imponować odzyskanie jednego zamku?

Honor rodu

ANDRZEJ GĘBAROWSKI

się dla nich sojusznikami. Pytano więc teraz w Moskwie, skądże wówczas, w najlepszym okresie stosunków radziecko-niemieckich, wiedział o planowanym ataku? Skoro wiedział, to znaczy: jest szpiegiem!

Wyrok mógł być tylko jeden: kara śmierci. Ale nie od razu, to byłoby zbyt proste. Oczekiwał na śmierć, siedząc w celi moskiewskiego więzienia na Łubiankach. Kilkakrotnie wyprowadzano go na rozstrzelanie — za każdym razem tylko dla zastraszenia. Uratował się dzięki towarzyszowi z celi. Był nim Rosjanin, podobno kryminalista. Po wyjściu z więzienia spełnił on prośbę współtowarzysza niedoli: spotkawszy żołnierzy z armii Andersa, zawiadomił ich, że gnije w odosobnieniu taki to a taki polski książę. Wiadomość dotarła do samego generała Władysława Andersa. Ten z kolei interweniował u Ławrienija Berii.

Po telegramie od Berii, sprawa była krótka: przestraszony komendant Łubianek zaprosił Lubomirskiego na rozmowę, zmartwił się bardzo, że taki zabiedzony, i ofiarował na koniec 100 rubli, żeby więzień mógł się jakoś ogarnąć, zanim trafi do sojuszniczego wojska. Jedno tylko nie dawało mu spokoju: skądże, u licha, ten Polak zna Ławrientija Berię?

100 rubli wystarczyło akurat na ogolenie i przystrzyżenie. Być może, stryj Eugeniusz stał się ofiarą nieznajomości cen. Tak czy inaczej, powrócił jeszcze tego wieczora za bramę więzienną, nie mając u kogo zanocować na mieście.

Naczelnik oniemiał:

— *To pierwszy przypadek u nas* — zauważył zdumiony — *gdy wypuszczony na wolność dobrowolnie powraca do celi!*

Kiedy stryj po raz drugi opuszczał Łubianki, w kieszeni miał już nie sto, ale 3 tysiące rubli — odszkodowanie za papierośnicę ze złota, i takiż zegarek, skonfiskowane podczas aresztowania...

Rychło dostał się stryj Eugeniusz do armii polskiej. Opuścił razem z nią Rosję, służąc w sztabie u generała Władysława Andersa, jako adiutant reprezentacyjny. Przydała się w sztabie jego doskonała znajomość języków: znał ich pięć, w tym — znakomicie — angielski. Pośredniczył więc m.in. w rozmowach generała z premierem Winstonem Churchillem. Dopiero w 1982 roku w Londynie opublikował swoje wspomnienia pt. „Kartki z mego życia".

— *Tak późno* — tłumaczy pan Stanisław — *bo stryj nie lubił pisać. Trzeba go było mocno przekonywać do napisania tej książki...*

Kraków: znowu aresztowania

W Krakowie Lubomirscy zamieszkali w apartamentach babki Stasia, baronowej Elżbiety de Vaux. Było to wówczas obszerne, 19-pokojowe mieszkanie, zajmujące całe drugie piętro dwóch sąsiadujących z sobą kamienic przy ul. św. Marka na Starym Mieście. Mieszkało się tam, jak na czas wojenny, względnie spokojnie. Tak było aż do 1944 roku, gdy w domu po drugiej stronie ulicy nastąpiła wpadka.

Naprzeciw mieszkali państwo Karłowscy, właściciele apteki. Gestapo odkryło, że prowadzili oni również tajny magazyn leków dla Armii Krajowej. Swoim zwyczajem, Niemcy urządzili w mieszkaniu Karłowskich „kocioł". Zamknęli się, czekając na pierwszego klienta. Doczekali się... Krystyny Lubomirskiej, matki Stasia. Wracała akurat z synem z pobliskiego kościoła reformatorów. Zatrzymali się na chwilę przed kamienicą, rozmawiając z sąsiadami, gdy nagle ktoś powiedział, że w aptece jest „kocioł". Niewiele myśląc, pani Krystyna z okrzykiem: — muszę zabrać stamtąd dzieci! rzuciła się do Karłowskich. Zanim zdołano ją zatrzymać dopadła fatalnych drzwi, i została wciągnięta przez gestapowców do środka.

Zaraz potem panowie w czarnych mundurach zjawili się w apartamentach baronowej. Odkryli następny magazyn leków, bo Lubomirscy mieli kuzyna, Stadnickiego, który walczył w AK na Nowosądecczyźnie. Aresztowano wszystkich dorosłych, oprócz ciotki. Pozostali też w ogromnym mieszkaniu dwaj młodzi chłopcy: Stanisław, i jego młodszy brat — Jan.

Wtedy po raz drugi przydała się przedwojenna znajomość z Otto Wächterem, gubernatorem dystryktu. Wybrała się do niego ciotka, dowiedziawszy się pierwej w więzieniu na Montelupich, że jej bliskich czeka z pewnością wywózka do Oświęcimia. Doktor Otto Wächter był człowiekiem, z którym trudno sympatyzować. Piastując wysokie stanowisko, miał swój niemały udział w eksterminacji krakowskich Żydów. Pomimo to, jest faktem, iż znowu pomógł Lubomirskim. Po kilku tygodniach aresztowani znaleźli się na wolności, chociaż było to trudne do uzyskania nawet dla Wächtera, zważywszy na zaawansowanie śledztwa.

Potem — Kraków uwolnił się od Wächtera, uciekli inni „panowie Europy" przyszło wyzwolenie.

I w Krakowie cieszono się z wyzwolenia, i byli też tacy, co chodzili pijani wolnością. Dla Lubomirskich była to jednak najbardziej wolność od Niemców. Dla nich zaczęła się bowiem od nowa walka klas. Zdążyli ją poznać we Lwowie, teraz — dopadła ich pod Wawelem.

Po wojnie: przymusowe sąsiedztwo

Zaczęło się od wuja pana Stanisława, od Dominika Radziwiłła. Miał on majątek w Balicach, lubili go ponoć chłopi, czuł się przez to bezpiecznie. Nie posłuchał więc dobrej rady, nie przeprowadził się w nieznane miejsce do Krakowa. Złamał nowo wprowadzoną zasadę, że ziemianinowi nie wolno przebywać w województwie, gdzie znajdował się jego majątek. Mało tego, on w ogóle nie zamierzał wyprowadzić się z Balic! Po kilku tygodniach wzięli go, uwięzili. Przybyli do Krakowa chłopi z delegacją, do samej komendantury radzieckiej dotarli, w Pałacu pod Baranami.

— *Uwolnijcie pana, bo dobry był dla nas* — tłumaczyli.

Na jakiś czas pomogło. Dokładnie — na dwa tygodnie. Potem wuja wzięli po raz drugi, ale już z żoną i synem. Wywieźli ich daleko, tam, gdzie swego czasu stryja Eugeniusza — w kazachskie stepy. Wrócili do Polski w 1957 roku, ale bez wuja, który pozostał w stepach na zawsze.

W apartamentach baronowej de Vaux robiło się stopniowo coraz ciaśniej. Ściągali ze wszystkich stron krewni, powyganiani z majątków. Naprawdę ciasno zrobiło się jednak wtedy, gdy wstawiono do apartamentów prycze, na których w nocy spało 25 żołnierzy Urzędu Bezpieczeństwa. Po żołnierzach wprowadziły się rodziny oficerów, potem o mało co nie wysiedlono Lubomirskich wraz z setkami innych krakowskich, „reakcyjnych" rodzin (zaplanowano taką akcję, w ostatniej chwili odwołaną), potem wprowadzili się jeszcze inni... dość, że po latach zostały im z apartamentów cztery duże pokoje z kuchnią w oficynie, ze wspólnym z sąsiadami wejściem.

Stanisław Lubomirski wcześnie uświadomił sobie, iż jest wrogiem klasowym, zakałą postępowego społeczeństwa. Nie wyciągnął jednak z tego żadnych wniosków: zamiast budować Nową Hutę, on zamierzył studiować... historię sztuki!

Ci, co nad wszystkim czuwali, dostrzegli w tym przejaw krnąbrności. Nie posłali go co prawda do więzienia, nie wywieźli w stepy. To już nie były te czasy. Rewolucja powoli łagodniała, w nawyk wchodziły metody subtelniejsze...

Pan Stanisław przystępował do egzaminów wstępnych na historię sztuki trzykrotnie, rok po roku. Zdawał je, owszem, ale za każdym razem okazywało się, że z braku miejsc nie może zostać przyjęty. Próbował zatem dostać się na prawo, filologię rosyjską i filozofię — także bez skutku, choć egzaminy zdawał doskonale. W końcu, po trzech latach bezskutecznych wysiłków, zdecydował się napisać do samego Bolesława Bieruta! Napisał, poskarżył się na dyskryminowanie.

W odpowiedzi przeczytał, że wolno mu będzie zostać studentem, pod warunkiem, iż wstąpi do Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie.

Nie lubił matematyki, interesował się raczej humanistyką. Nie miał szans na szybkie zdanie egzaminów. Pomógł na szczęście rektor Kowalczyk z AGH. Zgodził się przyjąć kandydata z arystokracji bez egzaminów, odkładając je na później, gdy student zdąży się lepiej przygotować.

W ten oto sposób pan Stanisław uniknął wojska. Nie podzielił więc losu kuzyna Potockiego, co poszedł wprawdzie do polskiego wojska, ale szybko znalazł się w kopalni, gdzie stracił zdrowie.

Świeżo upieczony student, przenosząc swoje dokumenty z Uniwersytetu (gdzie poprzednio zdawał) do AGH, nie mógł uwolnić się od pewnej pokusy. Zaszedł z nimi do domu, zamknął się w pokoju, podgrzał lak na kopercie i... wyjął z niej pismo, nie przeznaczone zupełnie dla jego oczu, choć dotyczące go osobiście. Była to opinia Komitetu Wojewódzkiego w Krakowie, przedkładająca odnośnym władzom uczelni, iż nie zaleca się kandydata Lubomirskiego na wyższe studia... Ta opinia, której nie odważył się wyrzucić z koperty, zaważyła na reszcie życia pana Stanisława.

Dziś z uśmiechem pokazuje znajomym wizytówkę, wydrukowaną z okazji pierwszej po studiach pracy: *„Stanisław książę Lubomirski, I ślusarz sieci cieplnej Huty im. Lenina".*

Epilog: powrót na zamek w Wiśniczu?

Stryj Eugeniusz nie pogodził się nigdy z nową Polską. Pozostał wierny gen Władysławowi Andersowi, zamieszkał na stałe w Londynie. Jego dorosłe dzieci nie mówią już dobrze po polsku. Żona i syn wuja Dominika, pogrzebanego w stepach, prosto z ojczyzny wyemigrowali do RPA.

Jan, młodszy brat Stanisława, wyjechał z kraju w 1959 roku. Pragnął zostać w Polsce lekarzem, nie mógł jednak po doświadczeniach brata uwierzyć, że pozwolą mu tutaj na studiowanie. On jeden powraca teraz często do Krakowa. Mieszka w Szwajcarii, jest przedstawicielem firmy „Marlboro" na Europę Wschodnią.

Są jeszcze dalsi krewni. We Francji — Jan, Sebastian i Władysław, w Stanach Zjednoczonych — Henryk i Jan. Są też podobno jacyś Lubomirscy w Honolulu!

Pan Stanisław stara się obecnie ich wszystkich odnaleźć. Ma dla nich ważną wiadomość, i równie ważne zapytanie. Wiadomość jest taka: ród niespodziewanie odzyskał swój zamek, wielowiekową rezydencję Lubomirskich w Wiśniczu pod Bochnią, prawem kaduka przejętą przez państwo po wojnie. Orzeczenie o przywróceniu praw do zamku Zjednoczeniu Rodowemu Lubomirskich, wydał Sąd Najwyższy w Warszawie, uznając tym samym zasadność rewizji, wniesionej przez pana Stanisława od wyroku Sądu Wojewódzkiego w Tarnowie, który uznał niedawno, iż zamek jest własnością *„opuszczoną lub poniemiecką"*. To właśnie stwierdzenie do tego stopnia rozsierdziło pana Stanisława, że wynajął adwokata, odwołał się i wygrał!

Ważne zapytanie jest natomiast takie: skoro już ród odzyskał swój zamek, co Lubomirscy powinni z nim zrobić? Czy mają dokończyć remont, prowadzony przez wiele lat po wojnie przez państwo polskie? Czy powinni urządzić tam hotel, rezydencję, muzeum czy sanatorium?

A może po prostu machnąć na zamek ręką, wszak honor rodu został obroniony? Pan Stanisław nie ma jeszcze w sprawie zamku sprecyzowanych planów. Gdyby to zależało wyłącznie od niego, byłby być może skłonny machnąć na zamek ręką... Bo bliższy jego sercu jest na pewno pałac w Kruszynie, okropnie przez PGR zaniedbany. Jeśli więc już odnawiać, może lepiej Kruszynę?

— *Przy okazji, jest pan dziennikarzem z Łodzi? Czy nie wie pan przypadkiem, w którym z łódzkich muzeów znajdują się nasze precjoza i dzieła sztuki z pałacu w Kruszynie?*

Różne punkty widzenia

Ważenie torby listonosza

ZOFIA KĘDZIORA

— *To nie fair* — mówią ludzie. — *Doręczanie gazet do domu odsuwa od nas jedną z uciążliwości codziennego życia. A teraz trzeba po pracy oprócz kolejek w sklepach zaliczyć kolejkę po gazety. Poczta wzięła na siebie zobowiązanie doręczania zaprenumerowanych gazet do domu i tego zobowiązania nie realizuje.*

Emerytka: — *Jestem inwalidką i już naprawdę brak mi sił do życia, a tu jeszcze muszę sama chodzić po gazety. Pewnie, że listonosze nie mają lekko i muszą się nalatać, ale ja zawsze o tym pamiętam i zawsze zgadzam się, aby listonosz końcówkę renty zostawił dla siebie, bo tak się składa, że miesiąc w miesiąc, nigdy nie ma drobnych. Sześćdziesiąt złotych piechotą nie chodzi. Ale teraz zacznę żądać wypłacania dokładnie całej sumy.*

Ludzie pytają, kiedy wreszcie sytuacja wróci do normy.

Dyrekcja poczty próbowała znaleźć rozwiązanie zaistniałej sytuacji. Rozesłano pisma o następującej treści:

„W związku z trudnościami kadrowymi w służbie doręczeń oraz nadmiernymi obciążeniami toreb doręczycieli staje się niemożliwe zapewnienie rytmiczności doręczeń obywatelowi zaprenumerowanego czasopisma. Obwodowy Urząd Poczty zwraca się z prośbą o wyrażenie zgody na odbiór od 2 kwartału prasy zaprenumerowanej w jednym z kiosków z dołączonej listy".

Sporo osób zgodziło się na tę propozycję, nadal jednak sytuacja wymaga rozwiązania.

Na pocztach trwa akcja protestacyjna. Przed niektórymi urzędami pocztowymi wywieszone zostały biało-czerwone flagi. Listonosze przypięli do mundurów biało-czerwone kokardki. W ramach akcji protestacyjnej nie doręczają prasy.

Dyrekcja stoi na stanowisku, że gazety bezwzględnie muszą być roznoszone. Listonosze jednak zdecydowanie nosić gazet nie chcą. Twierdzą, że nie dają sobie rady, że jest to obciążenie przekraczające ich siły.

Ich akcja protestacyjna nie znajduje wśród ludzi zrozumienia. Mówi się o niej z niechęcią. Listonosze byli bardzo rozżaleni, gdy usłyszeli w telewizji, że piekarze powiedzieli podobno, że nie będą sprzedawać bułek pocztowcom. I właśnie dlatego, aby wytłumaczyć swoje stanowisko chcieli doręczyciele ze mną porozmawiać.

Pokazali mi, jak wygląda torba listonosza. Właściwie jak wygląda każdy wie, ale pewnie niewiele osób spośród odbiorców miało okazję wziąć ją do ręki. Jest bardzo solidna, skórzana, ale pusta waży już półtora kilograma.

Listy zwykłe i polecone, pocztówki, przekazy pieniężne, pieniądze (listonosz obowiązany jest również wziąć ze sobą przynajmniej tysiąc złotych drobnymi), telegramy. To wszystko musi zmieścić się w torbie listonosza. I do niedawna jeszcze gazety. Bywa nawet tak, że na jednego listonosza przypada dwieście tytułów. A ta cała sterta papieru sporo waży.

Czasem, gdy nie wszystko zmieści się do torby, to co zostanie trzeba załadować w siatkę. Niektórzy próbowali zabierać wózki, ale nie bardzo zdało to egzamin, bo co zrobić z wózkiem, gdy trzeba zanieść przesyłkę na czwarte piętro, a nie ma windy? Wtaszczyć ze sobą na górę — wykluczone, zostawić na dole, jeszcze gorzej, wózek zawsze może się komuś przydać. Wielu ma już od tego dźwigania zwyrodnienia kręgosłupa, żylaki.

Od 1 stycznia 1989 roku gazet do noszenia jeszcze przybyło, zniesiony został bowiem limit prasy przyjmowanej przez pocztę. Listonosze nie są przeciwni roznoszeniu gazet, ale te zwiększone jeszcze ilości gazet są trudne do udźwignięcia.

Proponują, utworzenie specjalnych służb, które zajmowałyby się wyłącznie doręczaniem prasy. Tylko skąd wziąć chętnych? Sprawa rozbija się o pieniądze. Była już propozycja, aby roznosili je listonosze za dodatkowe wynagrodzenie pięć złotych od gazety, nie chcieli. Proponowano studentom, za sześć złotych od gazety, też nie chcieli, gdyż suma wydała im się zbyt niska. Dopiero większe pieniądze mogłyby przyciągnąć chętnych, ale jak je znaleźć?

Poczta za doręczenie gazety otrzymuje od RUCHU 3,75 złotych, podczas gdy orientacyjny koszt doręczenia wynosi 11,86 zł (w mieście), więc usługa odbywa się poniżej kosztów własnych poczty. Może więc tu, proponują listonosze, dałoby się wygospodarować fundusze na opłacenie roznosicieli prasy?

Dyrekcja Generalna Poczty Polskiej prowadzi rozmowy z RUCHEM.

Praca na poczcie nie należy do najatrakcyjniejszych. W żadnym z łódzkich urzędów pocztowych nie ma pełnej obsady doręczycieli, a o czasach, gdy była nawet tak zwana „rezerwa" nikt już nie pamięta. I tu nadszedł czas, aby wspomnieć o pieniądzach, bo w nich leży właśnie przyczyna, że nikt do pracy na poczcie jakoś się nie garnie. Jak narzekają starsi listonosze, młodzi przychodzą, popracują parę miesięcy i zabierają się do lepiej płatnej roboty. Sprawa wynagrodzenia stała się więc jednym z ważnych postulatów akcji protestacyjnej listonoszy. Zażądali trzydziestu tysięcy podwyżki, wzrostu dodatku kasowego (dodatku za noszenie pieniędzy) oraz wynagrodzenia za wolne soboty.

Wśród postulatów znalazła się również myśl, aby urealnić opłaty za niektóre świadczenia (na przykład opłata za nadanie listu poleconego wydaje im się zbyt niska) oraz znowelizowania niektórych przepisów wewnętrznych. Są również postulaty, aby pocztowcy wyposażeni zostali w środki obronne oraz żądania dotyczące przepisowego umundurowania.

Listonosze, z którymi rozmawiałam, zapewnili mnie, że to nieprawda, że nie chce im się pracować. Chcą uniknąć takiej sytuacji, aby musieli o swojej pracy myśleć z niechęcią.

Po spotkaniu z pocztowcami znalazłam się w tym samym urzędzie przed okienkiem, w którym przyjmowane są paczki. Tym razem już nie służbowo, ale chciałam załatwić prywatną sprawę.

— *Sznurek* — powiedziała krótko pani w okienku.

Zrozumiałam, że chodzi o to, że paczka nie była owinięta sznurkiem, a zaklejona taśmą. Zapewniłam więc panią, że bardzo starannie ją zakleiłam.

— *Sznurek* — powtórzyła mi krótko.

— Ale ja nie mam przy sobie.

— *Ja też nie, jak pani zmieni przepisy to paczkę przyjmę.*

Odeszłam. Nie wiem, dlaczego pani potraktowała mnie jak swojego osobistego wroga. Przepisów oczywiście nie zmienię, to jasne. Myślę jednak, że stawianie żądań czy postulatów powinno iść w parze z polepszeniem jakości usług. I o tym też warto pomyśleć.

PS. W Łodzi strajk pocztowców rozpoczął się w poniedziałek 13 marca 1989 r., zakończył się następnego dnia o godzinie 18. Pocztowcy otrzymali podwyżkę płac prawie 30 000 zł na osobę oraz ustalono, że w mieście prasa będzie doręczana tylko inwalidom i osobom niepełnosprawnym, a na wsi wszystkim.

Z.K.

Nie wiadomo, co za cholera siedzi w tej wodzie?

Widowisko z trupią czaszką we wsi Gadka Stara

RYSZARD BINKOWSKI

1.

W dobie ogólnych niedostatków, na jakie cierpimy wszyscy lub prawie wszyscy, Pan Bóg zabrał dzieciom trochę radości, dorosłym zaś ujął masę kłopotów. Nie ma zimy. Śnieg na kartki, a ślizgawka tylko na sztucznym lodowisku.

Melancholijne, przesycane wilgocią niedzielne południe, Mżawka, ociekające wodą czarne drzewa, chrypliwe krakanie zmokniętych wron. Lutowy dzień ponury i oklapnięty niby najsmutniejsza niedziela listopada. Nad ciągnącymi się na przestrzeni 1,5 km stawami Stefańskiego w parku 1 Maja natura jakby odrętwiała. Marazm i bezruch. A kiedyś, tak zimą jak i latem, zawsze było pełno radości...

Kiedyś można tu było spędzić najpiękniejsze wagary. Mieszkający na drugim brzegu kolega ze szkolnej ławy, Krzysiek Lapeta, przyniósł gumowe płetwy, okulary do nurkowania, i szalałeś wtedy, rozmarzony nastolatku, nurkując pod kajakami i przyprawiając o bicie serca wszelkie syrenki w stroju bikini. Ale to już nie wróci, tego już nie ma. Nie ma Krzyśka Lapety, z którym siedziałeś w jednej ławie ogólniaka za budynkiem straży pożarnej. Tylko jego ojciec, pan Józef, hoduje jeszcze kwiaty w szklarniach na drugim brzegu. Najsmutniejsze, kiedy ojciec zanosi kwiaty na grób własnego syna...

Umiera krajobraz naszych dziecinnych lat, ginie pejzaż naszej młodości. Nawet ta usypana przy Cienistej góra, zwana Koreą, jakby przysiadła, bo ktoś wygryzł jej szczyt i część zbocza, rozsypując zwały żółtego piasku. W osadniku od strony Gadki Starej jest jeszcze woda i być może są także ryby, które zahartowały się we współżyciu z tworzoną przez człowieka cywilizacją. Ale całe olbrzymie kąpielisko, łącznie z zadrzewioną wyspą, puste i wymarłe. Nierówne, zapaskudzone szlamem i nieczystościami dno, a na brzegach wielkie tablice z zakazem kąpieli. I tak niemal rok w rok. Czyżby znowu przeciekło coś brzydkiego z Ksawerowa i Widzewa Zdżar ? A może zaraza idzie od Rzgowa?

2.

Przy ulicy Skrajnej kończy się miasto Łódź i zaczyna wieś Gadka Stara. Wieś ogrodników i dwuzawodowców. Leży po obu brzegach Neru. Ta część, co leży na wyższym brzegu, ma się lepiej. Bo to jest jednak ulica, zwana Lucernową, z położonym asfaltem i częściowo chodnikiem.

Sołtys jest młody, kędzierzawy, energiczny i na tyle przystojny, że miastowe panienki aż piszczą. Nazywa się Adam Możdżeń.

— *Przy Lucernowej mieszka większość rolników i ogrodników* — mówi sołtys. — *Działa koło Gospodyń Wiejskich, koło ZSL, OSP, a strażacy właśnie skończyli rozbudowę remizy. Tutaj łatwiej poprowadzić wodociąg, znalazły się też środki na hydrofornię. Druga część wsi w dolinie Neru leży o wiele niżej, na gruntach podmokłych, ale za to przy torach tramwajowych, toteż aby było bardziej z miejska, każda uliczka otrzymała dumnie brzmiącą nazwę: Kombajnowa, Źródłowa, Czartoryskiego. Tyle, że te ulice są kiepsko oświetlone, a przy roztopach można utonąć w błocie. No i nie ma chodników. Tutaj trudno budować wodociąg, trzeba więcej kopać i kłaść więcej rur, a na hydrofornię nie ma środków finansowych.*

— Bo w urzędach myślą, że bogatych badylarzy na wiele stać! Na dodatek miasto funduje wam nowy cmentarz, więc zacieracie ręce, bo będzie zbyt na kwiaty.

Sołtys Możdżeń uśmiecha się z pobłażliwą ironią.

— *Zapewniono nas, że ten nowy cmentarz nie zaszkodzi środowisku naturalnemu, bo piaski wszystko przefiltrują i zatrzymają. Ale tu u nas znajduje się rów melioracyjny, który jest głównym kolektorem działu wodnego od Starowej Góry po stary Cmentarz Wojenny. I jak z góry spłynie w dolinę jad trupi, to co? Tylko wodociąg może nas uratować. Choćby z tego względu, że u nas nawet wody głębinowe są mocno zażelazione. My nawet nie jesteśmy pewni, czy działająca tu wytwórnia napojów chłodzących używa zdrowej wody. Nie na próżno ten teren nazywa się Rudą Pabianicką. W wodzie pływa brunatna rdza. A gdy jest sucho, robi się taka rdzawa skorupa, że na łące nie sposób wbić kołka, żeby uwiązać krowę. A poza tym męczą nas inne syfy... Jak wyleje rów melioracyjny, krowy nie chcą żreć trawy...*

Tyle wesołości na tym niby zielonym pograniczu. Niemal na samej granicy miasta i wsi znajduje się czysty sklepik, dobrze zaopatrzony przez GS w Rzgowie. Pojawia się tam i wódka, którą zaraz wykupuje skrzynkami szarańcza z miasta.

Po drugiej stronie toru tramwajowego mieszkańcy Gadki Starej zbudowali zlewnię mleka. Jeden z byłych naczelników gminy Rzgów, którego nazwiska nie warto aż do znudzenia powtarzać, postanowił awansować Gadkę Starą do rangi miasta i bez zgody mieszkańców wpuścił na teren wsi miejski tramwaj linii 26, no i MPK z radością zbudowało na gruncie wiejskim pętlę. Teraz władze gminy uważają, że w rewanżu miasto powinno tę część Gadki Starej podłączyć do swego wodociągu. Ale, że Łódź cierpi na niedobór wody, więc pewnie nic z tego nie będzie. Będzie za to we wsi miejski cmentarz, wzrośnie ruch i tramwaj linii 26 może jeździć do gotowej już pętli za Rzgowem, gdzie kończy bieg tramwaj podmiejski numer 42. Jeżeli tak się nie stanie, Gadka Stara rozkręci nocą szyny pętli na swoim terytorium i postawi w tym miejscu pawilon sklepowy, a wówczas dyrektorowi MPK nie pomogą nawet oddziały ZOMO...

3.

Pan Ignacy Gruszka jest potężnie zbudowanym mężczyzną o łagodnej twarzy, miękkim głosie i gołębim sercu. Jest strażakiem ochotniczym, a do niedawna był zamiłowanym hodowcą gołębi pocztowych. Na pytanie czemu zrezygnował z tak pięknego hobby, macha z rezygnacją rękami.

— *Człowiek człowiekowi wilkiem* — powiada — *ale komu, u diabła, tak szkodzą ptaki? Poleciały gołębie w pole, wróciły i zdechły. Bywa, że złośliwie sypie się różne świństwa i truje ptaki...*

— A co w Nerze?

— *Mieszkam blisko, to widzę, co się dzieje. Myślę, że nieszczęście zaczyna się już w Rzgowie, skąd płyną do Neru domowe ścieki. W Gospodarzu włożono miliony w budowę i renowację stawów rybnych, ale wkrótce hodowlę szlag może trafić. Już teraz karp czuje się tam nie za dobrze...*

— A tu, u was, jak się czują ryby? Lepiej?

— *Coś panu powiem. Wodę mamy złą, zażelazioną, rdza przeżera bojlery. Ale nie o to chodzi. Myślę, że należy przebadać wodę w naszych studniach i w stawach Stefańskiego, gdzie nie wolno się kąpać. Jeśli w obu wypadkach wykryje się podobne szkodliwe składniki, to wyjdzie na to, że jakieś źródło zarazy istnieje też w Gadce.*

— Ale na razie nie ma na to dowodów, co?

— *Owszem, są. Widzi pan te uschnięte wielkie olszyny w pobliżu ujścia rowu melioracyjnego do Neru? Mówi się, że z powodu płonącego ogniska świętojańskiego. Ale konserwator przyrody mógłby dojść do całkiem innego wniosku. Wydaje mi się, że gdy w stacji wodociągów w Kalinku spuszcza się duże ilości wody, woda w Nerze zostaje oczyszczona i życie biologiczne wraca do normy. Był taki moment, że w dół od ujścia naszego kolektora ryby popłynęły do góry brzuchem...*

— Kiedyś brzegi Neru na tym odcinku obsiadły opalające się mieszczuchy i co parę metrów wędkarz moczył z nadzieją kije.

— *Już ich nie ma. I nikt się nie kąpie. Mieliśmy tu zatrzęsienie raków, które na pewien czas zniknęły. Potem znów się pojawiły. Ostatnio raki dostały jakiegoś wariactwa. Zamiast siedzieć pod korzeniami, kręciły się jak szalone w kółko po dnie i chłopcy wyłowili je siatkami.*

Nie wiadomo, co za cholera siedzi w tej wodzie, dość że niektórzy bardziej uczuleni po wypiciu oranżady z wytwórni napojów chłodzących dostają krost. Nie daj Boże wpaść do rowu melioracyjnego, bo szczypie i na skórze z miejsca jakieś wypryski. A gdy ludzie wracają wieczorem z pracy, czują, że nad rowem śmierdzi.

Smagły brodaty brunet, który był kiedyś świetnym kiwaczem, strzelając bramki na rzgowskim stadionie, nie stracił jeszcze poczucia humoru.

— *Panie, to może zabrzmi jak dowcip* — oznajmia — *ale to fakt, słowo daję! Chodzi o kury mojej matki, Felicji Łagowskiej. Cztery kury napiły się wody z rowu melioracyjnego i natychmiast zdechły na brzegu. Może pan śmiało zaprosić do nas ludzi z miasta na kurację odmładzającą. Po pierwszej kąpieli obleżą ze skóry.*

W sprawie źródeł zatruć wody oraz zarośniętego, nie konserwowanego od lat rowu melioracyjnego interweniował w Urzędzie Gminy sołtys Adam Możdżeń. Odpowiedziano mu, że problem ten nie leży w kompetencji Urzędu. A przecież po Rzgowie chodziła specjalna komisja i karała każdego obywatela, który wypuszczał ścieki domowe do rowu.

4.

Nad głębokim rowem przydrożnym przy ul. Czartoryskiego przejeżdża wolno tramwaj do Rzgowa. Za rowem, na lewo, wznosi się nowy budynek Wytwórni Napojów Chłodzących, która od 1970 r. funkcjonowała w sąsiedniej posesji, na prawo, pod szyldem Wytwórni Wód Gazowych. Wpierw wydano zezwolenie na budowę wytwórni, potem zaś odwiercono studnię głębinową, bez znajomości wartości wody potrzebnej do produkcji. Woda ta z pewnością jest okresowo badana, toteż gdyby była złej jakości, produkcja zostałaby zatrzymana. Z wytwórni prowadzi podziemny kolektor z kilkoma studzienkami, które mają pełnić rolę oczyszczających filtrów. Mieszkańcy nie mają pewności, czy stanowią one właściwe zabezpieczenie. Faktem jest bowiem, iż tym kolektorem odprowadza się do przydrożnego rowu ścieki po myciu tysięcy butelek, do czego używa się detergentów.

Na prawo od wytwórni widać siatkę na podmurówce, rachityczne świerki i dwa powarkujące psy. Kiedyś po Gadce Starej przez rok wałęsał się groźny bezpański pies, była prośba do rzgowskiej milicji, aby zastrzeliła potwora, ale milicjanci odmówili strzelania do zwierząt, ponieważ muszą oszczędzać amunicję do innych celów. W końcu pies znikł. Pewnie napił się wody z rowu melioracyjnego i skonał w jakimś zagaju...

Collage: Grzegorz Gałasiński

Śmierć psa ma związek z tym, co napiszemy dalej, ponieważ za tymi świerkami znajduje się działający od początku 1988 r. zakład pod firmą „Uszlachetnianie Tkanin i Dzianin". Pikanterii całej sprawie dodaje fakt, że zakład funkcjonuje na ulicy Zdrojowej. A jaki tam zdrój bije, można sobie wyobrazić, jeśli weźmie się pod uwagę taką drobnostkę, że jest to w gruncie rzeczy farbiarnia.

Okoliczni mieszkańcy nie mogą się nadziwić, czemu właściciel farbiarni otrzymał zezwolenie na uruchomienie produkcji bez oczyszczalni. Otóż wszystko odbyło się zgodnie z prawem, po prostu farbiarnia miała usuwać swoje ścieki w inny sposób, o czym zaraz będzie mowa.

Mówi się, że w okolicznych studniach zaczyna brakować wody, ponieważ wszystką wyciąga ze swojej studni głębinowej farbiarnia. Są nawet postulaty, aby farbiarnia miała kontrolowany i limitowany pobór wody, a gdy potrzebuje więcej, niech korzysta z wody w obiegu zamkniętym, budując przed tym oczyszczalnię. Poza tym istnieje obawa, że ścieki z farbiarni przenikają do ujęcia wodnego Wytwórni Napojów Chłodzących i tysiące ludzi piją szkodliwą dla zdrowia oranżadę.

No dobrze, ale czy są podstawy do obaw? Wizualnie tak. W przydrożnym rowie, który łączy się z rowem melioracyjnym płynącym do Neru, stoją niebieskawe ścieki, przypominające cuchnący, rozwodniony atrament. Barwy się zmieniają w zależności od technologii. Podmurówka pod siatką także jest zafarbowana, co świadczy, że następuje przelew roztworów chemicznych. Skąd? Ano z wielkiego metalowego zbiornika za siatką, który jest częściowo przysypywany ziemią i zarośnięty trawą. Istnieje możliwość przecieku wskutek nieszczelności, przerdzewienia lub przelania. Ale nie tylko.

Rzecz w tym, że farbiarnia pompuje do zbiornika roztwory powstałe podczas farbowania tkanin. Wywozi się je beczkowozem MPO znajdującego się przy ul. Municypalnej, róg Starorudzkiej, i zapewne wylewa w innym miejscu, lecz pal to licho. Problem polega na tym, że beczkowóz pracuje na jedną zmianę, farbiarnia zaś na trzy zmiany, w tym we wszystkie soboty. W związku z tym nadmiar ścieków, które nie mieszczą się w zbiorniku, trzeba wypuszczać wieczorami przez odpowiedni system podłączeń i rur do rowu, a stąd do rzeki. Taki tajny podziemny kolektor widoczny jest gołym okiem. Zasypano go szlaką i żwirem, aby pełnił rolę filtra.

Farbiarnia posiada komin odprowadzający spaliny i dwa krótkie metalowe wywietrzniki. Jak wiadomo, w farbiarni używa się do produkcji sody kaustycznej, wody utlenionej, soli kuchennej, kwasu octowego, mydła maziowego, a do kolorów czarnych — środków zawierających siarkę, takich z napisem „trucizna" i z trupią czaszką na opakowaniu. Nic więc dziwnego, że wąchając opary mieszkańcy wyczuwają woń zgniłych jaj i że na wschód od farbiarni chorują sady.

Mieszkający niemal na wprost zakładu pan Żak mówi, że w niektóre noce głowa mu pęka od oparów. Jego sąsiad zaś czuje się znakomicie. Twierdzi, iż ludzie wygadują na farbiarnię z zawiści, bo właściciel bogaci się, a to jest źle we wsi widziane.

Otóż nie w tym rzecz. Każdy zakład rzemieślniczy w gminie to gotowe miejsce pracy dla ludzi z okolicy. Wytwórnia napojów powinna dużo zarabiać i dużo produkować, co ma znaczenie i dla wsi, szczególnie w żniwa. Właściciel farbiarni ma prawo bogacić się i dawać jak najwięcej tkanin i dzianin na rynek. Pan naczelnik Antoni Adamus ma z kolei prawo wydawać zezwolenia na otwieranie nowych zakładów przemysłowych, bo dzięki podatkom wzbogaci się kiesa gminy.

Ale warto też wysłuchać sołtysa i radę sołecką. Jeśli mają jakieś wątpliwości, pan naczelnik Adamus z pewnością zdopinguje do działania te wszystkie jednostki, które zbadają, czy w Gadce Starej nie istnieje zagrożenie środowiska. Chodzi bowiem o zdrowie ludzi, o produkcję ogrodniczą, o zachowanie każdego skrawka żywej przyrody.

5.

W pobliżu przystanku tramwajowego stoi w Gadce Starej niewielki, schludny budynek szkolny. W czterooddziałówce pracowali kiedyś znakomici nauczyciele, którzy wychowali kilkadziesiąt roczników miejscowych dzieci. W epoce II Polski szkołę zlikwidowano i dzieci wozi się tramwajem do Rudy Pabianickiej.

Nieco dalej, na prawym brzegu rowu melioracyjnego, leży 1,23 ha ziemi, którą Marian Kwiatkowski uzyskał w spadku po zmarłym bracie i gospodarzy na niej wraz z synem Maciejem. Ma 50 lat, czerstwą, ogorzałą twarz i choleryczny temperament, do czytania używa już okularów. Ponadto ma dwa stawy, w których nie ma ryb, dwie puste klatki po królikach, bo nie chciały żreć zatrutej trawy, i dwie szklarnie bez kotłowni, w których na razie nic nie rośnie, bo strach cokolwiek posadzić. A wszystko przez ten cholerny kolektor, który po długich lub gwałtownych opadach i w czasie topnienia śniegów zalewa łąkę i przesiąka do stawów, z których pobiera się wodę do produkcji szklarniowej.

— *W 1987 roku zniszczyłem produkcję 3 tys. sztuk pomidorów w obu szklarniach* — opowiada z rozdrażnieniem — *w sumie 6 ton pomidorów. Przyczynę poznałem, gdy zobaczyłem uśnięte ryby w stawach. Dałem wodę do analizy w Stacji Chemicznej przy ul. Zbocze, gdzie wykryto znaczne ilości chloru oraz wapnia. Do mycia butelek w Wytwórni Napojów Chłodzących używa się sody kaustycznej i ścieki dostały się przez podsiąknięcie do stawów. Ryby usunęły wskutek innych trujących składników w wodzie, których obecności stacja nie była w stanie określić ze względu na ograniczone możliwości. To już z pewnością dzieło farbiarni...*

22 czerwca 1987 r. Okręgowa Stacja Chemiczno-Rolnicza w Łodzi — Pracownia Analiz Ogrodniczych stwierdziła w próbkach badanej wody m.in.: zasolenie w mg/l 0,18, wapń 580, chlorki 120, czyli powyżej zalecanej normy. Kiedy rok wcześniej Marian Kwiatkowski domagał się w Spółce Wodnej i w Urzędzie Gminy odbudowy i oczyszczenia kolektora, pracownik d/s wodnych oświadczył, że obowiązek konserwacji rowu spoczywa na Wytwórni Napojów, która otrzymała z UG zezwolenie na odprowadzenie oczyszczonych ścieków do kolektora, zwanego inaczej rowem melioracyjnym.

— *Takie samo zezwolenie ma chyba teraz i farbiarnia* — kontynuuje Marian Kwiatkowski. — *Tylko jak to jest z tymi oczyszczonymi ściekami, skoro nie ma oczyszczalni? Wie pan, jak nastąpił wylew Neru, to woda w stawach jakby się przeczyściła. Ale gdy puściłem wiosną 200 sztuk karpia, to wszystkie, cholera, padły...*

To nie jest sprawa jednostkowa, lecz problem ogólnospołeczny. Bo, kiedy dłużej nie pada deszcz, kolektor odprowadzający wody i ścieki do Neru zamienia się w kolorowy, cuchnący rynsztok. W związku z tym Marian Kwiatkowski zbombardował pisemnym alarmem kilka urzędów.

30 stycznia 1989 roku inż. Leon Knytel z Wydz. Ochrony Środowiska na Górnej powiadomił enigmatycznie Kwiatkowskiego, że przedstawiciele TSSE przeprowadzili kontrolę dotyczącą niewłaściwego spuszczania ścieków, ale zarzuty stawiane przez Kwiatkowskiego nie leżą w kompetencji Państwowej Inspekcji Sanitarnej.

3 lutego starszy inspektor wojewódzki, mgr inż. Łucja Chudzik z Wydz. Ochrony Środowiska UMŁ, powiadomiła, że zostało wszczęte z urzędu postępowanie w sprawie zanieczyszczenia rowu przez farbiarnię. Po zakończeniu postępowania ob. Marian Kwiatkowski zostanie powiadomiony o załatwieniu sprawy.

W tym wypadku czas to nie tyle pieniądz, co życie. Bo prawdę mówiąc, ogrodnicy też się sami podtruwają. Przy chłodnej, wilgotnej, chmurnej pogodzie zaczynają dymić szklarniowe kominy i nad Gadką Starą wisi lepki smog i płaty czarnej sadzy. Ale nie to jest najgroźniejsze.

Ani naczelnik Adamus, ani Rada Narodowa nie są w stanie zbudować oczyszczalni w Rzgowie. Jeśli władze wojewódzkie nie przyłożą do tego ręki, to wkrótce przestanie istnieć nie tylko najpiękniejsze kąpielisko w Rudzie Pabianickiej, nie tylko znikną ryby w Gospodarzu, ale zamrze życie biologiczne na ostatnim zielonym odcinku doliny Neru.

O co chodzi w „Szatańskich wersetach" Salmana Rushdiego?

Klątwa i śmierć

MAREK BRZEZIŃSKI

1. Nagroda i klęski.

W 1981 roku Indira Gandhi zagroziła urodzonemu w Bombaju w 1947 roku, Hindusowi, a obecnie obywatelowi Wielkiej Brytanii, pisarzowi Salmanowi Rushdiemu wytoczeniem procesu o zniesławienie w związku z wydaną przez niego książką „Dzieci środka nocy". 21 października 1981 roku, londyński „Times" opublikował krótką notkę wychwalającą „Dzieci środka nocy", która została nagrodzona liczącą się na Wyspach Brytyjskich nagrodą — Booker Prize.

W 1983 roku przyjęta owacyjnie przez krytyków książka „Wstyd" została uznana za pewnego kandydata do kolejnej nagrody literackiej — Booker Prize. Książka nawiązywała do najnowszej historii Pakistanu i była tam objęta zakazem publikowania.

Nagrodę Brooke'a zdobyła książka południowoafrykańskiego pisarza J. M. Coetze'a „Life and Times of Michael K". Salman Rushdie wyskoczył z sali jak z procy, rozlewając po drodze wino na suknię, swojej pierwszej żony, Clarissy Luard.

W 1988 roku książka Salmana Rushdiego dostała po raz trzeci nominację do nagrody Brooke'a. Po raz drugi przegrał. „Szatańskie wersety" sprowadziły na głowę Salmana Rushdiego nie tylko przekleństwo potężnego imama Islamu — Ajatollaha Chomeiniego, ale także widmo śmierci. Salman Rushdie ucieka z domu i kryje sie z rodziną pod nieznanym adresem i czujnym okiem oddziałów antyterrorystycznych brytyjskiej policji.

2. O co chodzi w „Szatańskich wersetach"

W pierwszej scenie „Szatańskich wersetów", dwóch Hindusów w średnim wieku wypada na wysokości 11 tysięcy metrów z odrzutowca pasażerskiego, który eksplodował nad kanałem La Manche w wyniku bomby podłożonej przez terrorystów. W trakcie spadania obydwaj panowie prowadza przyjemna rozmowę, ląduja cało i zdrowo i tutaj dopiero zaczynaja sie ich problemy.

Autor pisze o latach szkolnych i studenckich w Wielkiej Brytanii, o swojej miłości do Bombaju, a także analizuje korzenie swojej wiary w Mahometa. Przytacza przy tej okazji pewne fragmenty dotyczące życia proroka Mahounda. W tej postaci muzułmanie rozpoznaja Mahometa a określenie tym imieniem Proroka jest dla nich o tyle bluźniercze, że Mahoundem chrześcijanie nazywali w średniowieczu Mahometa, który był dla nich synonimem diabła.

W książce występuje postać Salmana, który będąc sekretarzem Mahounda ma notować wszystkie objawienia, jakie prorokowi odsłania Bóg. Ale złośliwy skryba uporczywie przekreca słowa Mahounda. Gdy ten w końcu zdaje sobie sprawe z całej afery wykrzykuje do Salmana: *„Twoje bluźnierstwo jest niewybaczalne"*. Jedyną karą w tym wypadku jest śmierć, ale Mahound okazuje miłosierdzie i daruje Salmanowi życie.

Salman Rushdie odrzuca oskarżenie o antyreligijność swojej książki, jednak jej bluźnierczy i satyryczny ton jest obraza dla każdego muzułmanina. Jednym z najbardziej bulwersujących fragmentów książki Rushdiego jest ten oparty na tytułowych „Szatańskich wersetach". Mahound kuszony jest przez Gibreel'a (co jest przejrzystą aluzją do archanioła Gabriela), aby poszedł na ugodę ze swoimi wrogami i przyjął wiarę w ich Boga. Trójistotnego wraz z wiarą w Boga jedynego. Gibreel przyznał się Mahoundowi, że pomysł podszepnął mu Szatan. Prorok nakazuje usunąć odnośne wersety z Koranu.

Prawdę mówiąc fragment ten nie jest tworem wyobraźni Salmana Rushdiego. Pewne podobieństwa można znaleźć w relacjach sprzed ponad tysiąca lat u Ibn Sa'd al-Tabari i innych uznanych teologów i historyków muzułmańskich. Jednakże koncepcja kuszenia Mahometa jest zdecydowanie odrzucana przez współczesnych uczonych islamskich. Ten fragment uważany jest przez przeciwników Salmana Rushdiego za próbę podważania boskiego pochodzenia Koranu.

Najbardziej sensacyjna scena książki rozgrywa się w domu publicznym. Występują tam prostytutki noszące imiona żon Mahometa. Jest to dla muzułmanów szczególne bluźnierstwo, gdyż uważają oni żony proroka za *„matki wszystkich wiernych"*. Żony Mahounda nie są w książce pokazane jako kobiety lekkich obyczajów, to prostytutki przybrały imiona żon, aby drażnić Mahounda. Hasan Abdul-Hakim powiedział, że dla mahometan jest to tak bluźniercze, jak dla chrześcijan byłoby przedstawienie Matki Boskiej jako prostytutki.

3. Klątwa i wyrok śmierci.

Ajatollah Chomeini ma 88 lat. Jest starym i schorowanym człowiekiem, który rzadko pojawia się publicznie. Większość jego oświadczeń odczytywana jest przez rzecznika prasowego. Tak było i tym razem. Radio Teheran nadało w pierwszych dniach lutego:

„Autora „Szatańskich wersetów" — książki wymierzonej w Islam, Proroka i Koran, a także wszystkich tych, którzy przyczynią się do jej wydania, a którzy byli świadomi jej treści — skazuje się na śmierć".

Ajatollah Chomeini powtórzył wyrok śmierci na brytyjskiego pisarza. Dodał, że każdy muzułmanin, który zginie przy próbie zabicia Salmana Rushdiego ma zagwarantowane pójście do nieba. Wkrótce podano do wiadomości, że każdy Irańczyk, który zgładzi Rushdiego dostanie 2 miliony dolarów. Pewien gorąco wierzący mahometanin z Teheranu dołożył milion.

Pierwszy w sprawie Salmana Rushdiego zareagował Egipt. Potem Arabia Saudyjska i Pakistan zabroniły rozpowszechniania książki „Szatańskie wersety".

Nauczycielka z Teheranu powiedziała korespondentowi „Sunday Times'a".

— Zanim zaczęła się afera z Rushdim, nikt nie słyszał o nim. Teraz ludzie pytają: — kto to jest ten Rushdie? Teraz chcą wiedzieć więcej. Chciałabym przeczytać tę książkę. Nawet moja babcia, bardzo mocno wierząca muzułmanka, chciałaby ją przeczytać.

Po Teheranie krąży kilka egzemplarzy książki. Niektóre księgarnie zaczęły organizować sieć przemytniczą. Takiego obrotu sprawy Chomeini nie przewidział.

Walka toczy się w kierownictwie irańskim. Przywódca konserwatywnego skrzydła w Teheranie, wyznaczony na następcę Chomeiniego, ajatollah Hussain Ali Montazeri, zaproponował, aby Iran zareagował na książkę Salmana Rushdiego w *„religijny sposób"*. Chodzi o napisanie książki dyskredytującej Salmana Rushdiego w oczach opinii publicznej. Chomeini zignorował te sugestie.

Nakazał natomiast wychłostanie i uwięzienie czterech dyrektorów naczelnych radia irańskiego za obrażanie proroka Mahometa. Chodziło o wywiad, jaki nadało radio, z młodą Iranką, która jako wzór postępowania dla kobiet irańskich zaproponowała gwiazdę tasiemcowego filmu japońskiego zamiast, czego oczekiwał imam, córkę proroka. Karę 5 lat więzienia i 50 rózg zawieszono na interwencję szefa wymiaru sprawiedliwości Iranu Mussavi Ardebelliego.

Ajatollah Mehdi Roubani, przywódca duchowy szyitów mieszkających na Zachodzie, nazwał wyrok śmierci wydany przez Chomeiniego na Salmana Rushdiego — *„niesłusznym i niesprawiedliwym"*. Chomeiniego w dalszym ciągu trzyma w szachu ugrupowanie umiarkowanych, na czele którego stoi przewodniczący parlamentu irańskiego — Ali Akbar Rafsanjani będący także głównodowodzącym sił zbrojnych. Jest to grupa pragmatyków zmierzająca do nawiązania stosunków z Zachodem, dla których posunięcie Chomeiniego jest dotkliwym ciosem.

4. Zachód różnie zareagował.

Wielka Brytania zareagowała z oburzeniem. Salman Rushdie jest obywatelem tego państwa. Komentatorzy prawicowych gazet nie omieszkali przypomnieć, że Rushdie walczył z rządem brytyjskim, oskarżał go i białych Brytyjczyków o rasizm, był zajadłym przeciwnikiem pani Margaret Thatcher, sympatyzował z rewolucyjnymi komunistami brytyjskimi. Ich zdaniem powinien teraz, zamiast pod opiekuńcze skrzydła brygad antyterrorystycznych Scotland Yardu, udać się do Nikaragui. A jeśli nie, to przynajmniej opłacić z niemałych dochodów, jakie zapewnił mu wyrok śmierci Chomeiniego, prywatną ochronę osobistą. Za napisanie książki Salman Rushdie dostał wstępnie 850 tysięcy funtów.

Nie brakuje i takich, którzy twierdzą, że pisarz poruszający się w tak delikatnej sferze jak uczucia religijne milionów, i który jest świadomy zamieszania, jakie mógł wywołać swoją książką, powinien całą zarobioną sumę oddać społeczności islamskiej.

Francja początkowo kręciła nosem na propozycję zerwania stosunków politycznych z Teheranem. Minister spraw zagranicznych Roland Dumas wręcz się od tego odżegnywał, po czym po kilku dniach stwierdził, że Francja odwołuje swojego ambasadora z Teheranu.

Szwecja, Norwegia i Kanada odwołały swoich ambasadorów z Teheranu. Państwa EWG zamroziły na jakiś czas stosunki gospodarcze i kulturalne z Teheranem, a chargé d'affaires Iranu w Londynie powiedziano, że wprawdzie stosunków oficjalnie obydwa państwa nie zrywają, ale jego obecność w Londynie nie znajduje właściwie żadnego uzasadnienia. Tak było przed podjęciem decyzji przez parlament w Teheranie o całkowitym zerwaniu stosunków dyplomatycznych z Londynem.

W niedzielę 26 lutego 1989 roku ulicami Paryża przemaszerowała demonstracja muzułmanów. Domagano się głowy Salmana Rushdiego. Prezydent Francois Mitterand wypowiedział się krótko przed kamerami telewizji francuskiej.

— Demonstracje — tak. Groźby śmierci — nie.

Spotkało się to z aplauzem pani Margaret Thatcher, ale przeciwnik Francoisa Mitteranda — Jacques Chirac posunął się dalej. We wtorek — 22 lutego 1989 roku — na konferencji prasowej, przy ciszy jak makiem zasiał, powiedział:

— Jeżeli to byli Francuzi — to powinna spotkać ich surowa, przewidziana prawem kara. Jeżeli to byli obcokrajowcy — to trzeba ich odesłać do ich domów w rodzinnych państwach. Oczekuję, że rząd podejmie zdecydowane kroki.

Po przemówieniu mera Paryża w metrze ukazały się napisy: *„Muzułmanie won z Francji"*. Natomiast Szeik Abbas, rektor wielkiego meczetu w Paryżu, głowa francuskich muzułmanów, powiedział:

— Nie wolno obrażać uczuć religijnych człowieka, książkę się zatem powinno wycofać, ale nie wolno też domagać się śmierci bez sądu.

W Londynie sprawa wygląda zupełnie inaczej. Gdy zapytałem zaprzyjaźnionego Egipcjanina, właściciela baru z kebabami, o sprawę Salmana Rushdiego, najpierw ostrożnie rozejrzał się na boki, a potem odpowiedział mi po... francusku, aby go nikt nie zrozumiał.

— Ja go popieram, ale nie jestem muzułmaninem, a ci — pokazał głową na swojego pracownika, śniadego chłopaka uwijającego się przy ruszcie *— to już naprawdę... jakby go dopadli, to by go ze skóry obdarli.*

5. Strach przed zemstą.

Przez całą sobotę — 25 lutego 1989 r. — chodziłem po Charing Cross, która jest jedną wielką ulicą-księgarnią, a także po zaułkach, gdzie przycupnęły maleńkie księgarenki i nadaremnie szukałem „Szatańskich wersetów". *— Nakład wyczerpany* — oto co słyszałem. Wreszcie, w Covent Garden, w księgarni, gdzie można kupić takie rarytasy jak Bułhakowa, Witkacego i „Blaszany bębenek" — Grassa, sprzedawca powiedział mi:

— Mamy, bo my staramy się mieć wszystkie rzadkie książki.

— Nie macie kłopotów z powodu „Szatańskich wersetów"?

— Nie. Jak dotąd nie. Przyszła policja i ostrzegała nas, żebyśmy zdjęli książki z wystawy, bo to może ściągnąć na nas kłopoty. I tak zrobiliśmy, ale książkę można u nas kupić.

— Nie otrzymaliście gróźb, że podłożą bombę?

— Otrzymaliśmy. Wszystkie księgarnie w Londynie otrzymały. Kilka telefonów dziennie dostajemy.

— Nie boicie się?

— Boimy, ale uważamy, że nie wolno nam się dać sterroryzować fanatykom.

Wielkie księgarnie w Nowym Jorku zdjęły książkę z półek. Ich dyrektorzy twierdzą, że ważniejsze od wolności słowa jest zdrowie i życie klientów i personelu.

— Ty chyba nie masz zamiaru tłumaczyć tej książki? — zapytała mnie Candice dziennikarka BBC.

— Dlaczego mam nie tłumaczyć?

— Człowieku! — Candice zaczęła krzyczeć nie oglądając się na siedzących przy sąsiednich stolikach ludzi. *— Oni ciebie zabiją.* — Siedzieliśmy w pubie, w Soho, w sobotnie popołudnie. Ucichło jak makiem zasiał. *— Czy w Polsce są muzułmanie?* — Dziewczyna nie zwracała uwagi na patrzących na nas ludzi.

— Są — odpowiedziałem, czując się jakbyśmy siedzieli na scenie. — Parędziesiąt tysięcy.

— To przecież oni mają kontakty z Zachodem. Z muzułmanami na Zachodzie. I ci tutaj w Londynie cię sprzątną.

— Przesadzasz — czułem się jakby ktoś opowiadał mi film sensacyjny.

— Człowieku. Przecież przetłumaczenie jednej linijki z tej książki jest już objęte klątwą Chomeiniego. To przeklęta książka. A fanatyków nie brakuje. Zachód może zrobić co mu się podoba, a wyrok imama i tak jest prawem dla każdego muzułmanina.

Nie dla każdego, bo muzułmanie i w Egipcie, i w Anglii, i w Paryżu wypowiadali się przeciwko wyrokowi ajatollaha.

Jak ocenia Scotland Yard w Wielkiej Brytanii, wśród miliona muzułmanów, znajduje się co najmniej tysiąc zagorzałych fanatyków gotowych oddać życie, aby tylko zadowolić Chomeiniego. A poza tym jest znaczna grupa fanatycznych fundamentalistów. Jak silna jest społeczność muzułmanów brytyjskich świadczy fakt, że w Bradford ponad 70 procent mieszkańców stanowią Azjaci, którzy zażądali, aby Punjabi i Guarati były językami wykładowymi w szkołach. To właśnie w Bradford, a także w Birmingham, Manchesterze oraz w Londynie doszło do najpoważniejszych demonstracji. Palono egzemplarze książki i podobizny Salmana Rushdiego.

Brytyjski minister spraw wewnętrznych Douglas Hurd spotkał się z przedstawicielami społeczności muzułmańskiej w głównym meczecie w Birmingham i w ostrych słowach wystąpił przeciwko domaganiu się wykonania wyroku śmierci na Salmanie Rushdim przez muzułmanów brytyjskich.

Mieszkamy w tym samym państwie, jesteśmy jego obywatelami, podlegamy temu samemu prawu, nie możemy więc od niego odstępować, lecz musimy szanować tradycyjną brytyjską tolerancyjność i wolność słowa.

Sher Azam, przewodniczący rady muzułmańskiej w Bradford powiedział:

— O tej książce niektórzy mówią, że jest przejawem wolności słowa, ale tak naprawdę, to jest ona obrazą i szyderstwem. Jest różnica między wolnością a pozwalaniem na prowokację".

Jamayat Teligue ul-Islam, uczony muzułmański uważa, że książka jest tylko jednym z elementów ogólnej antyislamskiej prowokacji.

6. W obronie wolności słowa.

— Zdajemy sobie sprawę z tego, jak bardzo urażone zostały uczucia muzułmanów — powiedział mi angielski dziennikarz i działacz na rzecz ochrony działalności dziennikarskiej przed ingerencją cenzury w organizacji pod nazwą „Article 19". Prosił przy tym, abym nie podawał jego nazwiska do druku. *— Występowałem niedawno w telewizji brytyjskiej i muszę ci się przyznać, że miałem duszę na ramieniu. Nie chciałbym, abyś rozmawiał ze mną jako z osobą prywatną, lecz jako z przedstawicielem „Article 19". Wiesz, wielu dziennikarzy i pisarzy zrezygnowało bądź wręcz odmówiło występowania przed kamerami. I wcale nie ma się im co dziwić. Istnieje przecież zupełnie realna groźba. Dlatego my staramy się nie powiedzieć niczego, co mogłoby zaszkodzić Salmanowi Rushdiemu i wywołać jeszcze większy gniew. Szanujemy wiarę i przekonania innych. Uważamy, że wydanie wyroku nie zgadza się w ogóle z duchem czasów i z zasadami humanizmu. Dlatego i my, i inne organizacje, brytyjskie i międzynarodowe, pisarzy i dziennikarzy przygotowały odezwę, pod którą podpisują się ludzie z całego świata.*

PS. Obok tekst „posłania do świata", o którym mówił angielski dziennikarz:

14 lutego 1989 roku Ajatollah Chomeini wezwał wszystkich muzułmanów do odnalezienia i zabicia Salmana Rushdiego, autora książki „Szatańskie wersety" oraz wszystkich tych, którzy związani byli z jej opublikowaniem.

My, niżej podpisani, jako że bronimy prawa wolności do wyrażania opinii i przekonań, prawa zawartego w Deklaracji Praw Człowieka, deklarujemy, że my również czujemy się w pewien sposób związani z publikacją tej książki. Związani, bez względu na to, czy aprobujemy bądź nie jej treść. Jednocześnie wyrażamy głęboki żal, że w związku z konfliktem doszło do rozruchów, które pociągnęły za sobą utratę istnień ludzkich.

Chodzi nam o to, aby opinia światowa poparła prawa wszystkich ludzi do wyrażania przekonań i myśli, aby były one przedmiotem krytyki zgodnej z zasadami tolerancji, ale wolnej od cenzury, zastraszenia i gwałtu.

Wzywamy wszystkich przywódców na świecie, aby nie popierali gróźb skierowanych przeciw Salmanowi Rushdiemu i jego wydawcom na całym świecie i przedsięwzięli wszystkie możliwe środki, aby groźba ta nie została wypełniona.

Wśród tych, którzy je podpisali znajdują się: Michaelangelo Antonioni, Samuel Beckett, Joseph Brodsky, Frederico Fellini, Allen Ginsberg, Graham Greene, Ryszard Kapuściński, Norman Mailer, Czesław Miłosz, Alberto Moravia, Philip Roth, Anatoly Rybakov, Francoise Sagan.

M.B.

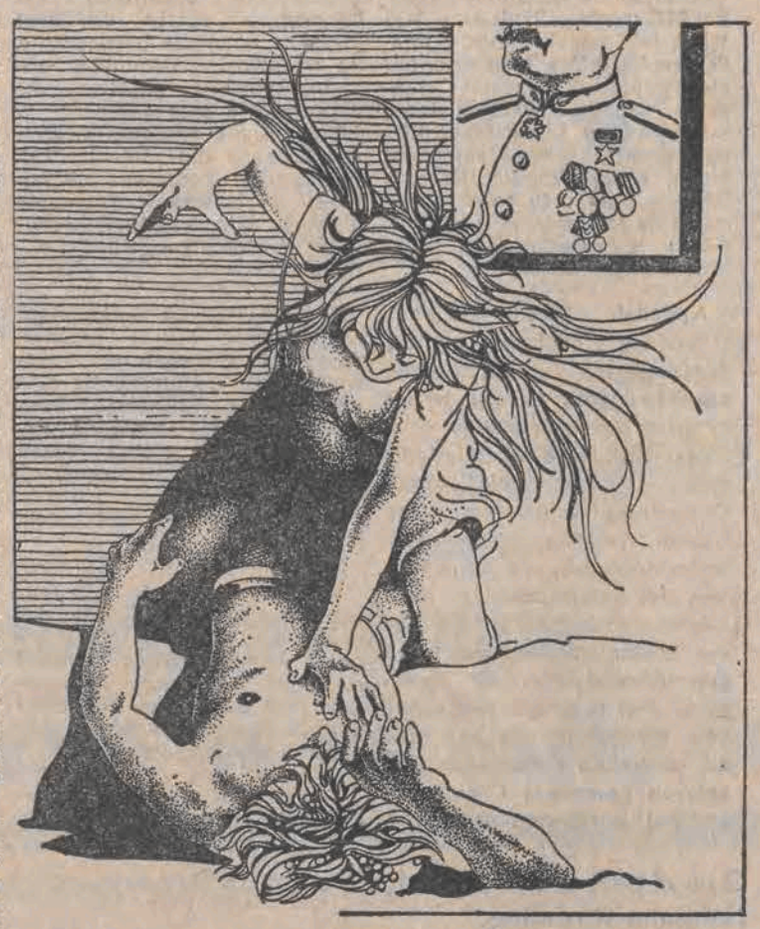

Rys. Dariusz Romanowicz

Fragment — bardzo ciekawej — nowej powieści przygotowywanej do drukul

Facet

LEONARD

Zaskoczenie było chyba obopólne.

Niecierpliwym ruchem ręki nakazała mi szybko wsiadać do samochodu. Co porabiam w city o tej porze? Sam!

— Mały spacerek dla zdrowia — odparłem zgodnie z prawdą — Właśnie rozglądałem się za taksówką.

— A moja siostrzyczka?

— Szlifuje niedzielny numer pisma. W piątki jest zawsze dłużej zajęta.

Cheryl uczuliła mnie na nią. Widziałem ją tylko raz, a we wszystkim, co ona mówi czy robi, dopatruję się podstępu. Na pewno niesłusznie. Cheryl hołduje powściągliwości, spontaniczna jest tylko w łóżku właściwie, podczas gdy z młodszej siostry temperament wylewa się bez ograniczeń. Takie różnice charakteru nie sprzyjają zażyłości.

Wtuliłem się w oparcie fotela i sięgnąłem po papierosy. Spytałem czy zapali, ale odmówiła. Do prowadzenia wozu, powiedziała, potrzebuję obu rąk, co za chwilę nie przeszkodziło jej w oparciu lewej ręki na moim kolanie. Workowatą spódnicę z grubego jerseyu niedbałym ruchem zarzuciła sobie na uda. Niezręcznie uciekłem wzrokiem z jej nóg na szybę przed sobą. Ubawiłem ją tym.

Nie czułem się najlepiej. Potop jaskrawych świateł z ulicy przydawał Sahrze czegoś demonicznego. Na niedawnym wieczorku zaprezentowała się jako zbuntowana nastolatka, nie zdająca sobie sprawy ze swego działania na mężczyzn. Teraz siedziałem u boku powabnej kotki pewnej swych sił. Spokoju nie dawała mi inkwizytorska myśl: czy jej bielizna osobista, której rąbek wystawał spod zadartej spódnicy, składa się tylko z kusej halki w koronki?

Nie odwoziła mnie do domu, ja natomiast zdałem się bezwolnie na nią. Niepodobne to do mnie. Cheryl też wsiadła do zajętej przeze mnie taksówki jako druga i dała się wieźć wprost do mego łóżka. Sahra wygląda na bardziej przedsiębiorczą od swojej siostry.

Ona jest ostra z mężczyznami, mówiła o niej Cheryl. Zdolna do kazirodztwa.

Mostem Alberta przejechała na południowy brzeg Tamizy i poprowadziła wóz wzdłuż słabo oświetlonego Battersea Parku, w którym nie ma wieczoru, aby nie napastowano samotnych kobiet. Nigdy w tej części Londynu nie byłem.

— Przepraszam — przerwała milczenie. — Przy wjeździe na Queentown Road trzeba o tej porze uważać. Rush hour. Urzędasy wracają do pieleszy domowych. O czym to mówiłeś?

W myślach żegnałem się z nią przed jakimś domem. Pocałować ją na dobranoc? Podać tylko rękę? Wprosić się do środka? A co, jeśli ona zabierze się do mnie?

Sahra ściągnęła palcami moje udo.

— O czym to było, pytałam.

— O tym mordercy z wczorajszego „Evening Stara". W ciemnościach i samotna winnaś uniknąć tej trasy.

Wzruszyła ramionami.

— Każda znajduje to, czego szuka.

Zredukowała bieg, dłoń wróciła na moje udo.

Minęliśmy jeszcze dwie przecznice zabudowane jednopiętrowymi domami z końca ubiegłego wieku, czekającymi chyba na wyburzenie i znaleźliśmy się na miejscu.

— Wysiadamy — zakomenderowała. — Nie zamierzasz chyba nocować w tym pudle.

Wręczyła torbę z zakupami, z której wystawała butelka francuskiego wina i poprowadziła do wejścia.

— Rozejrzyj się po kątach, ja tymczasem zagrzeję wodę — Wspięła się na palce i musnęła mnie w policzek. — Cały mój pałac do twojej dyspozycji.

Mieszkanko podoba mi się. Trzy przyjemnie urządzone pokoje, kuchnia, łazienka — wyobrażam sobie, ile ono kosztuje. Czynsz obniża położenie domu na uboczu od city i sąsiedztwo ludności kolorowej. Problem współczesnej Anglii.

Kobiety nie godzą się łatwo ze swymi porażkami. Eunice Stanford dotrzymała słowa. Kiedy jej małżonek rozpłynął się we mgle autostrady do Bristolu, zadzwoniła. Pamiętam mój jednoosobowy konkurs piękności pań na party, z którego wysłała zwycięsko słyszę jej dowcipną dezaprobatę dla żylastej wołowiny z hodowli jej kalifornijskiego wuja, nigdy nie zapomnę furii zazdrości, jaka obudziła w Cheryl, a już w ogóle artyzmu czy bezczelnej niefrasobliwości — jak kto woli — wciśnięcia mi na jej wszystko widzących oczach serwetki z numerem telefonu. Sztuka, klasa, szyk. Mile ją wspomniałem. Oczarowanie miało jednak trwałość bańki mydlanej. Telefonując Eunice nie kusiła mnie do skosztowania jej jabłuszka, a tonem zobowiązanego słowem dłużnika zawiadomiła o swojej gotowości starcia się ze mną w łóżku. Już. Za godzinę. Bo o piątej po południu umówiona jest z fryzjerką.

Gdyby nie mówiła do mnie jak do hydraulika, który ma przyjść i zrobić coś z tą przeklętą instalacją wodną, to rozmowa nasza może nie zakończyłaby się nazwaniem mnie głupcem, który za swoją ślepotę kiedyś zapłaci, i trzaśnięciem słuchawką. Coś zupełnie innego jest natomiast z Sahrą. Nic lepiej nie oddaje mego zakłamania, jak będąc rozkochany w jej siostrze, pożądać jej. Ale to prawda. Myśl o niej nie opuszcza mnie nawet podczas stosunku z Cheryl. Cheryl ma rację: opętała mnie i nie da spokoju, dopóki nie osiągnie swego. Nie pytam, czego?

Wypiję herbatę, postanowiłem, i do domu! Zegar na kominku wskazywał siódmą. W piątki Cheryl przesiaduje w redakcji dłużej, niekiedy do dziewiątej. Gdyby wróciła przede mną, nieobecność moją wytłumaczy biurko zawalone notatkami do kolejnego odcinka „kulisów". Od tygodni pasjonują licznych czytelników jej pisma. Ich rodowód jest dla mnie bardzo prywatny, w jakiejś mierze przyczynił się do konfliktu między rodzicami. Mówi o dziewczęcych latach mojej matki urodzonej we wschodniej części przedwojennej Polski „spędzonych" — szydercze słowo — w stalinowskich łagrach za Uralem. Z tysięcy Polek, wywiezionych tam z jej miasta wróciło po wojnie do kraju kilkanaście żywych kościotrupów w zawszonych łachmanach, zmuszonych, pod groźbą zniknięcia bez śladu do przemilczenia swojej gehenny. Dla felietonistki Cheryl Reginy Hopkins firmującej swoim nazwiskiem rewelacje tej nieznanej zachodniemu światu makabry jestem, jak się to tu określa, „źródłem dobrze poinformowanym". To cenione przez czytelników źródło wiadomości zawsze godnych uwagi.

Zjawa oczarowała mnie: tak ponętnej kobiety nie widziałem. Do salonu wszedł rajski ogród. Z tkliwością przygarnąłem nogą Sahrę do siebie i czując już smak jej kwiatu zostałem nagle rażony niemocą. Nie rozpoznawałem siebie. Władza nad własnym ciałem, zawsze mi posłusznym, uleciała i bezbronnego zostawiła na łasce złego czarownika radującego się z moich bezowocnych wysiłków. Za przywrócenie mi mocy na tę noc byłem gotowy zapłacić życiem. Mógłbym wyć z rozpaczy.

Z zamkniętymi oczami Sahra czekała na przewalenie się przez nią tornada, huraganu, burzy z piorunami. Gdy to nie następowało, kiedy nie nadchodziły cyklon, zawierucha, nie zalewała ją rozkosz, czekała na deszcz, najzwyklejszy, który ona w swej wyobraźni rozpętałaby w miłosny koniec świata. Kiedy i to okazywało się niespełnialne, była najprawdopodobniej gotowa ukontentować się namiastką deszczu, kroplą wody nawet. Gdy nieszczęście moje przeciągało się w wieczność, leżała z oczami szeroko rozwartymi, nic nie rozumiejącymi; długo tak leżała, nie reagując na oszukańcze manewry po swoim ciele moich warg i palców. Potem wyniosła się z puszystego kanapotapczanu do łazienki i zamknięta tam czekała, dopóki nie zatrzasnąłem za sobą drzwi.

Z duszą na ramieniu jechałem taksówką do domu. Ponury jest Londyn o północy. Cmentarna pustynia z betonu i szkła. Cheryl z pewnością obdzwoniła już za mną cały świat Scotland Yardu nie wyłączając. Alergicznie nie znosi pustych ścian. Wracając później niż zwykle z redakcji Adam czeka na nią za stołem zastawionym kolacją. Jej Adam. W jej domu. Urodzona posiadaczka.

Przejazd przez połowę Londynu kosztował mnie krocie. Nieważne. Nic w tej chwili nie ma znaczenia. Dom był ciemny. Okna na piętrze, gdzie znajduje się nasza sypialnia, patrzyły w ulicę martwymi oczami Cheryl śpi. Umordowana pracą i niepokojem o mnie uległa zmęczeniu. Obraz skulonej w fotelu z telefonem na kolanach wzruszył mnie. Kochana! Moją wiarołomność wynagrodzę jej, choćbym miał się zaprzedać diabłu. Nie przyznam się do zdrady. Jutro uzgodnię to z Sahrą, i na tym koniec z nią. Umowę przypieczętuję koszem kwiatów i jakimś prezentem. Tylko ta moja chuda kieszeń!

Cicho przebrnąłem barierę drzwi, spojrzeniem złodzieja obmiotłem rozjaśniony uliczną lampą salon i skradając się w górę ciemnych schodów dobrnąłem do zawsze otwartej sypialni. Pustej. Zapaliłem światło. Nasze szerokie łoże stało nietknięte. Cheryl jeszcze w redakcji, a może na małym drinku z okazji powrotu z Polski Freda Gardinera — zupełnie o tym zapomniałem. Odetchnąłem z ulgą.

Ciocia Laura z portretu, ta cyniczna podglądaczka naszych harców miłosnych zdawała się wiedzieć, skąd powracam, ale nie potępiała mnie. Posłałem jej całusa. Ona współżyje z nami. Im wymyślniejszy jestem w łóżku, tym większą sprawiam jej przyjemność. Prawdę powiedziawszy jej wydatne usta i dumne piersi podniecają mnie. Jak też ona mogła się kochać? Niekiedy wydaje mi się, że spółkuję z dwiema kobietami naraz. Że wchodzę raz w jedną, raz w drugą — na przemian — smakując, która jest lepsza. Cheryl uwielbia perwersję i sama mnie o to pyta. Teoretycznie niby. Trójkącik. Jestem w łóżku z nią i, powiedzmy, z taką Laurą. Jak by to było?

Odświeżyłem się, przebrałem i rozładowany z napięcia przystąpiłem w gabinecie do pracy. Jak dobrze, że Cheryl nie ma jeszcze w domu!

„Poprzednie odcinki „kulisów" nafaszerowałem aktami sobiepaństwa decydentów władzy traktujących Polskę jak własny folwark, wypisz-wymaluj Kafkowsko-Orwellowski krajobraz przeniesiony tylko do przodu o kilkadziesiąt lat. Wystarczyły fakty znane z domu, nie potrzebowałem uciekać się do koloryzowania. Odgłosy z zewnątrz mówiły o wywołaniu zaciekawienia u czytelników, wiedziałem jednak, że daleko na tym paliwie nie ujadę.

Na murze duży plakat ze zdjęciem starego mężczyzny. Fotograf tego się napracował nad wyretuszowaniem jakichś skaz urody, bo z daleka widać, że zdjęcie było robione na pomnik.

Twarz jak twarz: sumiasty wąs, zmysłowe wargi, mocno osadzony nos znamionujący chłopski upór, naburmuszone lodowate oczy, krzaczaste brwi, gęsta szczecina włosów, całość osadzona na krótkim silnym karku — niczego sobie, powiedziałbym, ale nie wiem, czy chciałbym spotkać się z nim w ciemnym borze. Do jego figury nie można się przyczepić, poza tym, że nie wyrośnięta w górę. W sumie w normie, choć coś w nim nie tak. Aha, buty! Juchtowe, z cholewami rosyjskiego muzyka, chyba o numer albo o dwa za duże (pewnie z powodu odcisków), które w żadnym razie nie pasują do przepychu kremlowskiego pałacu oraz odzienie — ni to cywilne, ni wojskowe — liturgiczne jakieś to, podstępnie pretensjonalne. I ta lewa ręka, jak gdyby krótsza od prawej, wyrastająca tylko knykciami z rękawa. Ale poza tym żadnych rażących szczególności.

Gdyby mnie spytano, kim jest ten człowiek z zawodu, nie wiem, co bym powiedział. Na pewno nie lekarzem, nie nauczycielem, żadnym artystą, przyparty zaś do muru, po dokładnym przeanalizowaniu wszystkiego za i przeciw, zaryzykowałbym, że ekonomem majątku ziemskiego gdzieś na zapyziałym wschodzie, a jak nie tym to treserem dzikich zwierząt, albo naczelnikiem więzienia o obostrzonym rygorze, choć do końca nie byłbym tego pewny. Szynel! Bardzo utrudnia przypisanie go do wyraźnie określonej grupy społecznej polowy szynel wojskowego kroju noszony bez pasa, rozpięty, też za duży, sięgający prawie do kostek. Jakaś nietypowa to postać, ale na pewno nie śmieszna.

Nad zdjęciem tłustymi literami: LIST GOŃCZY.

DŻUGASZWILI JOSIF WISSARIONOWICZ alias JÓZEF STALIN, urodzony w 1897 roku w Dodo-Lolo rejonu Tyfliskiego, z ojca Wissariona Iwanowicza, szewca, matki Katarzyny, wyznanie — prawosławne, wykształcenie — słuchacz Gorijskiego Seminarium Duchowego, wzrost — 2 arszyny i 1/2 werszka (160 cm), budowa ciała — przeciętna, włosy i wąsy — ciemnokasztanowe, oczy — ciemnożółte, czoło niskie, nos długi, na twarzy ślady po ospie, uzębienie słabe, podbródek ostry, głos cichy, chód powolny. Na lewym uchu — pieprzyk. Na lewej nodze: drugi i trzeci palec zrośnięte.

Rewolucjonista, bliski współpracownik Lenina, od 1924 do 1953 roku przywódca Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich.

Cechy charakteru: cichy, małomówny, pracowity, konsekwentny, skromny, stroniący od dóbr materialnych i przepychu.

Mentalność: władcza, skryta, mściwa, despotyczna, bezwzględna.

Miłośnik poezji, literatury, sztuki filmowej i teatralnej. Balet „Jezioro łabędzie" wystawiany w Teatrze Wielkim w Moskwie oglądał trzydzieści razy, z oper najbardziej lubił „Carmen" ze znaną śpiewaczką M. Maksakową w roli tytułowej.

Pod zdjęciem:

Oskarżony o popełnienie zbrodni ludobójstwa. Ten, co ujawni je światu w pełnym wymiarze, zyska sobie wieczną chwałę.

Jeśli dojdzie do procesu, na sali Sądu Narodów obok oskarżycieli znajdą się i obrońcy. Odwołują się tylko do faktów.

Wewnętrznie rozbite państwo, powiedzą, rozlatujące się, scementował w monolit. Kraj we wszystkich dziedzinach zacofany, niedorozwinięty w krótkim historycznie czasie przekształcił w światową potęgę przemysłową. Narodowi ciemnych robotników i upaństwczyźnionych chłopów analfabetów przyniósł oświatę. Z niczego stworzył siłę militarną, która w walce zbrojnej unicestwiła potęgę hitlerowskich Niemiec i przyniosła Europie wyzwolenie.

Mając takie argumenty srogo i długo będą się spierać obrońcy z oskarżycielami.

Akt oskarżenia zarzuca mu z grubsza wymordowanie milionów obywateli Kraju Rad, w tym całego (poza jednym marszałkiem i niewieloma generałami) dowództwa Czerwonej Armii, prawie wszystkich członków wszystkich szczebli kierownictwa państwowego i publicznego, tysięcy artystów teatru i kina, malarzy, rzeźbiarzy, poetów, pisarzy, dramaturgów, dyplomatów, konstruktorów, inteligentów w ogóle, zakwalifikowanie żołnierzy radzieckich wziętych podczas wojny, z winy jego własnego nieudolnego dowództwa, do niewoli do kategorii zdrajców ojczyzny i zastosowanie wobec ich krewnych odpowiedzialności zbiorowej do kary śmierci włącznie. To spośród ludzi jemu obcych. A spośród ludzi jemu najbliższych:

— rozstrzelanie brata swojej pierwszej żony, starego bolszewika Aleksandra Siemionowicza Swanidze,

— zamordowanie w tym samym łagrze w Kazachstanie żony Aleksandra, Marii Anisimowny,

— zesłanie do łagru na Syberii ich syna Iwana,

— zamordowanie Mariki, siostry swojej pierwszej żony,

— doprowadzenie do zabójstwa swojej drugiej żony Nadieżdy Alliłujewej,

— zesłanie na katorgę Anny Siergiejewny Alliłujewej, siostry swojej drugiej żony,

— rozstrzelanie Stanisława Redensa, męża swojej szwagierki Anny Siergiejewny Alliłujewej,

— zamordowanie swego drugiego szwagra Pawła Alliłujewa,

— zesłanie na katorgę jego żony Jewgienii Aleksandrowny Alliłujewej,

— zesłanie na katorgę Kiry Pawłowny, córki Pawła i Jewgienii Alliłujewów,

— zesłanie na katorgę Juliany, żony Jakowa, syna ze swego pierwszego małżeństwa...

Nigdy nie zrozumiem mego ojca, który po wyzwoleniu kraju, oddał się na usługi NKWD i jako oficer ponurej sławy X Departamentu Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego przyczynił się do uwięzienia i śmierci wielu Polaków tylko za to, że walczyli o Polskę nie pod sztandarami komunizmu. Będąc dzieckiem nie wyznawałem się na prerogatywach jego władzy. Kiedy zasypiał w swoim pokoju, przyciągał mnie ku niemu pistolet gotowy do strzału, leżący na nocnym stoliku. „Siepaczem" nazywała go w złości matka. A ja, według niej, jestem jego wierną repliką. No, no, tylko sobie pogratulować. Replika, nie replika — nie będę oszczędzał jego brudnej skóry!

Trzecia nad ranem. Tak się zapracowałem, że zapomniałem o świecie. Zupełnie zapomniałem o Sahrze. Ale co z Cheryl? Gdzie się zapodziała?

Sięgnąłem po papierosa, gdy przez nie zasłonięte storami okna wdarły się do gabinetu światła reflektorów samochodu hamującego przed domem, tupot męskich kroków, trzask drzwiczek wozu, po sekundach pisk ostro startujących opon. Wyjrzałem przez okno. Na żelaznym ogrodzeniu domu zwisała postać kobiety. Pobiegłem do wyjścia.

To była Cheryl. Spita na umór. Gdzie ona się tak zaprawiła?

Bezwładną zaniosłem na górę, rozebrałem i położyłem do łóżka. Rozbierając ją zauważyłem, że rajstopy w kroczu są brutalnie rozerwane... Pociemniało mi w oczach.

Boże, jak ona wygląda!

Pytania w rodzaju: gdzie byłaś? z kim? dlaczego mnie nie uprzedziłaś, że wrócisz później? (mnie nie wolno telefonować do redakcji) są niegodne ludzi kulturalnych, są form out there — wiadomo skąd — czyli azjatyckie. Zresztą i tak nic do niej nie docierało.

Ręcznikiem zwilżonym w ciepłej wodzie zmyłem z niej rozmazany makijaż. Odświeżając całą nie obroniłem się przed najgorszym. Dno upodlenia, dalej nie można się posunąć. Obwąchiwałem ją, niczym pies sukę. Zaglądałem do środka, jak gdyby była skrytką na wizytówki zalatwiających się tam samców — okropny jestem w zazdrości o nią. Skomląc nad sobą wyssałem pochwę ze skażonej krwi orgiastycznie się w tym zapominając, wreszcie udręczony nakryłem nagą i po wieczności mocowania się z sobą wśliznąłem się pod kołdrę.

Ona jest bez winy. Jest zagubionym na pustyni wędrowcem, co podstawi się pod każdą kroplę wody, skądkolwiek by padła. Jej ręka wówczas w taksówce pełzająca w górę mego uda, czym tak wbiła mnie w dumę, wcale nie była zasługą mojej imponującej męskości — ona po prostu taka jest i zrobiłaby — r o b i t o — z każdym, kto w chwili łaknienia znajdzie się w jej zasięgu. Więc to zapis genetyczny. Ona naprawdę jest bez winy. Jej spóźnione powroty z podbitymi oczami i na glinianych nogach... Zakaz telefonowania do redakcji.... Cholera jasna! Powinienem zrzygać się na siebie.

Kobieta w łóżku śmierdziała piwem, cuchnęła spluwaczką; musiałem zlać ją flakonem wody kolońskiej. Jej piersi, brzuch, nieprzytomnie rozrzucone uda, których nigdy nie mogłem się nacałować do syta, pokąsane były czyimiś zębami. Mógłbym płakać. Przeklęta Sahra! Bogowie, jaką cenę kazaliście mi zapłacić za chwilę słabości. Świadkiem mojej rozpaczy była ciocia Laura — ta „rezerwowa" w łóżku — ochocza ukoić sobą moje cierpienie.

Otrzeźwienie nie dało na siebie długo czekać. Kiedy wody uładziły się we mnie, dostrzegłem, że jestem wobec Cheryl zupełnie bezbronny Że odtąd będę akceptować każde jej szaleństwo, byle tylko nie odtrąciła mnie od siebie.

Niedługo później chwyciły ją torsje W ostatniej chwili zdążyłem duszącą się wynieść do łazienki. Piła na pusty żołądek. Jak zwykle, kiedy na drodze pojawi się przeszkoda, której nie może przeskoczyć.

Jak dobrze, że nie spałem. Pozostawiona pod ogrodzeniem mogła nabawić się zapalenia płuc, paść ofiarą rabusia Nocą Londyn od dawna przestał być bezpieczny dla samotnych kobiet...

W weekendy wysypiamy się do oporu. Ten weekend zaczął się inaczej. Pełen obaw wpatrywałem się w jej trupio sine powieki. Ciężkie zatrucie alkoholem pogłębione zmuszeniem przeze mnie nieprzytomnej do orgiastycznej wspinaczki na szczyt wysokiej góry. Lepiej nie myśleć o możliwych skutkach. Nie mam doświadczenia z pijakami. Matka podawała ojcu kawę na wzmocnienie serca. Dużo kawy, otwierała szeroko okna, resztę pozostawiała jego organizmowi.

Dopiero w południe Cheryl otworzyła oczy.

Śniadanie dzisiaj nie może być rozpustne: jajko, grzanki, bułgarski dżem z płatków róży, gazowana woda mineralna z zamrażalnika na przepędzenie kaca, dopóki nie dojdzie do porozumienia z żołądkiem, żadnych tłuszczów. I duży dzbanek kawy z ekspresu.

W drodze na górę postanowiłem święcie nie robić jej żadnych wymówek. Ani zadawać pytań, które zawsze prowadzą w zaułek bez wyjścia. Bo jeśli spojrzeć na sprawę z ręką na sercu, nie jestem bez winy. Oby tylko nie wyskoczyła z czymś Sahra.

Woskowa, oparta na poduszce Cheryl przywitała mnie przeraźliwie smutnymi oczami. Przypadłem do jej rąk. Nie ma rzeczy, której bym jej nie wybaczył.

— I am sorry — powiedziała.

Ona nie umie płakać. Inna na jej miejscu rzecz utopiłaby w morzu łez.

— Muszę ci coś wyznać — dodała z głębi swego zamyślenia. — Coś dla ciebie, dla nas obojga ważnego...

Położyłem dłoń na jej spierzchniętych wargach.

— Nie mówmy o tym. — Nic dla mnie nie jest ważniejsze od niej samej. — Zapomnijmy o tym, Cher. Po prostu zapomnijmy.

Odsunęła moją dłoń.

— Ale nie możemy. Nie powiem ci tego ja, to...

Pokręciłem błagalnie głową na nie.

— Nie możemy! — ciągnęła. — Nie powiem ci tego ja, dowiesz się skądinąd, i to szybko. To moja wina. Nie pamiętam, jak to się stało. Nic z tej nocy nie pamiętam, ale prawdopodobnie roztrzaskałam nasz wóz.

Reporter „Odgłosów" na Komorach

Psy wojny nie cierpią ciekawskich

ANDRZEJ MAKOWIECKI

1.

Komory były kiedyś zamorską posiadłością Francji. Nim jego Ekscelencja Ahmed Abdallah Abderamane został prezydentem Islamskiej Federacyjnej Republiki Komorów, a było to w roku 1978, zasiadł w parlamencie francuskim i nabrał tam odpowiedniego szlifu, co mu się później przydało w rządzeniu niepodległym archipelagiem wysp na Oceanie Indyjskim pomiędzy Madagaskarem a wschodnim wybrzeżem Afryki.

Ahmed Abdallah Abderamane zapatrzył się jak gdyby trochę na generała Charlesa de Gaulle'a. De Gaulle miał swoich czterech goryli: Raymonda Sasię, Henriego d'Joudera, Rogera Tessiera i Paula Comitiego, zatem Ahmed Abdallah też postarał się o czterech wykwalifikowanych ochroniarzy, których nazwiska nie są nikomu znane. De Gaulle dysponował gwardią do obrony Pałacu Elizejskiego i Abdallah także obstawił swoją twierdzę bojówką złożoną z kilkunastu wytrawnych komandosów, gotowych udaremnić każdy zamach na głowę państwa. W Moroni, stolicy Republiki Islamskiej, znajduje się niedaleko portu prywatne lotnisko prezydenta — przyjeżdżał na nie pancernym samochodem w asyście uzbrojonych po zęby snajperów i odlatywał w niewiadomym kierunku.

Pod twierdzą prezydenta zawsze czeka gotowy do startu helikopter z dyżurnym pilotem, nie żywi jednak ekscelencja do twierdzy zbytniego zaufania, toteż naród buduje mu na zboczu góry za granicą miasta nowe warowne zamczysko. Poza tym posiada Abdallah dwie inne rezydencje — jedną na niewielkiej, malowniczej wyspie Moheli i drugą na wyspie Anjouan, gdzie przyszedł podobno na świat.

Wedle plotki ekscelencja jest krezusem mogącym śmiało iść w zawody z szejkami Kuwejtu. Wszelako panowanie nad wyspiarskim krajem wydaje mu się sprawą wielce niebezpieczną i trudną. Prezydent nie dowierza swoim łagodnym poddanym, którzy stanowią naród wyjątkowo spokojny. Nie chcę porównywać Komorów z żadnym innym krajem na świecie, powiem tylko, że Piotrkowska, moja ukochana ulica, jest wielekroć niebezpieczniejsza niż jakikolwiek ciemny zaułek w Moroni czy Mutsamudu; nie ma gwałtów, nie ma morderstw, nie ma napadów na sklepy i banki, a to z tego powodu, iż przestępcom brak perspektyw ucieczki — dookoła woda, nie wiadomo, gdzie się schować; ludzie wiedzą o sobie wszystko.

Pewien Komoryjczyk, którego nazwiska z wiadomych względów nie ujawniam, obwiózł mnie i kapitana Henryka Walkiewicza po stolicy, która jest pięćdziesięciotysięczną aglomeracją bez przemysłu i bez fabryk, dzięki czemu oddychasz tam znakomicie. Pokazał nam bogate hotele, w których pokój kosztuje od trzydziestu do czterdziestu dolarów za dobę i nikt nie ma do ciebie pretensji, jeśli rąbniesz sobie kielicha. Pokazał nam ministerstwa i ambasady, wśród których zwraca uwagę na nie ukończony jeszcze kolos Chińskiej Republiki Ludowej. Pokazał muzea i meczety i wyznał z rozbrajającą szczerością, że skoro już mowa o porcie, to oni tutaj nie dysponują nawet planem rozmieszczenia raf koralowych i skał, więc gdyby kapitan Walkiewicz wyraził zgodę, chętnie to sobie od niego przekalkują i odpiszą.

Komory posiadają samoloty i lotniska, nie doczekały się natomiast jak dotąd ani jednego handlowego statku i ani jednego okrętu wojennego, zat n skąd jak skąd, ale z Komorów nie zagraża Polsce agresja. Całą flotę tego kraju stanowi luksusowy jacht prezydenta. No, są jeszcze dżalby, masztowce, na których nie powiewają żagle, bo modniejsze są wiosła. Są jeszcze łodzie rybackie o pływakach — stabilizatorach broniących przed nadmiernym kiwaniem. Frachtowce obcych bander nie wchodzą do portu i nie cumują u kei ze względu na wspomniane już bariery raf koralowych, zatem podpływają do nich dżalby, żeby wziąć ładunek oficjalny, i rybackie łódki, żeby popróbować handlu.

2.

Tego Komoryjczyka, co obwiózł nas samochodem po Moroni na Wielkiej Komorze, zaczęliśmy wypytywać, czy prezydent i rząd mają w ogóle jakąś opozycję.

— *Mają.*

— Dużą?

— *Niedużą.*

— I na pewno niebywale grzeczną?

— *Oczywiście, że grzeczną. Kto nie jest grzeczny, zostaje natychmiast wyregulowany.*

— Jak?

— *Chłopcy prezydenta wywożą go za miasto i zaczyna się perswazja przy udziale niewielkiej ilości słów.*

Ahmed Abdallah Abderamane, którego portrety wiszą na ścianach wszelkich instytucji i urzędów, ma czarną, łagodną twarz pobożnego muzułmanina lubiącego życie — nic z ascezy, nic z okrucieństwa. On podobno apeluje do swoich chłopaków:

— *Bądźcie wyrozumiali, bądźcie pobłażliwi! Po co od razu rozlewać krew? Po co od razu kłuć, strzelać, dusić i mordować? Nieraz zwykły ostrzegawczy kop w jaja przynieść może nadzwyczajne rezultaty.*

Nieufność i podejrzliwość Jego Ekscelencji posunięte są tak daleko, że wojsko i policja chodzą na Komorach bez broni. W broń wyposażone jest tylko zgraja najemników, no i goryle z osobistej obstawy, policjantom zaś i wojakom muszą wystarczyć gołe ręce.

Porozmawiałem sobie kiedyś z jednym takim gliniarzem podczas meczu piłkarskiego w Mutsamudu na wyspie Anjouan. Wzrostu to on liczył jakieś metr pięćdziesiąt osiem i był wyraźnie niedożywiony. Gdyby wpadł dajmy na to na polskiego matrosa, skończyłoby się to dla niego katastrofą. Wyznał, że zarabia kiepsko i że chętnie by nabył kilka kremów nivea oraz flachę. Jasne, że tłucze tbem o posadzkę w meczetach i jest wiernym wyznawcą Proroka, skoro jednak wszyscy korzystają z życia, on też chciałby umoczyć dziób.

Paliliśmy i obserwowaliśmy ten mecz na piaszczystym, graniczącym z portem boisku o prawizorycznych bramkach bez siatek. Sędzia i zawodnicy byli w kostiumach, ale nie mieli korków i getrów. Grali w tramtkach i robili to z wdziękiem. Początkowo sądziłem, że patrzę na potyczkę drużyn amatorskich, ale gliniarz objaśnił mnie, że jest to spotkanie pucharowe na wysokim szczeblu komoryjskiej extraklasy pomiędzy reprezentacją wyspy Anjouan i pierwszym zespołem wyspy Moheli. Kiedy padał gol, strzelec rzucał się na ziemię i całował płytę boiska, a stojący wzdłuż linii autowych kibice porywali go w ramiona i podrzucali w górę, aż wrzeszczał. Nie wiem, jakim cudem komoryjczycy przyswoili sobie ten światowy obyczaj, nie mają bowiem telewizji, a radio nadaje tylko przez godzinę w Moroni. Nie było to przecież specjalnie ważne; bardziej interesował mnie gliniarz. Co też on umie? Skoro pracuje bez kopyta, musi być chyba niesłychanie wyszkolony fizycznie...

Zapytałem:

— Znasz boks?

— *Nie znam.*

— A judo?

— *Nie znam.*

— A karate?

— *Nie znam.*

— To co tu robisz?

Popatrzył na mnie smolistymi, poczciwymi oczyma i odparł z godnością:

— *Jak to: co? Pilnuję porządku!*

Dysponując taką armią i taką policją prezydent może spać spokojnie — nie odbiorą mu władzy. Ale nie pomogą mu również jej utrzymać.

3.

Flaga komoryjska ma cztery zielone gwiazdy symbolizujące unię czterech wysp archipelagu, trzeba jednak od razu powiedzieć, że jedna z owych pięknych, ciepłych, górzystych wysp stroni od federacji z Republiką Islamską. Aczkolwiek geografia i ONZ zaliczają Mayotte do Komorów, podczas referendum w 1975 roku sześćdziesięciotysięczna ludność tej wyspy opowiedziała się zdecydowanie, prawie w stu procentach, za pozostaniem w strefie wpływów francuskich Mayotte'aniczycy nie chcieli niepodległości, nie chcieli wolności, nie chcieli również ugiąć karku przed Mahometem, bowiem znakomita ich większość, to praktykujący katolicy.

Nie muszę chyba dodawać, że Mayotte dobrze na tym interesie wyszła. Urzędowym językiem jest francuski, urzędową monetą — krzepki francuski frank; radio wali od rana do nocy francuskie przeboje, półki sklepowe jęczą pod ciężarem importowanych towarów, gorzała i piwo leją się w knajpach strumieniami, whisky kupisz w magazynie za pół ceny obowiązującej na czarnym rynku w Mutsamudu czy Moroni; są warsztaty złotnicze, są księgarnie, gdzie otrzymasz bez trudu dzieła literatury światowej i aktualne wydawnictwa naukowe, krótko mówiąc: Mayotte tworzy w tym dalekim, egzotycznym i ubogim rejonie coś w rodzaju europejskiego przyczółka, na którym ludziom dzieje się stosunkowo nieźle i wesoło.

Mayotte rządzona jest z innej, maleńkiej, kolistej wysepki Dzaoudzi, połączonej groblą z jeszcze jedną niewielką wyspą Panandzi. Zwiedziłem wszystkie te trzy wyspy, poświęcając najwięcej czasu ośrodkowi dowodzenia.

4.

Maleńka Dzaoudzi zachowała pozostałości administracji kolonialnej. Tu jest port, do którego, jak i w Moroni, taszczy się łodziami towary ze statków zakotwiczonych na redzie. Tu są szpitale, banki, przychodnie, urzędy, a także wzniesiony w 1844 roku pałac gubernatora z łopoczącą flagą francuską na dachu, a w środku z portretem prezydenta Mitteranda, widocznego również w wielu innych wnętrzach, podczas gdy Jego Ekscelencji Ahmeda Abdullaha Abderamane nie zobaczysz nigdzie. Znajdziesz wreszcie na Dzaoudzi siedzibę Legii Cudzoziemskiej, i ona właśnie była moją główną troską. Spędziłem u jej bram pięć dni obserwując z typową dla autora bezczelnością nawyki i obyczaje najemników z przekonaniem, że wykorzystam to kiedyś w reportażach i w powieści.

Wywiesili sobie najemnicy transparent:

JEDYNĄ NASZĄ OJCZYZNĄ — LEGIA!

Są to Niemcy, Francuzi, Szwedzi, Hiszpanie, young american heros, brytyjskie lwy, orły z Pretorii i Kapsztadu, weterani wojen w Wietnamie i Algerii oraz synowie innych narodów, które zdradzili dla przygody albo dla pieniędzy, albo dla uniknięcia kary więzienia za dokonane, niepospolite zazwyczaj przestępstwo. Patrząc na nich, raz po raz ulegałem wrażeniu, że są to przebrani za wojaków sportowcy — w ciemnozielonych mundurach, krótkie spodnie, koszula z półrękawami, wysokie skórzane buty z wystającą skarpetą, włosy ostrzyżone poniżej zapałki, rozstawione ręce, jak u kulturysty, któremu przeszkadza nadmiar bicepsów, ale to nie są kulturyści onanizujący w samotności przed lustrem każdy centymetr przeznaczonego na ogląd publiczny ciała; nie są to sportowcy — u każdego dymi w palcach prawej dłoni nieodłączny papieros. Kiedy idą leniwym krokiem tygrysa, ulica przed nimi pustoszeje. Wielu nie nosi broni, ale znawcy przedmiotu twierdzą, że jeden taki cwaniak potrafi rozwalić w drzazgi pięćdziesięcioosobowe zbiegowisko.

Fascynowały mnie ich oczy i twarze. Milicjant, policjant, żandarm, karabinier, guardia civil — każdy z tych facetów uśmiechnie się nieraz, zażartuje, coś mu tam błyśnie w źrenicy, podczas gdy twarze najemników przypominają wykute z kamienia maski, a oczy, bez względu na kolor, wydają się patrzeć w wieczność. Zielone, piwne, niebieskie, stalowe reflektory wyprane z wszelkich ludzkich uczuć i utkwione w tobie z nieuchwytną, wzgardliwą obojętnością, jak byś był tylko potencjalnym manekinem treningowym albo atrapą celowniczą.

Jeżdżą odkrytymi wozami typu james i jeep. Obok garnizonu najemników jest ośrodek rekreacyjny z wydzieloną plażą, z boiskami, z domkami kempingowymi. Mają tu prawo przyjmować swoje rodziny, ale większość z nich to osobnicy bez rodzin. Samotnicy — czas wolny spędzają przy stole bilardowym, albo grają w karty, albo chlają.

Garnizon stacjonuje na wzgórzu wysepki i wyposażony jest dodatkowo w wieżę obserwacyjną, skąd widać dokładnie nie tylko Dzaoudzi, lecz również Mayotte i Panandzi. Wejście do garnizonu zamyka szlaban, a za szlabanem widać budkę i wartowników ubranych galowo i paradnie: białe kepi lub czarne z dwoma jasnymi pasami, buty z pończochami do kolan, mundur khaki i zielone epolety o piejących, czerwonych pomponach.

Mechanik chciał sobie zrobić na ich tle zdjęcie z kolegą — nie pozwolili! Byli uzbrojeni w automatyczną broń, zachowywali się chłodno i nieprzyjaźnie. Mowy również nie ma, aby zaczepić któregoś z nich na ulicy. Stopują wtedy intruza ręką i rzucają przez zęby.

— *Je ne comprends pas!*

Jak zagadasz do nich w innym języku niż francuski, wykonują płynny ruch końcami palców, abyś spieprzał, bo ich cierpliwość jest na wyczerpaniu.

Wbrew moim domniemaniom, że Legia Cudzoziemska, to zgraja krnąbrnych i samowolnych łobuzów, powiedziano mi, że najemników obowiązują codzienne ćwiczenia, a także żelazna dyscyplina i hierarchia. Tylko jednemu z polskich marynarzy maszynowych udało się nawiązać kontakt z legionistą; pozyskał sobie jego łaski: pili w barze na Mayotte, dokąd zawiózł ich kursujący regularnie prom; wymienili adresy i uwagi o dolegliwościach życia.

Ten legionista był sierżantem i służył przedtem na malowniczej i cudnej podobno wyspie Reunion, leżącej po drugiej stronie Madagaskaru. Na Dzaoudzi został przeniesiony karnie — nie przestrzegał regulaminu, pił i pospolitował się z szeregowcami, a sierżantom wolno tylko pić i pospolitować się z podoficerami. Nie było to wielkie wykroczenie i kara obejmowała jedynie roczne zesłanie na Dzaoudzi, z utrzymaniem poborów. Jeśli legionista popełni większy grzech opuści wartę lub uderzy przełożonego, wówczas odsyła się go do obozu karnego na Korsyce i tam przez rok nie dostaje już pensji: płacą mu tylko za zadania specjalne: mordobicie, kopanie, akcja zbrojna.

Apanaże sierżanta na Dzaoudzi wynosiły 2800 franków miesięcznie (470 dolarów) i prawo do miesięcznego urlopu w Europie z osiemdziesięcioprocentową zniżką na samolot w tę i z powrotem. Najemnicy podpisują zwykle kontrakty na trzy lata, po upływie których mogą przedłużyć je do lat pięciu.

Psy wojny! Ale na Dzaoudzi, Panandzi i Mayotte jest spokojnie — nie zanosi się na rebelię, Ahmed Abdallah Abderamane nie wyśle tu swojej floty i swoich zaciężnych oddziałów, bo ich nie ma.

5.

Siedzisz sobie w parku na szczycie wysepki i patrzysz na chłopców, którzy sprawują tu niepodzielną władzę. Francuzi jednak zamierzają podobno opuścić w ciągu najbliższych lat swoją zamorską posiadłość, nie przysparzającą im żadnych dochodów, kłopotliwą w sumie i nierentowną. Co poczną wtedy chłopcy o stalowych mięśniach i nieprzeniknionych oczach, których jedynym zawodem jest bić, zabijać, regulować i budzić grozę?

Ano, przeniosą się chyba w inny zapalny rejon kuli ziemskiej. Ojczyzny, jako się rzekło, poza Legią nie mają i nie stanowi to dla nich żadnej różnicy, z czyich rąk i za jakie czyny wezmą żołd na kobiety, karty i wódkę.

■

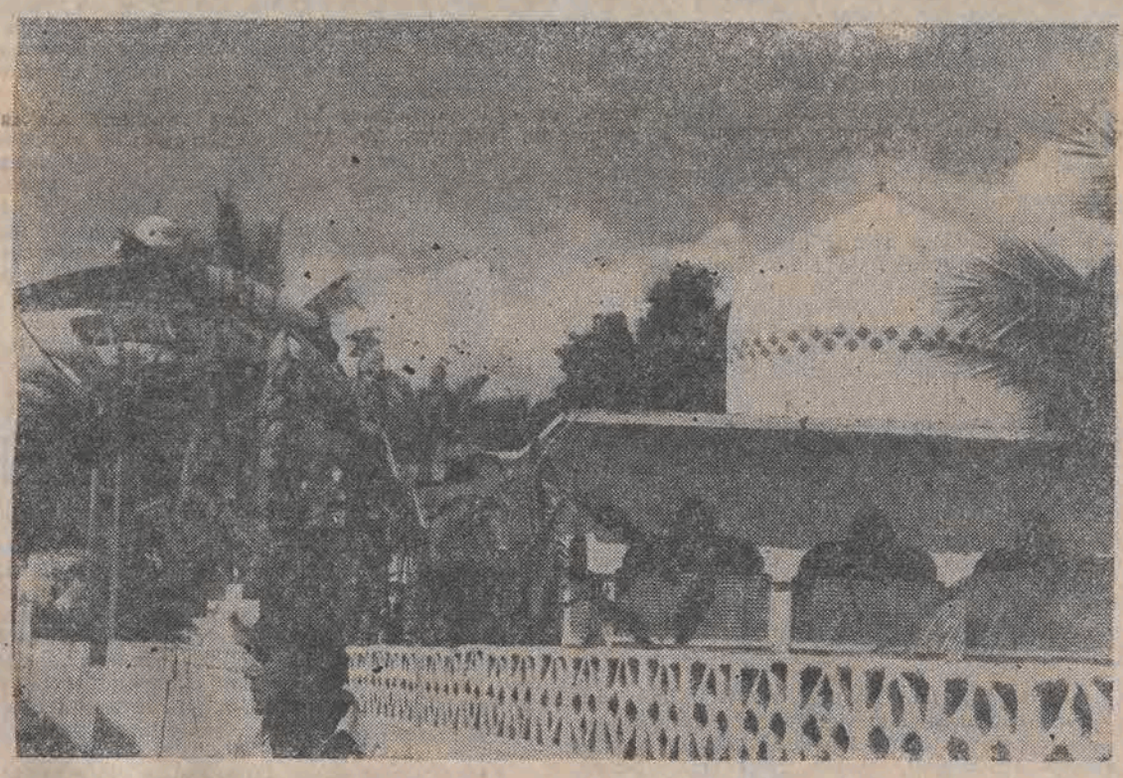

Autor reportażu w Mutsamudu. *Foto: Henryk Walkiewicz*

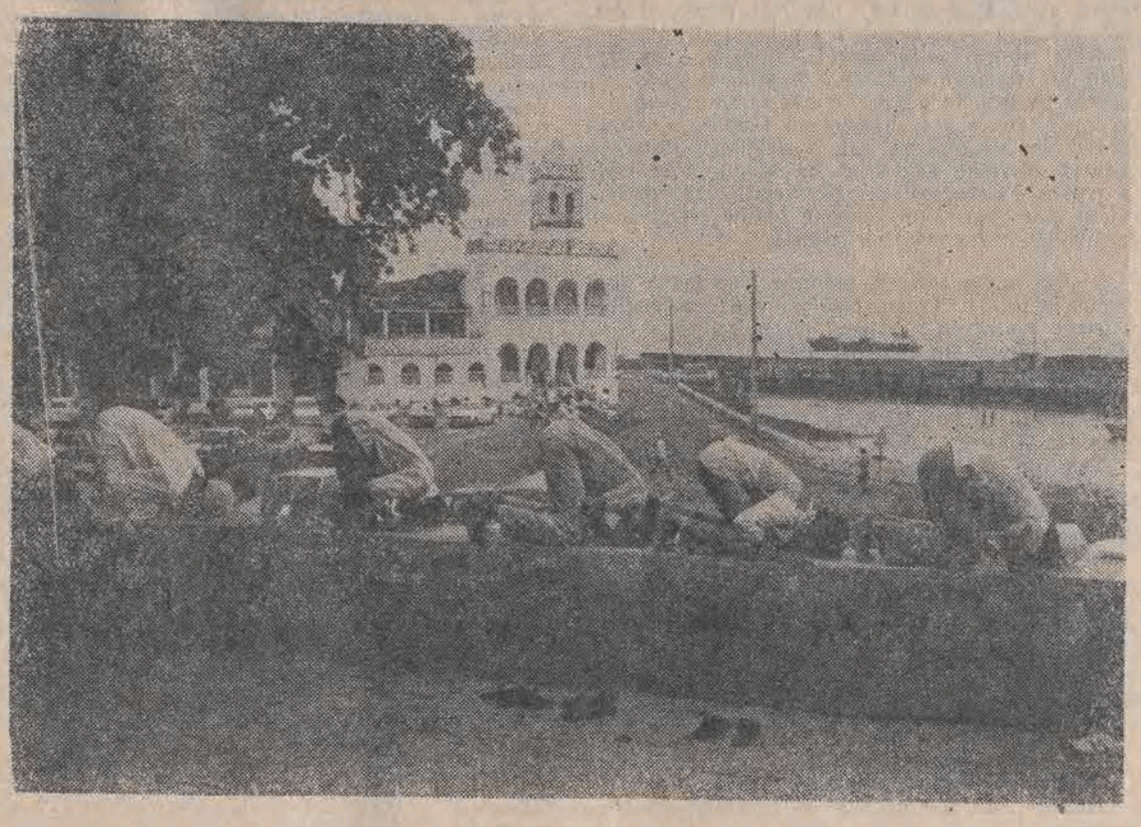

Modły wiernych w Moroni.

W Kazachstanie u początku lat czterdziestych. **(3)**

Polacy na Wyspach Sołowieckich

EUGENIUSZ IWANICKI

Ojciec z Wysp Sołowieckich przyjechał jesienią. Zjawił się w nocy, gdy my z siostrą spaliśmy w najlepsze. A rano było wielkie święto. Rano, właściwie o świcie, zjawił się też przewodniczący 5 brygady.

— *Pokaż papiery.*

Ojciec wyjął zwolnienie z Sołowek.

— *W porządku, teraz jesteś sojusznik. Znasz się na technice?*

— *Nic, a nic.*

— *A co umiesz?*

— *Wiele rzeczy, ale na maszynach się nie znam.*

Przewodniczący postawił butelkę samogonu (innego alkoholu nie znano, w każdej chałupie pędzono bimber, a wkrótce ojciec do tego stopnia opanował tę sztukę, iż stał się niemal ekspertem w tej dziedzinie) i ciągle molestował ojca, żeby został w jego brygadzie jako mechanik. Potem wyszedł i po paru godzinach powrócił z nową półlitrówką i nową propozycją.

— *Załatwiłem* — powiedział. — *Pójdziesz do artielu „Swietłyj łucz" imienia Iljicza.*

— *Co to takiego?*

— *Zakład szewski. Kieruje tam Ukrainiec, Koziróg, ale chłop porządny i wypić umie. Będzie ci tam dobrze. Nasz kołchoz musi dostarczyć dla armii tysiąc par butów, rozumiesz? No, a teraz wypijmy na pohybel tego sukinsyna Hitlera.*

W tym miejscu pozwolę sobie na dłuższą dygresję, mianowicie przedstawię w skrócie koleje losu mojego ojca, bowiem są one tyleż interesujące, co awanturnicze.

Ojciec urodził się w 1901 roku jako osiemnaste dziecko Cypriana i Anny. Miał już czternastu braci i trzy siostry. Na imię mu dano Paweł. Kiedy wybuchła Rewolucja Październikowa (należy nie zapominać, że rzecz dzieje się za Bugiem) miał lat 16. Jego najstarszy brat był wykładowcą na wyższej uczelni w Kijowie, inni już to pracowali w urzędach, już to — jak Witalis — prowadzili cygański tryb życia. Ojciec — znam to z jego licznych opowieści — w 1917 roku wyrzucił książki za okno i przez to samo okno uciekł „do rewolucji". Na jakiejś stacji kolejowej przeczytał obwieszczenie wzywające do wstępowania w szeregi Czerwonej Armii i to był początek jego wielkiej, obfitującej w niezwykłe wydarzenia, przygody. Było to także początkiem późniejszych prześladowań już po aresztowaniu w 1939 roku.

Walczył na froncie południowym przy *„zrzucaniu generała Wrangla do Morza Czarnego"*. Miał karabin na sznurku, a dzienną rację żywnościową stanowiła garść prażonego owsa. Pod Perekopem trwały zacięte walki i ojciec wspominał, że zjawił się wśród nich Lew Trocki, by w płomiennym przemówieniu zagrzać ich do walki. Trocki mówił pięknie i porywająco, takich oratorów się nie zapomina. Pod tymże Perekopem ojciec został raniony w nogę (kulę nosił do śmierci). Potem nastały długie miesiące polowych lazaretów, rekonwalescencji, aż znalazł się w Piotrogrodzie. Poruszając się o kulach uczęszczał na wiece i dwukrotnie miał możność słuchać wystąpień Włodzimierza Lenina. Niestety, niczego nie zapamiętał z tych przemówień, natomiast zapadło mu w pamięć, że Lenin „kartawił" to znaczy wymawiał „r" z francuska.

Noga jednak nie chciała się zagoić i ojciec postanowił przenieść się do Moskwy, gdyż tam jest łagodniejszy klimat. Zdemobilizowany, został skierowany do szkoły milicji ludowej. W owych czasach stosunki pomiędzy dowództwem a podwładnymi były bardziej niż demokratyczne. Zależność istniała wyłącznie na służbie. Kiedy wracało się z posterunku i zdawało broń, wszelkie związki natychmiast ustawały.

Był rok 1921 i ojciec, jako nie w pełni sprawny (dokuczała kula tkwiąca w nodze) został skierowany do służby na największy moskiewski bazar „Chitrij Rynok". Było to miejsce, gdzie można było wszystko sprzedać i wszystko kupić, gdzie załatwiano nie tylko transakcje finansowe, lecz i wynajmowano ludzi do zgładzania niewygodnych konkurentów czy po prostu opłacano płatnych morderców. Milicjant na „Chitrym Rynku" musiał wykazać się nie tyle znajomością prawa, co przebiegłością i intuicją. Wielu kolegów ojca udało się na służbę na ów plac, a przecież wszelki ślad po nich zaginął. Moskiewscy żulicy, czy jak ich nazywano „żulia", była to prężna, bardzo rozgałęziona organizacja kierująca się twardymi i bezwzględnymi prawami.

Ojciec wiedział, że z tą mafią nie ma sensu zadzierać, że lepiej nie widzieć niczego i niczego nie słyszeć. Z jednej strony obowiązywała go litera prawa, z drugiej strach o życie stawał się silniejszy, przezorność brała górę nad obowiązkiem.

Zaraz pierwszego dnia swojej służby miał ważną i brzemienną w późniejsze skutki rozmowę. Kiedy tak przeciskał się wśród kramów, zwałów odzieży, wyrobów ze szlachetnych metali i budek z gorącymi przekąskami podszedł do niego niepozorny człeczyna.

— *Jesteś tu nowy?* — zapytał ojca.

— *Nowy, bo co?*

— *Nowy i młody, to i żyć się zapewne chce.*

— *A tobie się nie chce?*

— *Każde chce żyć, ale tylko głupcy umierają młodo.*

— *Czego chcesz?* — ojciec od razu zorientował się, że ten niepokaźny i szary człowiek, nie jest przypadkowym włóczęgą ani takim, co to chce naciągnąć na piwo.

— *Nazywaj mnie Witia* — powiedział człowiek. — *A ty jak masz na imię?*

— *Paweł*

— *Posłuchaj, Paweł* — Witia ziewnął od niechcenia przykrywając usta dłonią. Dłoń była wąska, smukła, wypielęgnowana i ojciec zdziwił się jeszcze bardziej. To nie była dłoń robotnika ani żołnierza. — *Na tym rynku obowiązują żelazne prawa, a kto je podepcze, temu niech od razu opłakują najbliżsi. Czy mówię wyraźnie?*

— *Niezupełnie.*

— *O żulikach słyszałeś?*

— *Słyszałem.*

— *Ja nie mówię o tych drobnych złodziejaszkach, którzy okradają kobiety w sklepach czy kradną bułki u piekarza. My stanowimy potęgę równą armii, chociaż nie mamy koszar, koni i nie nosimy mundurów...*

— *Po co mi to mówisz?*

— *Po to, abyś zadecydował: chcesz żyć czy też przepaść bez wieści?*

— *Co za pytanie!*

— *Więc jeśli chcesz żyć, to bądź ślepy, głuchy i niemy.*

— *A co w zamian?*

— *Życie, czyżbyś nie zrozumiał?*

Od tego czasu ojciec chodził na „Chitryj Rynok" bez broni. Prawie co dzień zjawiał się Witia, pytał o zdrowie, częstował tytoniem. Raz, kiedy ojciec kupił na straganie kotlet i już go miał zacząć jeść, Witia wytrącił mu go z ręki.

— *Oszalałeś?* — zdenerwował się ojciec. — *Zapłaciłem za niego dziesięć milionów!*

— *Nie gniewaj się, Paweł, ale ten kotlet jest z ludzkiego mięsa.*

Ojciec poczuł nudności.

— *Jest głód, połowa Rosji umiera z głodu, zjedzono wszystkie świnie, krowy i konie. A tu, popatrz, ile mięsa! Aż ślinka cieknie. Nie, bracie, to nie dla ciebie. Chodź, poczęstuję cię rybą.*

Ojciec zaprzyjaźnił się z Witią. Bywało, że po służbie szedł do niego do domu i tam opowiadał mu o sobie, o swoich braciach i siostrach.

Gdzieś pod koniec roku Witia powiedział:

— *Posłuchaj, Paweł, w przyszłym tygodniu nie przychodź na „Chitryj Rynok". Robimy na Moskwę „nalot" Z całej Rosji zjedzie tu żulio i będzie bardzo gorąco.*

— *Dużo was będzie?*

— *Jakieś osiem tysięcy. Zjawi się sama „wierchuszka", odbędą się wybory i tak dalej. No, zginie paru ludzi, to normalne, ale ty lepiej na ten czas zachoruj.*

Tuż przed zapowiedzianym zlotem żulików, komendant garnizonu moskiewskiego ogłosił w milicji pogotowie. Na odprawie poinformowano, że w Moskwie zjawi się tysiące żulików, że będzie to ich zjazd, a więc i okazja, by wreszcie raz na zawsze skończyć z tą plagą. Opracowano szczegółowy plan akcji, rozdano broń, przygotowano nawet samochody.

Tu w życiorysie ojca pojawia się brzydki zgrzyt. W tamtych latach nazwano by to zdradą, lecz przecież owa zdrada po paru dziesięcioleciach, okazała się być równa życiu. Otóż ojciec wbrew zakazowi, zjawił się na „Chitrym Rynku" i powiedział Witi o przygotowywanej zasadzce.

I tak cała akcja służby bezpieczeństwa okazała się nieprzydatna, a żulio swój zjazd odbyło gdzie indziej.

Wkrótce, w 1922 roku, ojciec wrócił do Polski i na dobre zapomniał o „Chitrym Rynku" i o złodziejaszku Witi.

Jak już pisałem, 18 września 1939 r. ojca aresztowano i sądem zaocznym (to znaczy nie wzywając na rozprawę) skazano na 10 lat pobytu na Wyspach Sołowieckich. Owe wyspy leżą na Morzu Białym, tuż pod kołem podbiegunowym i stanowią znakomitą enklawę, wprost wymarzoną dla usytuowania tam obozu odosobnienia. Uciec nie można — latem wokół morze, zimą — tyle śniegu, że nawet zwierz nie przemknie, a co dopiero człowiek. A do tego mrozy i zamiecie.

Ojciec trafił tam jesienią, kiedy jeszcze nad horyzontem pojawiało się słońce, by wkrótce schować się na dobre i ustąpić miejsca białym nocom. Opowiadał, że nie mógł przyzwyczaić się do tych nocy, podczas których jest widno jak w dzień. Przez cały dzień pracowano przy wyrębie i spławie drewna. Ojciec był zatrudniony przy skórowaniu, to jest przybijał do ściętych beli — z jednej i z drugiej strony — kawałki skóry podeszwowej. Chodziło o to, by pień nie wciągał w siebie nadmiaru wody w czasie transportu go przez morze. Tworzono ogromne ławice z tych ściętych i obitych skórą pni, które doczepiano do niewielkich stateczków i wieziono gdzieś aż na Morze Barentsa, a potem do Szwecji czy Norwegii. I to wtedy, kiedy nie było czym zelować butów czerwonoarmistów walczących na froncie.

Ojciec, mimo rewizji, przemycił do łagru parenaście rubli. Trzymał te pieniądze w bucie. Kiedyś, po apelu, podszedł do niego jakiś obdartus i długo się ojcu przyglądał.

— *To ty, Paweł?* — zapytał.

— *Paweł, a ty kto?*

— *Jeśliś ty Paweł, to ja jestem Witia. Pamiętasz „Chitryj Rynok"?*

Tak oto znów spotkali się starzy znajomi, tylko, że teraz obaj byli więźniami.

— *Jak żyjesz?* — pytał Witia, widząc ojca w zniszczonym ubraniu, wychudzonego, kaszlącego.

— *Jak widzisz.*

— *Widzę, widzę. Pamiętaj, że jestem twoim dłużnikiem. Gdybyś miał kłopoty, znajdziesz mnie bez trudu.*

Na tym się rozstali.

Po jakimś tygodniu, kiedy ojciec czuł się zupełnie źle, kiedy oprócz kaszlu pojawiła się w ślinie krew, znów spotkał Witię. Tym razem Witia zapytał bez wstępów:

— *Kto ci porżnął but?*

Istotnie, but był pocięty od przegubu do obcasa.

— *Co tam miałeś?*

— *Parę rubli* — powiedział ojciec. — *Ale ten ktoś się pomylił, bo trzymam je w tym drugim.*

Witia przez moment milczał, a potem skinął na jakiegoś obdartusa:

— *Przyprowadź tego, co to zrobił* — polecił.

Po kilku minutach pojawił się młody chłopak o zbójeckim spojrzeniu. Witia bez słowa wyrżnął go w zęby. Potem jeszcze raz i jeszcze. W końcu skopał nieszczęśnika okrutnie.

— *Zapamiętaj* — powiedział Witia. — *To mój przyjaciel!*

To, że ojciec przeżył na Sołowkach, zawdzięcza wyłącznie owemu Witi, moskiewskiemu żulikowi, niegdyś „pracującemu" na „Chitrym Rynku". Bo z niewinnego początkowo przeziębienia wywiązała się poważna infekcja gardła: owrzodzenia były tak głębokie i liczne, że los ojca był przesądzony. I wtedy Witia uruchomił swoich ludzi.

Ojciec znalazł się w lazarecie. Tam wykonano kilka cięć na szyi i wprowadzono sączki z bandaży. Zmieniano je w sposób co prawda barbarzyński, bo wyrywając na siłę, ale lepsze to niż powolna śmierć przez uduszenie. Do końca życia ojciec miał na szyi blizny po tamtych, sołowieckich cięciach.

Ciekawostką jest także i to, że lekarz, który dokonywał zabiegu u ojca, także był błatnoj, to znaczy człowiek należący do mafii Witi, kryminalista z kilku wyrokami, który dyplom lekarski zamienił na burzliwe życie żulika.

Witia raz jeszcze uratował ojca, choć może niezupełnie świadomie.

Kiedy — po podpisaniu układu Sikorski — Stalin zaczęto Polaków zwalniać z łagrów i obozów — okazało się, że na Wyspach Sołowieckich jest tylu Polaków, że jeden jedyny stateczek jaki kursował z Archangielska i do Archangielska raz w miesiącu, nie będzie ich w stanie przewieźć jednym kursem. Komendant podczas apelu zaproponował, aby Polacy sami ustalili, kto popłynie pierwszym rejsem, a kto następnym. Ale jak to z Polakami bywa, wszyscy chcieli jechać natychmiast. Zresztą, kto mógł zaręczyć, że będzie kiedykolwiek jakiś drugi rejs?

Zbliżała się jesień, Morze Białe stawało się niespokojne, lada moment mogły zacząć się sztormy. Od strony Morza Barentsa, a właściwie od Oceanu Lodowatego wiały już ostre zimne wiatry. Kapitan długo nie chciał się zgodzić na tylu pasażerów, w końcu machnął ręką. I wtedy Witia dał ojcu dobrą i zbawienną radę.

— *Kiedy wejdziesz na statek, idź od razu pod pokład. Może nie będzie tam najwygodniej i najprzyjemniej, ale w razie czego, przeżyjesz.*

Miał rację. Stateczek został oblepiony przez Polaków. Kiedy wypływali z Sołowek był pogodny i ciepły dzień, więc wszyscy chcieli być na pokładzie. Pod pokładem cuchnęło rybami, dziegciem i zużytym smarem. I było ciemno jak w grobie.

Kiedy wypłynęli na pełne morze, by okrążyć Półwysep Oneski i wziąć kurs na Zatokę Dwinską, nagle nadleciał gwałtowny sztorm. Morze stanęło dęba, a z nieba runął grad i śnieg. Przez trzy doby stateczek wspinał się na grzbiety fal, to walił się w przepaść. Stłoczeni ludzie pod pokładem tłukli się o grodzie niczym rozsypane kartofle.

A kiedy morze się trochę uspokoiło, kiedy otwarto luki, by wpuścić pod pokład świeże powietrze, okazało się, że ci wszyscy, którzy znajdowali się na pokładzie, zginęli śmiercią marynarzy. Nie ocalał nikt. Ojciec poobijany, wymęczony morską chorobą, przecież dopłynął do Archangielska, gdzie już czekała na Polaków misja przybyła z Moskwy.

Natychmiast jednak powstały podziały: werbując do wojska generała Władysława Andersa, jedno z pierwszych pytań, na które należało odpowiedzieć, było: *„Czy należałeś kiedykolwiek do Komunistycznej Partii Polski lub innej partii komunistycznej?"*. Ojciec nie należał, ale nie taił swojej służby w Armii Czerwonej w czasie rewolucji. To przesądziło o tym, że został odesłany do Kazachstanu.

Jechał ojciec długo. Dziś trudno sobie nawet wyobrazić podróż przez Związek Radziecki w tamtych latach. Przecież w czasie pokoju każda podróż była problemem i wymagała załatwienia dziesiątek przepustek i zaświadczeń. Nie było mowy, by ktoś, ot tak sobie, wsiadł do pociągu i pojechał. Chcąc nabyć bilet, trzeba było przedłożyć wspomniane zaświadczenia i przepustki. Podczas wojny ten rygor jeszcze bardziej zaostrzono. Ojciec oprócz dokumentu zwalniającego go z łagru, miał pismo z polskiej misji w Moskwie. Wszystko to było skrupulatnie badane przez „prowodników" w pociągach, a zdarzało się, że ojca prowadzono na milicję. Zanim tam wyjaśniono sprawę, pociąg odjeżdżał i trzeba było czekać dzień lub dwa na kolejny, który zostanie skierowany w stronę Pietropawłowska.

A teraz siedział razem z przewodniczącym 5 brygady i pił samogon. Artiel „Swietłyj łucz" miał uszyć tysiąc par butów dla frontu i ojciec wiedział, że będzie robić wszystko, by te buty wykonano na czas.

— *A materiał jest?* — pytał przewodniczącego.

— *Skóra jest, ale nie ma kopyt, ot co.*

— *Kopyta robiłem na Sołowkach* — powiedział ojciec. — *A buty jeszcze u Żyda przed wojną. Nalej.*

Siostra i ja nie odrywaliśmy oczu od ojca.

C. D. N.

Panorama

BUŁGARIA

W tygodniku „Pogled" ukazał się wywiad z Weselinem Josifowem — redaktorem naczelnym „Anteni", byłym przewodniczącym Związku Dziennikarzy Bułgarskich. Tematem wywiadu była jawność. Wywiad ten ukazał się pod tytułem: „Jawność jest tlenem dla dziennikarstwa".

Jawność — zdaniem Weselina Josifowa — nie jest celem samym w sobie. *„Gdzie dziennikarstwo* — powiedział Weselin Josifow — *jest w sposób tępy posłuszne, tam po prostu nie ma dziennikarstwa. Tam naturalnie nie ma też normalnego życia społecznego"*.

Weselin Josifow przypomniał żartobliwie wyjaśnienie Marka Twaina, dlaczego w Turcji nie było swego czasu prasy. Zdaniem panującego wówczas sułtana istnienie prasy groziło szerzeniu opozycyjnych poglądów, a po to, aby stwarzać możliwość działania opozycji nie było sensu, natomiast robić to dla tych, którzy sułtana popierają — tym bardziej nie było sensu.

Zdaniem Weselina Josifowa Bułgaria nie jest przygotowana do korzystania z jawności.

CSRS

Wybory do rad narodowych przeprowadzono w CSRS w czerwcu 1986 roku. W połowie kadencji rad narodowych w 91 miastach przeprowadzono badania wśród radnych. Odpowiedzi na ankietę udzieliło 1.665 radnych. Wśród odpowiadających 60 procent uważa, że dysponuje wystarczającymi informacjami. Inni uważają, że nie i odnoszą się do nich krytycznie. Na przykład 70 procent badanych radnych uważa, że nie dysponują wystarczającymi materiałami dotyczącymi przyszłości ich miasta, nie mają pełnego obrazu działania gospodarki komunalnej.

Radni mają prawo domagania się pełnego ich poinformowania. Z prawa tego skorzystało 50 procent radnych i to głównie z większych miast. Niska aktywność radnych wypływa z przeświadczenia, że nie są oni w stanie czegokolwiek zmienić. Tylko 33 procent ankietowanych sądzi, że ich głos odniesie jakikolwiek skutek.

JUGOSŁAWIA

W Słowenii i Chorwacji — w republikach Jugosławii — toczy się proces zmierzający do wprowadzenia pluralizmu. Ostatnio prezydium Związku Komunistów Słowenii przyjęło deklarację, w której opowiedziało się za zniesieniem w Słowenii systemu rządów jednopartyjnych. Deklarację tę opublikowały 6 marca 1989 roku „Vecernje Novosti".

W Słowenii i Chorwacji powstały alternatywne ugrupowania polityczne, w tym również partia socjaldemokratyczna w całym tego słowa znaczeniu. Fakty te spotkały się ze sprzeciwem Serbów, gdzie młodzież demonstrowała przeciw rozwojowi pluralizmu politycznego w obu republikach. Powszechnie sądzi się w Jugosławii — jak donoszą korespondenci prasy zagranicznej — że demonstracje te zostały zorganizowane przez konserwatywne kierownictwo Związku Komunistów Serbii.

RUMUNIA

Brytyjski dziennik „Independent" opublikował list otwarty sześciu działaczy komunistycznych Rumunii do Nicolae Ceaucescu, poddając jego rządy surowej krytyce. Zwraca uwagę fakt, że list ten podpisali działacze komunistyczni z okresu rządów Gheorghe Gheorghiu-Deja.

List podpisali: Silviu Brucana — lat 73, były ambasador w USA i przy ONZ, Corneliu Manescu — lat 73, były szef MSZ i przewodniczący Zgromadzenia Ogólnego ONZ, Gheorghe Apostola — lat 77, były szef ZZ i członek BP PKW RPK, Alexandru Barladeanu — były wicepremier, Constantin Pirvulescu — lat 94, współzałożyciel Rumuńskiej Partii Komunistycznej oraz Ileana Raceanu — weteranka RPK.

ZSRR

„Wodnyj Transport" ujawnił, że 1 listopada 1988 roku, na stojącym przy nadbrzeżu „Atomflot" w Murmańsku lodołamaczu „Rossija", doszło do awarii reaktora atomowego. Awaria trwała 4 minuty i w pełni zadziałał system awaryjny. Powodem tego był fakt, że główny fizyk lodołamacza — W. Kuleszow nie spał już piątą noc i wydał błędne polecenie.

Do Władywostoku dopłynął z Morza Czarnego kontenerowiec radziecki o napędzie atomowym. Jak podała „Sowietskaja Rossija" władze miasta zażądały danych o pracy reaktora, a gdy ich nie otrzymały, odmówiły przyjęcia kontenerowca w porcie. Statek zatrzymał się na redzie.

Opracował:
W. BOROWY

Andrzej Makowiecki 13

PIĘĆDZIESIĄT MELONÓW

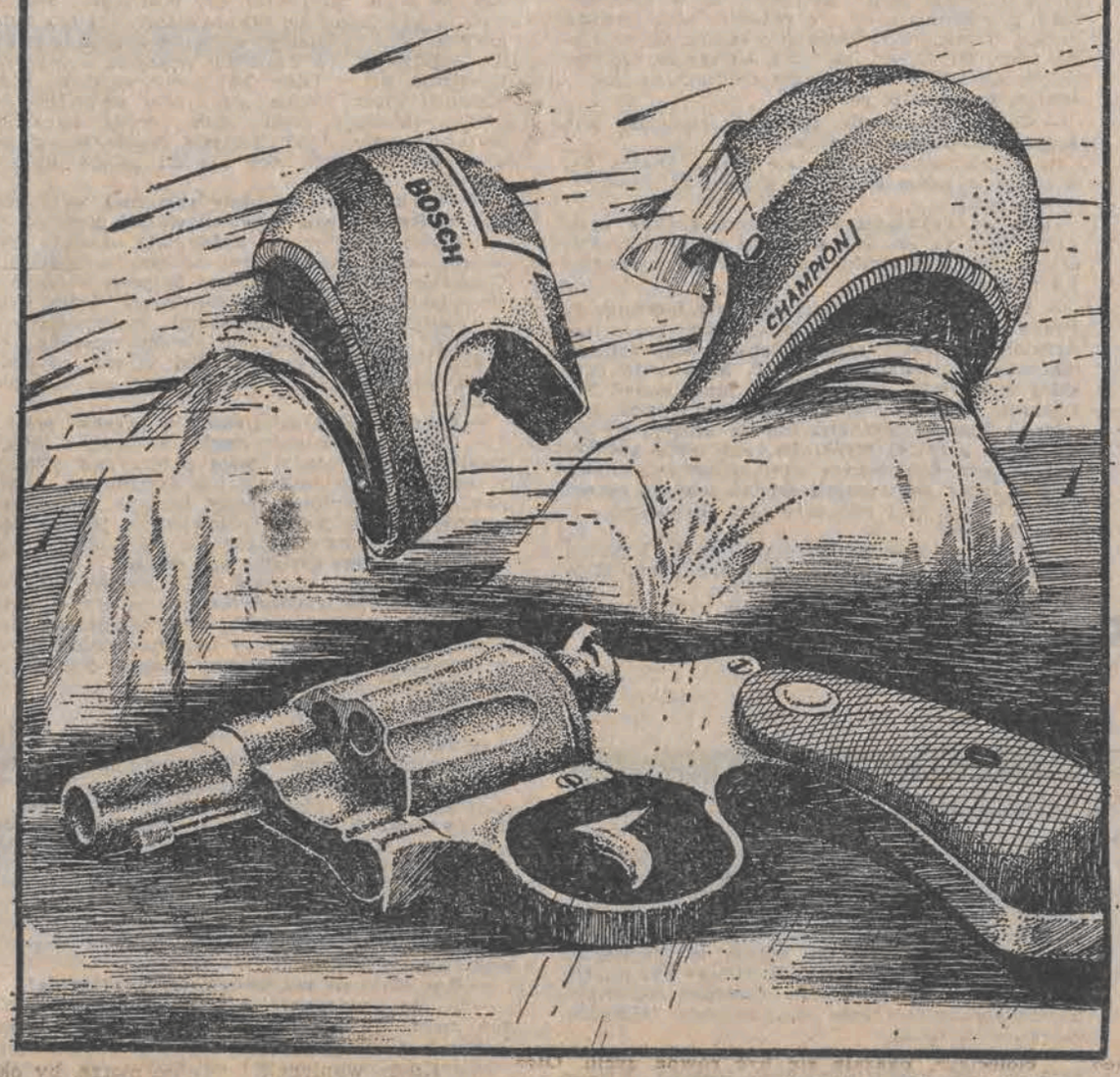

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Spieszył się; żona lada chwila mogła wrócić z rynku w okolicach placu Niepodległości; umiała już samodzielnie zamknąć stragan; w ogóle poczyniła w handlu znaczne postępy; kontraktowała towar chandrycząc się z dostawcami jak smyrneński Turek; sprzedawała oszukując i oszukiwała kupując. Była z siebie bardzo zadowolona. Przejmowała stopniowo akcje męża; wypychała go swoim spasionym zadem z interesów, tak jej się przynajmniej zdawało. Rola Bernarda ograniczała się teraz w głównej mierze do komiwojażerowania, wytworna zaś dama, upojona władzą i rosnącą z dnia na dzień przewagą nad mężem (warto było za tę cenę dostać po pysku, a tej właśnie okoliczności przypisywała pokorę i uległość Bernarda, truchlejącego zapewne z przerażenia na myśl o rozwodzie), zhardziała do tego stopnia, że zaczęła wydawać mu rozkazy: zawieź, przywieź, wykombinuj! opchnij w Sochaczewie trochę tych niebieskich koszul, w Rembertowie łyknęliby jak nic bluzki od pana Ceśka! Samochód jest po to, żeby nim obracać! Rusz się, Narduś! Spałbyś tylko i spał, a tu trzeba myśleć o przyszłości.

Myślał więc o przyszłości. W pustym i głupim łbie jego ukochanej małżonki ani przez chwilę nie zaświtało podejrzenie, że coś tu jest nie w porządku. Owszem, jedna rzecz była nie w porządku: chłop najwyraźniej zgubił jaja i stracił ikrę w łóżku. Ale z tym ona da sobie radę: nie jeden kozik pasuje do pochewki. Ważne, że Narduś stosuje się do poleceń. Ważne, że krąży po miasteczkach kilku centralnych województw i upycha łódzką tandetę w nienasyconych prowincjonalnych sklepach. Pojęcia nie miała, jak bardzo sprzyja to mężowskim planom. Bernard pozbywał się nieraz towaru z minimalnym zyskiem, który nie pokrywał nawet kosztów paliwa zużytego na długiej trasie. Wracał jednak do domu uśmiechnięty; dokładał do transakcji z własnych tajnych rezerw; robił wszystko, aby przekonać żonę, że pomnaża ich wspólny majątek, co sprawiało, że kobieta promieniała radością, ciesząc się jak dziecko z każdych dodatkowych dziesięciu tysięcy, on zaś mógł bez przeszkód dokonywać obserwacji interesujących go ludzi i obszarów w grajdole i na rubieżach powiatowego grajdołu, mógł obejrzeć sobie dokładnie obydwa kantory usytuowane niedaleko siebie — jeden w pięknym, drugi w niepozornym budynku, mógł przespacerować się skrajem wylotowej drogi, prowadzącej do stołecznego raju poprzez most na rzece o poszarpanych, stromych brzegach, nad którymi zasiadali niegdyś rybacy, aby łowić w rwącej, czystej wodzie to, co stworzył Bóg i co zatrute zostało z biegiem lat przez kał zakładów przemysłowych.

Cisnął torbę na przednie, prawe siedzenie. Jeśli kogoś gorąco pragniesz uniknąć, osoba ta natychmiast pojawia się w polu twego widzenia. Zawsze tak jest, zawsze tak było i zawsze tak będzie. Klął z nienawiścią kobietę, która biegła mu naprzeciw wymachując pulchną rączką, aby przypadkiem nie odważył się ruszyć; w drugiej pulchnej, opuszczonej rączce tkwił majdan kipiący od szmat, które zamierzała wtrynić sąsiadkom, wychodziła bowiem z założenia, że handlować można zawsze i wszędzie: o każdej porze dnia i nocy, i na każdym wolnym metrze przestrzeni, bez taryfy ulgowej dla cmentarzy i kościołów. Utlenione, sztywne od lakieru włosy ani drgnęły na wietrze. Spocona, szczodrze wypomadowana twarz z dwiema czerwonymi, ziejącymi jak rana krechami warg przypadła do uchylonej szyby i z miejsca, bez zbędnych wstępów i powitań, wdrożyła śledztwo:

— Gdzie jedziesz?

Bernard ucałował serdecznie pulchną rączkę i odpowiedział ciepło:

— Muszę wpaść na chwilę do babki i do Jacka.

W bystrych, rozbieganych oczkach żony, które były lekko scentrowane i zdawały się pracować każde na własny rachunek, błysnęła czujność. Lewe strzeliło w torbę, prawe obmacało przestrzeń za siedzeniem, gdzie tkwiły owinięte w gazetę kaski.

— Co tam jest?

— Nic.

— Oj, Narduś, Narduś, kiedy ty wreszcie zmądrzejesz? Pchasz i pchasz bez przerwy w brata, jakby to było twoje dziecko. Przecież on ma ojca za granicą i bogatą matkę. Niech starzy wreszcie pociągną ten wózek, a i tobie należy się chyba od wyrodnych rodziców trochę grosza. Tatuś mógłby podesłać czasem parę dolców. — Wzięła oddech; krew sprawiedliwego oburzenia przebiła się przez grubą warstwę makijażu; lica zacnej damy przypominały teraz do złudzenia dwa krwiste, posypane lekko mąką płaty surowego mięsa. Nie mogąc już dłużej zapanować nad porywem zranionej duszy, zacna dama podniosła głos, przyśpieszyła tok gadulstwa i sięgnęła po słownictwo o większej sile wyrazu: — Napisz w końcu prawdziwy, męski list do tego przeklętego skurwysyna i do tej wyrodnej zdziry! Skoro jeżeli, że tak powiem, zdecydowali się na potomstwo, żeby zrobić sobie przy okazji uciechę w łóżku, to powinni chyba, że tak powiem, bulić przyzwoite alimenta. Dranie! Tak czy nie, Narduś?

— Sądzę, że masz rację, Haneczko — powiedział ulgowo mężczyzna, który zdążył już przywyknąć do powtarzających się przynajmniej raz w tygodniu inwektyw pod adresem całej swojej rodziny. Do niedawna zamykał w takich wypadkach usta żonie krótkim trzepnięciem w twarz, ostatnio zmienił jednak taktykę i, że to niby boi się rozwodu, przytakiwał kobiecie z pokorą i uszanowaniem. — Widzisz, babcia ostatnio niedomaga, a Jacuś staje za kilka dni do matury. Nie wydam dużo, kupię im po prostu coś do jedzenia.

— Czekoladę, szynkę, banany, pomarańcze, już ja cię, Narduś, znam! Szczeniak pali amerykańskie papierosy!

— Nie dostanie żadnych papierosów.

— Ale! Jadę z tobą — powiedziała stanowczo kobieta i zaczęła okrążać samochód. Szarpnęła przednie, potem tylne drzwi. Wrzasnęła: — Otwórz!

— Nie mogę.

— Czemu?!

— Są zepsute. — Wcisnął sprzęgło i pchnął przekładnią biegów. Wyciągnął pięć tysięcy złotych. Gdy rozjątrzona buzia małżonki pojawiła się znowu w lewym, uchylonym oknie, włożył pieniądze w pulchną, sięgającą klamki rączynę, mruknął: — Weź pół litra, wypijemy razem do kolacji; zaraz wracam — i odjechał bez pośpiechu, obserwując w lusterku wstecznym poczynania kobiety.

Tak jak przypuszczał: najpierw próbowała go dogonić, potem wyhamowała, pacnęła pękatym majdanem o ziemię i zawyła przeszywająco, wygrażając mu zaciśniętymi pięściami. Przytupywała bodajże z upokorzenia i złości, ale tego już dokładnie nie widział.

Skręcił z biegnącej między blokami dróżki w ulicę Aleksandrowską. Przyśpieszył. Był blady z gniewu; sapał, gryzł wargi; na gładkich, tęgich policzkach grały mięśnie. Limit cierpliwości wyczerpywał się szybko. Przyrzekł sobie, że będzie ustępliwy i łagodny, ale chwilami miał ochotę zmasakrować żonę nie oglądając się na swoje plany i konsekwencje, które mogły z tego wyniknąć.

Wkołował na podwórko śródmiejskiej kamienicy i okrążył wyłożony niebieskimi kafelkami gazon. Zrobił to tak gwałtownie, że potrącił nieomal błotnikiem wypielęgnowaną emzetkę szewca. Biegł po wydeptanych, dawno nie mytych i nie sprzątanych schodach na trzecie piętro w drugiej lewej oficynie domu. Otworzyła mu babka.

Gaśnie — stwierdził, całując ziemiste, szczelnie pokryte zmarszczkami czoło, które odsunęła broniąc się przed wymuszoną, nieszczerą zapewne pieszczotą.

— Jest Jacek?

— Nie. — Szare, matowe, zaczerwienione u powiek oczy wyrażały skruchę. — Ja wiem, że on powinien się uczyć, a nie biegać ciągle po sklepach i wystawać w kolejkach. Przecież mam jeszcze dość sił, żeby prowadzić gospodarstwo. Nikt nie musi mnie wyręczać.

— Oj, babciu, babciu!

— Hę? — Starowina nie dosłyszała. Patrzyła dociekliwie Bernardowi w twarz spodziewając się, że wyczyta w niej naganę..

— Chodź, połóż się — rzekł miękko.

— Nie chcę się kłaść.

— Odpoczniesz trochę.

— Nic nie robię cały dzień, więc po czym tu odpoczywać? — zrzędziła staruszka. — Jadłeś obiad?

— Jadłem.

— Jest krupnik i bigos, odgrzać ci? — nalegała nieśmiało.

— Odgrzej — zgodził się nieoczekiwanie. I pomyślał: starzy ludzie lubią być potrzebni; starym ludziom konieczna jest świadomość, że mogą jeszcze coś dla innych uczynić. Ale ona niedługo umrze. Nie życzę jej tego, ale umrze. I najgorsze jest to, że uprości to moje plany.

Wszedł z torbą do ustępu, zamknął drzwi na klucz i wyjął ze ściany kafelek-mydelniczkę. Z niewielkiego kwadratowego otworu wiało wilgocią i smrodem; w plątaninie rur bulgotała woda. Wsunął ramię w czarną, lepką otchłań i po kilku chwilach domacał się worka, w którym nosił kiedyś do szkoły filcowe pantofle, a potem ukrył w nim wyłudzony od szewca bębenkowiec. Dobry schowek! Znakomity! Będzie jeszcze z niego pożytek!

Wpakował worek do torby, w której spoczywały obok siebie dwa inne worki i dwa motocyklowe kaski. Wtoczył kafelek-mydelniczkę w kwadrat ściany, po czym ukucnął, zebrał z posadzki okruszyny tynku, wrzucił je do muszli klozetowej i spuścił wodę.

Kiedy wrócił do pokoju, zobaczył Jacka.

— O, jesteś? — zapytał jakby nigdy nic.

— Jestem.

— Co nowego?

— W szkole?

— Tak.

Jacek wyczuł, że brat pyta go tym razem o szkołę bez zwykłego zainteresowania. Spojrzał na torbę, którą Bernard postawił obok krzesła przy stole, i przeniósł wzrok na poważną, chmurną, pochyloną nad talerzem zupy twarz.

— Bez zmian — powiedział. — Ważą się moje losy z fizyki i z polskiego.

— Ten drań podskakuje?

— Jak cholera!

— Ano, widzisz — burknął współczująco Bernard zajęty najwyraźniej własnymi myślami. Zjadł bigos, zapalił papierosa. Odprowadził wzrokiem babkę, która podreptała z talerzami do kuchni. Zerknął w okno, przez które widać było spadzisty, wyścielony arkuszami czarnej papy dach, gąszcz anten telewizyjnych i dwa krzywe, wykruszone kominy. Blaszany kurek na jednym z kominów wiercił się w lekkich podmuchach wiatru przypominając dyrygującego ruchem milicjanta. Ostatnie promienie słońca dopalały się na szczytowym piętrze domu.

— Piątek mamy dzisiaj — podkreślił z niezachwianą pewnością starszy syn karykaturzysty.

Jacek drgnął. Był zdziwiony i zaniepokojony reakcjami Bernarda. Kiełkowało w nim radosne przeczucie.

— I co z tego, że mamy piątek?

— Nic.

— Stary... powiedz tylko — Jacek zająknął się z wrażenia — powiedz: zacząłeś?...

Bernard milczał.

— Nie musisz wprowadzać mnie w szczegóły. Ale chcę wiedzieć. Chcę, żebyś powiedział chociaż jedno słowo: tak czy nie?!

Czoło Bernarda drgnęło nieznacznie. Sponad brwi, które były ni to rude, ni czarne, gęste, nastroszone i obfite, świdrowały chłopca szkliste dociekliwe oczy o zwężonych źrenicach. Usta poruszyły się wreszcie:

— Już ci mówiłem: wszystko powinno biec bez najmniejszych zmian, bez porywów, bez zakłóceń, bez nerwów i wyskoków. Obaj musimy zachowywać się tak, jak zachowywaliśmy się do tej pory. Ty chcesz niby zrobić maturę, ja pieniądze. Ty chodzisz do kina, ja sterczę za straganem albo rozwożę towar po kraju. Nie zawieramy żadnych nowych znajomości, nie ucinamy starych. To samo dotyczy ubioru, jedzenia i picia oraz naszych wzajemnych kontaktów — nie będziemy widywać się ani częściej, ani rzadziej. Program ten obowiązuje ciebie i mnie przez najbliższych kilka, może nawet kilkanaście miesięcy. Gramy tak, żeby nie chwyciła niczego moja żona, babka, znajomi i sąsiedzi. Zrozumiałeś to, Wicher?

— Oczywiście! — przytaknął żarliwie chłopiec. — Mógłbyś mi jeszcze wytłumaczyć...

— Koniec! — przerwał zdecydowanie Bernard.

— Przecież wolno chyba...

— Dosyć, Wicher. Zamknij dziób. Przyjdzie czas, że pogadamy sobie o paru ważnych sprawach, ale na razie zostaw mnie w spokoju.

Gruchnął gołąb na dachu. Nieznany muzyk wziął kilka próbnych tonów i zaciągnął bluesa na klarnecie. Babka pojawiła się w korytarzu jak duch, popatrzyła chwilę na milczących wnuków i znikła. W studni podwórka detonował motocykl. Wrzasnął jakiś oburzony mężczyzna, zakwiliło niemowlę, a potem zaległa cisza, z której wyłonił się znowu smutny, aksamitny śpiew klarnetu.

Jacka opadły niejasne, upajające pragnienia. Gejsza. Statek. Plaża. Palmy. Bar wypełniony tłumem Meksykanów. Kościółek na rynku sennego amerykańskiego pueblo. Wielki Kanion. Graniczna rzeka Rio Bravo... Wszystko to ziści się pewnego dnia. Był młody, silny, odważny, no i miał brata, który nie pozwoli mu spleśnieć w tym ponurym, robotniczym mieście.

Brat tymczasem ponownie zaczął bredzić:

— A więc jednak mamy dzisiaj piątek.

— Zwariowałeś?

— Nie. — Spojrzał na zegarek. — Piątek to piątek — powiedział. — Spadam.

Klepnął chłopca w ramię, rzucił niewidocznej babce „do widzenia" i wyszedł.

Jacek dopadł drzwi i zawołał w loch klatki schodowej tropem oddalających się kroków:

— Kiedy przyjedziesz?

— Nie wiem — zadudnił w dole głos Bernarda. — Ale masz się uczyć, do diabła! Masz zdać maturę, bo inaczej połamię ci kości!

Jacek uśmiechnął się radośnie.

6.

Wjechał powoli w wąską, mroczną bramę, a wtedy jakiś cień oderwał się od ściany i zastawił mu drogę. Poznał ją. Gniew, który zdążył w nim opaść, wybuchnął teraz ze zdwojoną siłą. — Depczesz mi po piętach, szpiclujesz, więc giń, suko, sama tego chciałaś! — Docisnął gaz i plunął długimi światłami. Wóz wyprysnął do przodu, jednak ten cień, ta kobieta, nie żywiąc widocznie do niego zbytniego zaufania, uskoczyła rzucając się głową w drzwi frontowej klatki schodowej i waląc o próg całym ciężarem ciała.

— Ja ciebie w ogóle nie widziałem — szepnął. — Nie miałem zielonego pojęcia, że tam jesteś.

Zgrzytając zębami rwał przez miasto z szybkością, która niekoniecznie musiałaby zachwycić funkcjonariuszy służby drogowej. Dwukrotnie nie zatrzymał się na skrzyżowaniach przed znakiem „stop", dwukrotnie pogwałcił prawo o czerwonym świetle; popędził na przejściu dla pieszych kobietę z dzieckiem i przyparł do krawężnika rowerzystę, którego twarz zionęła z początku przerażeniem, a potem nienawiścią. Minął dworzec kolejowy Łódź Kaliska, skręcił w aleję Unii i zaparkował przed drucianą bramą ogródków działkowych imienia Stanisława Rogowicza. Zamknął samochód pozostawiając torbę w środku, i nim wszedł na teren ogródków, pospacerował sobie trochę wzdłuż cichej o tej porze i pustej alei.

Dużo zmian zaszło tu w ciągu ostatnich lat. Nad torami kolejowymi wznoszono wiadukt dla komunikacji miejskiej. Stary gmach dworcowy rozebrano, nowego jeszcze nie było — kasy, niewielką poczekalnię i niewielki bar wtłoczono do parterowego budynku, który graniczył przez jezdnię ze stadionem Łódzkiego Klubu Sportowego, bezpośrednio zaś przylegał do podziemnego przejścia na perony. Budynek ten, skromny sam w sobie i ciasny jak peryferyjna tancbuda, wyposażony był na zewnątrz w wiszący, niesłychanie imponujący dach, mający bronić przed deszczem, śniegiem i wichurą osoby, które nie zmieściły się w środku. Postawiono tam nawet dla tych wycugowych pasażerów ławkę, a w pobliżu sterczały dwa kioski z gazetami, trzy kioski z kiełbasą i loteria fantowa dla frajerów z podłódzkich wsi i miasteczek.

C.D.N.

Święto Teatru

W miniony poniedziałek świętowaliśmy w Łodzi Międzynarodowy Dzień Teatru (o tydzień wcześniej niż zwykle z uwagi na święta). Uroczystości zbiegły się z setną rocznicą powstania stałej sceny w naszym mieście, której tradycje kultywuje Teatr im. S. Jaracza. Z tej okazji w Muzeum Historii Miasta odbyła się pierwsza część uroczystości, w której uczestniczyli: minister kultury i sztuki — **prof. Aleksander Krawczuk**, prezes ZG ZASP — **Kazimierz Dejmek**, prezydent miasta — **Jarosław Pietrzyk**, sekretarz KŁ PZPR — **Grzegorz Misiewicz**, przedstawiciele stronnictw, organizacji społecznych, politycznych, ludzie teatru, życia kulturalnego.

Przybyłych na uroczystości powitała dyrektor Wydziału Kultury i Sztuki UM, **Grażyna Wasilewska**, po czym głos zabrał m.in. A. Krawczuk. W swoim wystąpieniu wskazał na szczególnie istotną i — zdaniem ministra — bardzo mocną pozycję, jaką dziś zajmuje polski teatr. A. Krawczuk nawiązał do tradycji łódzi teatralnej i jej zasług w formowaniu kultury, podziękował też ludziom teatru za ich godny uznania wysiłek. Następnie sekretarz Ośrodka Polskiego Międzynarodowego Instytutu Teatralnego — **Andrzej Ziembiński** odczytał orędzie z okazji Międzynarodowego Dnia Teatru, w którym podkreśla się m.in. potrzebę stworzenia warunków do odrodzenia polskiego teatru, do wzmocnienia jego kondycji artystycznej i bytowej.

Najbardziej zasłużonym ludziom sceny wręczono Odznaki „Zasłużonego Działacza Kultury", Honorowe Odznaki m. Łodzi, Medale Schillerowskie oraz nagrody dyrektora Wydziału Kultury i Sztuki UMŁ. Wręczone zostały również doroczne nagrody za najciekawsze łódzkie spektakle i wybitne kreacje aktorskie:

Srebrne Łódki — za „Niebezpieczne związki" wystawione na scenie Teatru im. S. Jaracza w reż. **Bohdana Hussakowskiego** oraz za „Wesele Figara" wystawione na scenie Teatru Wielkiego w reż. **Adama Hanuszkiewicza.**

Srebrne Pierścienie przyznano: **Janowi Peszkowi** (nagroda specjalna) za całokształt działalności aktorskiej oraz **Zbigniewowi Bielskiemu** z Teatru im. S. Jaracza za rolę w „Kapeluszu pełnym deszczu" i „Czarnej dziurze".

Nagrodę „Głosu Robotniczego" za najlepszy debiut aktorski otrzymał **Zbigniew Suszyński** z Teatru im. S. Jaracza, natomiast nagrodę czytelników „GR" — Teatr Wielki za „Błękitny zamek".

Wieczorem w Teatrze im. S. Jaracza odbyła się druga część uroczystości, na którą złożyły się wspomnienia 100-letniej tradycji tej sceny, odczytanie listu gratulacyjnego od sekretarza KC PZPR — **Mariana Stępnia** oraz dekoracja najbardziej zasłużonych ludzi teatru wysokimi odznaczeniami państwowymi. Krzyżem Komandorskim OOP udekorowano **Sabinę Nowicką**, Krzyżami Oficerskimi OOP — **Zygmunta Ciesielskiego** i **Bohdana Wróblewskiego**, a Krzyżami Kawalerskimi OOP — **Zofię Darlak-Ostrowską, Andrzeja Głoskowskiego, Andrzeja Herdera** i **Alicję Zomer-Kubicką.** Wręczono także Złote, Srebrne i Brązowe Krzyże Zasługi. (Pełną listę odznaczonych i wyróżnionych podamy w następnym numerze „Odgłosów").

Wieczór jubileuszowy zakończyło przedstawienie „Trans-Atlantyku" **W. Gombrowicza** w reż. **Mikołaja Grabowskiego.**

MARIAN ZDROJEWSKI

„Po co marzyć skoro można pracować"

— rozmowa z HENRYKIEM BISTĄ

— Wkraczając w życie zawodowe, jakie miał pan oczekiwania związane z aktorską profesją?

— Na egzaminie wstępnym do Szkoły Teatralnej w Warszawie przygotowałem dwa monologi: „Kordiana" i „Hamleta". To był repertuar szalenie mnie pociągający wtedy. Z konieczności przygotowałem także opowiadanie „Gruby i chudy", które miało zdradzać moje komediowe predyspozycje. Oczywiście do tej pozycji odnosiłem się z mniejszą atencją. Koronnymi pozostały monologi. Może zatem pani sobie wyobrazić, w jakim repertuarze widziałem swoją przyszłość zawodową. W szkole teatralnej bardzo szybko zrozumiałem, że tej „działki" nie będę „uprawiał". Uświadomili mi to wspaniali pedagodzy.

— Trudno się panu dziwić. Miał pan do czynienia z mistrzami sceny polskiej. Jest pan wychowankiem Jana Kreczmara, Aleksandra Zelwerowicza, Ryszardy Hanin, Aleksandra Bardiniego, Janiny Romanówny. Czego się pan od nich nauczył? Czy może pan wskazać konkretne przykłady?

— Mogę. Widzi pani, aktor to jest takie dziwne zwierzę, które ciągle „szuka postaci". Czasami nie może znaleźć pomysłu na zagranie roli i wtedy jest zupełnie bezbronny. Wykonuje jakąś „pracę umysłową" i okazuje się, że jest ona bez sensu (pan Bista przewrotnie uśmiecha się).

— Skąd u pana tyle dystansu do własnej pracy?

— A jakie jest powszechne wyobrażenie o pracy aktora? Kiedyś bardzo znakomity pan wyjaśnił mi na czym polega istota tego zawodu. Powiedział: „No co ci aktorzy takiego robią? Rano spotykają się na próbach — przecież to są zwyczajne spotkania towarzyskie. Wieczorem grają w spektaklu — to też dla nich sama przyjemność..." Nie przeszkadza mi taki pogląd. Niech nasza praca pozostanie za woalką tajemnicy. Wracając jednak do pani pytania. Będąc w sferze rozmyślań o roli, kiedy czuję się zupełnie bezbronny, nagle do głowy przychodzą bzdurne myśli. I proszę sobie wyobrazić, że w tym potoku przypomniała mi się pozornie błaha uwaga Janiny Romanówny, którą przekazała mi w czasie zajęć, trzydzieści lat temu. Uwagę bardzo pasującą do tej sytuacji. Nagle zrozumiałem jaki tropem poprowadzę postać.

— Czy w uprawianiu aktorstwa konieczne jest bogate doświadczenie życiowe?

— W jakimś sensie tak, ale bardzo trudno powiedzieć w jakim stopniu z niego korzystamy.

— A pan?

— Ja od doświadczeń życiowych chętnie uciekam. Wolę to, co jest w sferze imaginacji, wyczucia. Znacznie bardziej ufam swojej wyobraźni niż przeżyciom.

— Pański dorobek artystyczny jest imponujący. Ponad 80 ról filmowych, nie wspomnę już o tradycyjnym teatrze i teatrze telewizji. Stworzył pan mnóstwo interesujących kreacji. W świetle pańskiej wypowiedzi zaintrygowała mnie postać Towarzysza M. w „Scenach dziecięcych z życia prowincji" Tomasza Zygadły. Czy ta kreacja wywodzi się z pańskiej wyobraźni, czy może posiłkował się pan konkretnym wzorem osobowym, znanym z areny politycznych działań tamtego czasu?

— Dotknęła pani roli dość skomplikowanej.

— Dlaczego?

— Była to historia dotycząca zbyt bliskiego okresu, doświadczeń, które sam przeżyłem. Mam wyrobiony pogląd na temat tamtej rzeczywistości. Zależało mi na oddaniu prawdziwej atmosfery domu, w którym mieszkał Towarzysz M. Chciałem stworzyć wiarygodny portret człowieka. Człowieka, który ma określone przyzwyczajenia, upodobania, przywary, ma własny tok myślenia. Była to rola od początku do końca wymyślona przeze mnie. Uważałem, że wszystkie materiały przeczytane, zapożyczone wzorce mogą fałszywie zabrzmieć w filmie.

— Krytycy filmowi sugerują, że pański towarzysz M. jest odzwierciedleniem postawy Władysława Gomułki.

— To dość dziwny sposób patrzenia i dość dziwny sposób kojarzenia. Jeżeli nawet jest jakaś zbieżność, to za sprawą całkowitego i zupełnego przypadku. Nie studiowałem materiałów źródłowych przybliżających osobę Gomułki.

— Ile w pana aktorstwie jest szczytnego powołania, a ile prozy życia?

— Kiedyś wyobrażałem sobie, że aktor w życiu prywatnym powinien być szalenie dociekliwy i nieustannie obserwujący. Kiedy byłem młodym aktorem starałem się dokładnie obserwować otaczającą rzeczywistość, ludzi. Obserwowałem jak życie toczy się wokół mnie. Niewiele mogłem z tych obserwacji skorzystać. Spostrzeżenia wymykały się i coraz częściej dochodziłem do wniosku, że coś gubię, że nie potrafię patrzeć. Po latach twierdzę, że to badawcze przyglądanie się jest zbędne. Życie samo wpada w oko. Myślę, że w każdym z nas tkwi jakaś wrażliwość, która sprawia, że nagle zaczynamy coś postrzegać, odczuwać, że nad czymś się zastanawiamy, coś nas bulwersuje, że wydajemy oceny, sądy: pozytywne lub negatywne. Te wszystkie wrażenia nasz umysł rejestruje. Stany takie jak: zdenerwowanie, podniecenie, spokój wcale nie muszą wywodzić się z naszych doświadczeń, choć pamięć starannie je przechowuje. Aktor korzysta przede wszystkim z wyobraźni. Istota tego zawodu polega właśnie na niej.

— Wróćmy zatem do istoty aktorstwa, co w nim jest takiego, że pan poświęcił się tej profesji?

— Lubię swoją pracę. Każdy, kto uczciwie wykonuje swój zawód czyni to nie bez powodu. Obojętnie jakiego rodzaju jest to profesja. Aktorstwo także coś spełnia w konstrukcji, która zwie się krajem, życiem, stosunkami międzyludzkimi, historią. Zawsze pozostanie choćby maleńka cegiełka ludzkiego wysiłku i jest to coś, co podpiera, podtrzymuje na duchu. Chce się to robić dalej.

— Co pana najbardziej cieszy w pańskiej pracy?

— Człowiek, którego ciągle szukam, a który częstokroć jest bardzo mało precyzyjnie opisany w scenopisie. To szukanie jest fascynujące. Widzi pani, w zakamarkach duszy istnieje nieustanna tęsknota do ról jeszcze pełniejszych, jeszcze ciekawszych. Aktorstwo nigdy się nie kończy.

— Kogo jeszcze chciałby pan zagrać?

— Upodobania zmieniają się z biegiem lat. Jedno jest pewne, predestynowany jestem do grania ról charakterystycznych. Istnieje ogromna rozbieżność pomiędzy tym co by się chciało zagrać a otrzymanymi propozycjami. Często propozycje nie przystają do tęsknot.

— Jakie ma pan tęsknoty?

— W tej chwili?

— Tak.

— Chciałbym zagrać biednego, starego człowieka. Może lekko sarkastycznego, który żyje w skomplikowanym niedobrym świecie. To są marzenia na dziś... Któregoś dnia siedzieliśmy z kolegą i obydwaj zastanawialiśmy się, co moglibyśmy jeszcze zagrać? Szybko wyjaśniliśmy sobie, że za „Królem Lirem" żaden z nas już nie tęskni. Ciężki to repertuar. Tyle znakomitości zagrało tę rolę. Dlaczego mielibyśmy zrobić to gorzej? Inne role też nas nie nęcą. Wybór padł na starego, smutnego człowieka.

— Pan zdaje się ma komediowe upodobania?

— A kto powiedział, że stary smutny człowiek nie może być śmieszny? Przecież on sobie nie będzie z tego zdawał sprawy... Mówiąc jednak poważnie, nie mam marzeń aktorskich. Po co marzyć skoro można pracować. Uważam, że najwspanialsze są niespodzianki, które aktora spotykają. Nagle otrzymuje scenopis od reżysera, po przeczytaniu którego w lot rozumie dlaczego został obsadzony w tej roli. Wiadomo jak reżyser widzi daną postać przez mój pryzmat, ale w zestawieniu z innymi rolami. Cała radość dla aktora polega na tym, żeby inaczej zobaczył tę postać i żeby mógł przekonać reżysera o swojej racji. Wtedy zaczyna się nieoczekiwana, interesująca przygoda.

— Dziękuję za rozmowę.

IWONA NIEMIEC-ADAMSKA

PESTKI DYNI

Niedawno wpadł mi w ręce katalog wystawy „DARK CAVES, BRIGHT, VISIONS" — „Mroczne jaskinie, promienne wizje". Impreza miała miejsce dwa lata temu w Amerykańskim Muzeum Historii Naturalnej w Nowym Jorku. Zamiarem jej było udzielenie w miarę wyczerpującej odpowiedzi na pytania: jacy byliśmy 300 stuleci temu, w późnej epoce lodowej?, jakie były prawdziwe drogi naszej ewolucji? Zgromadzone przedmioty z kamienia i kości miały poinformować współczesnych o wszelkich aspektach życia codziennego, społecznego i duchowego naszych praszczurów; od sposobów oświetlenia jaskiń, poprzez obrzędy pogrzebowe do seksu, a nawet... pornografii!

Może najlepiej wyraził ideę całego przedsięwzięcia Jean Auel, autor trzech książek — bestsellerów: — „Wydawało się nam, że pochodzimy od brutalnych, mrukliwych dzikusów. A ja staram się powiedzieć: — Zaraz, chwileczkę, tych przodków nie musimy się wstydzić... Oto ludzie, którzy odkrywali swe twórcze zdolności".

Do niedawna jeszcze naukowcy uważali okres sprzed 35 tysięcy do 10 tysięcy lat „za mroczną epokę ludzkiej ewolucji" — dziś uważa się, że w późnej epoce lodowej dokonała się „eksplozja twórczych zdolności człowieka i że epoka ta była ni mniej ni więcej tylko kolebką ludzkiej kultury". Ludzie dokonali większego postępu technicznego i artystycznego w ciągu tych 250 stuleci — w okresie zwanym też górnym paleolitem — niż w ciągu poprzedzających 2 milionów lat, odkąd to po raz pierwszy zaczęto wytwarzać narzędzia kamienne i kościane.

A o kogo konkretnie chodzi? O człowieka z Cro-Magnon, na południu Francji. Ludzie kromaniońscy byli znacznie mniej krzepcy od Neandertalczyków, nie mieli tak muskularnej szyi i ramion, grubych kości, dużej czaszki i wałów nadczołowych. „Chociaż ich mózgi były niewiele większe od mózgów ludzi neandertalskich — mówi prof. Henry de Lumley z Paryskiego Narodowego Muzeum Historii Naturalnej — ich płaty czołowe, siedlisko rozumowania, były większe i bardziej rozwinięte, dzięki czemu zdolni byli do symbolicznego myślenia, adaptacji i inwencji". Nie ma dowodów na to, że ludzie neandertalscy żyli dłużej niż 40 lat, wiadomo natomiast, że niektórzy ludzie kromaniońscy dożywali lat 60 i więcej — żyli więc dostatecznie długo „by móc przekazać zgromadzoną wiedzę kilku pokoleniom".

A skąd się wzięli? Prawdopodobnie z Afryki południowej, gdzie dokonała się jakaś zdumiewająco korzystna mutacja gatunku i pewnie jakiś wynalazek techniczny, pozwalający „łatwiej żyć"... Ten pierwszy wynalazek pobudził mózg wynalazcy i uczynił go jeszcze bardziej pomysłowym. Po raz pierwszy w historii życia na Ziemi kultura wsparła biologię, stając się impulsem ewolucji i stopniowo zaczął się wyłaniać **nowy typ człowieka...** Ci właśnie ludzie tworzyli sztukę, malowali freski w grotach Lasceaux...

Ciekawe, że badacze znaleźli niewiele wskazówek świadczących o walkach, jakie toczyły ze sobą grupy rodowe w późnej epoce lodowej. Gwałtowne konflikty pojawiły się dopiero później, kiedy człowiek, około 8 tysięcy lat temu, zaczął budować stałe siedziby związane z uprawianiem roli i kiedy zaczął uważać ziemię, na której mieszkał, za swoją własność. W tym czasie Kromaniończycy zamieszkiwali już całą Europę, Azję a także Nowy Świat. Z czasem dali oni początek Gallom, Celtom, ludom Mezopotamii oraz innym plemionom, które utworzyły wielkie cywilizacje i walczyły ze sobą przez całe wieki... Ale i oni, i my, właśnie od ludzi z Cro-Magnon otrzymaliśmy to, co pozostaje w nas najlepsze — język, sztukę, poczucie przynależności społecznej i życie umysłowe...

ANDRZEJ GRUN

III albo XXIV?

HENRYK PUSTKOWSKI

Dwa pracowite dni 2 i 3 marca nie zakończyły jeszcze Zjazdu ZLP. Nie zakończyły, bowiem pod koniec kwietnia delegaci raz jeszcze się zbiorą, aby przedyskutować i uchwalić nowy statut ZLP. Skąd się zaś wziął znak zapytania w tytule? Obrady — po rytualnym przywitaniu delegatów i gości przez **W. Żukrowskiego** i powołaniu prezydium Zjazdu — rozpoczęły się od przyjęcia wniosku **M Rusinka**, aby (skoro wszyscy deklarujemy ciągłość pisarskiej organizacji) III Zjazd „przemianować" na XXIV. Przyjęto ten wniosek niemal jednomyślnie, refleksje i wątpliwości zrodziły się trochę później — już w czasie dyskusji. Owa magicznie przywołana ciągłość ZLP nie przesłoni przecież faktu, że był on w stanie wojennym rozwiązany (potrzebnie czy niepotrzebnie — o tym dziś jeszcze należałoby pomówić). Pisarze nie zrzeszeni w ZLP nadto, którzy lada dzień (miejmy nadzieję) powołają swoje stowarzyszenie już wcześniej zarzucali nam, że przywłaszczyliśmy sobie i nazwę związku, jego dobra, teraz zaś zrobiliśmy zamach jednostronny na wspólną tradycję związkową. Oczywiście mogliby to wszystko powiedzieć w sali NOT gdzie Zjazd się odbywał, ale nie powiedzieli, nikt z zaproszonych pisarzy z tzw. opozycji z tego zaproszenia nie skorzystał. Cóż. Myślę, że i tak połączą nas wspólne sprawy przesłaniające zapewne podziały ideowe i towarzyskie: dramatyczna wizja naszej kultury, losów literatury współczesnej — przede wszystkim. W dyskusji bowiem — co poświadczyła też Uchwała Zjazdu — przewijał się ów temat w wielu wystąpieniach. Już nie przysłowiowe socjalne problemy środowiska pisarskiego wyznaczały najważniejszy „tenor" obrad, ale niepokój powodowany komercjalizacją wydawnictw, ograniczenie puli papieru (nb. papier ten trafia na wolny rynek i jest „podkupywany" przez wydawnictwa prywatne raczące nas trzeciorzędną literaturą), wzrastającą ceną książek, zanikaniem „deficytowych" gatunków literackich (eseju i krytyki literackiej). Jedynym optymistą na sali był chyba minister **A. Krawczuk**, który twierdził, że kondycja literatury współczesnej jest niezła. Z wielu uchwał i wniosków chciałbym przypomnieć te choćby, że należy szanować osobę pisarza, jego poglądy i prawo do wolności słowa (stąd obrona Havla i Rushdiego), prawo do pełnej spuścizny kulturowej (sprawa materiałów Ossolineum znajdujących się we Lwowie), padł także wniosek o rewizję procesu Z. Najdera.

A potem rozpoczęły się wybory. Niezmordowany **K. Frejdlich** co chwila przynosił komunikaty z placu broni, przewidywał, w jakich grupach możemy upatrywać sojuszników w walce o nasze „terenowe" (a zatem i łódzkie) interesy, paktował z Krakowem i Poznaniem, a nawet przeniknął do szeregów Warszawy. Było to chyba skuteczne, bowiem wróciliśmy ze zjazdu z tarczą, a przynajmniej połową tarczy. W Zarządzie Głównym ZLP znaleźli się **K. Stryjski** oraz **W. Jażdżyński**, zaś w Głównej Komisji Rewizyjnej **T. Giegier**. Trzech głosów brakowało, aby jeden jeszcze przedstawiciel Łodzi znalazł się w nowym Zarządzie Głównym. Przypomnijmy jeszcze, jak ukonstytuowały się władze ZLP nowej kadencji. Prezesem został ponownie **W. Żukrowski (L. Bartelski** oraz **P. Kuncewicz** zrzekli się swych kontrkandydatur na rzecz W. Żukrowskiego). Wiceprezesami ZG ZLP zostali **L. Bartelski, J. Jesionowski, Z. Wójcik**, sekretarzem **A. Bukowska**, skarbnikiem **J. Szczawiński.**

Delegaci łódzcy brali aktywny udział w najważniejszych komisjach zjazdowych, znajdzie się też zapewne miejsce dla przedstawicieli naszego środowiska w komisjach ZG ZLP — kwalifikacyjnej, zagranicznej, stypendialnej czy socjalnej. Chciałoby się powiedzieć, zjazd, zjazd i po zjeździe, ale — o czym pisałem wcześniej — zjazd jeszcze się nie zakończył. Nas tu wszakże — na miejscu — czeka codzienna, uparta i nie zawsze wdzięczna walka o potwierdzenie swojej obecności kulturo- i opiniotwórczej w Łodzi.

Masz własny pomysł na spędzenie czasu za granicami kraju, lubisz ryzyko, skorzystaj z oferty i wybierz kraj, który chcesz odwiedzić, reszta będzie w dużej mierze zależała od Ciebie.

Proponujemy trampingi między innymi do:
Indii, Peru, Tajlandii, Norwegii, Wielkiej Brytanii, Tunezji, Egiptu, Hiszpanii. 1320/k

Biuro Podróży i Turystyki ZSP
ODDZIAŁ W ŁODZI

Zgodnie z naszym zwyczajem w numerze świątecznym prezentujemy fragmenty powieści, które czekają druku. Tym razem prezentujemy początek powieści JERZEGO URBANKIEWICZA traktującej o ludziach, którzy przebywali w łagrze w Workucie, za kręgiem polarnym. Powieść oparta jest na motywach autobiograficznych autora, który przez wiele lat przebywał w łagrze w Workucie.

W ciągu najbliższego miesiąca rozpoczniemy druk obszernych fragmentów tej powieści. Jej tytuł pochodzi od redakcji.

Workuta – ziemia zapomniana przez Boga

JERZY URBANKIEWICZ

Z pobielonej odblaskiem śniegu nocy wyłoniły się dzwonienia kociołków, poprzedzające kolumny czarnych ludzi. Szli spiesznie, wzniecając tumany suchego, szybko opadającego śniegu i wygniatając ścieżki. Wszystkie ścieżki wiodą do kuchni. Zagapił się Żorka na niespokojne światła zorzy polarnej i wyobraził sobie widziany stamtąd świat jako wielką białą przestrzeń ujętą w kwadraty kolczastych ogrodzeń, po środku każdego kwadratu — zatajona w zaspie kuchnia i gwiaździście biegnące ku niej ścieżki. Po każdej ścieżce idzie gęsiego brygada katorżników.

Rozpoznał ich z daleka, poprzez mrok. Przodem kuśtykał dziesiętnik Galiński. Wzrostem się odróżniał i niepełną sprawnością nóg. Tuż za nim Dubowkin. Szturchał kijaszkiem w kopki śnieg, drugą ręką jak skrzydłem łowił powietrze lub spodziewaną przeszkodę. To ślepota przywiodła go tutaj i łakomstwo na rybę kilkę. W kolejce stał po nią, drobniuśką, a od cerkiewnej wieży poleciały kruki-wrony. Spojrzał słabnącymi oczami i w dobrej wierze, myśląc, że to samoloty, skomentował:

— Lecą stalinowskie sokoły, lecą...

I już tej kilki nie kupił.

Człapał dalej asenizator Łysak. Zawsze człapał w pobliżu kuchni i wychodka, jakby demonstrując banalną prawdę o wewnętrznym związku jednego z drugim. O półtorej głowy górował nad nim Dryja, o półtorej głowy okrytej śmieszną, nietypową uszanką. Wszyscy go znali, bo pisał numery w czasie odprawy. A teraz — bezużytecznie wtykał kijek w śnieg, szukając punktu oporu, a gówno go mógł znaleźć, skoro tyle napadało. Skubany pan kurcze... Szedł cały ich rządek. A najgorzej było temu, co się nazywał Jendrykauskas, bo miał cienko zakończoną protezę zamiast nogi i można było skonać ze śmiechu, jak za każdym krokiem wyciągał ją z samej głębi.

Śledził Żorka ich niezgrabny marsz aż do samej sztolni, licząc na radochę, kiedy na tych swoich laskach i protezach powywalają się do dziury. Ale Galiński czuwał. Ale Żorka i tak miał swój ubaw, bo kiedy Galiński się zatrzymał, Dubowkin wpadł z rozpędu na jego plecy, w Dubowkina wparł się głową Łysak i tak dalej. A Galiński stał wobec konieczności podjęcia decyzji.

Ułatwił mu je wyłażący z otworu górnik.

— Na dupie, dziadku, na dupie!

Trafiło to do przekonania dziesiętnikowi, bo poddanym jego pieczy inwalidom wyjaśnił sentencjonalnie:

— Jeżeli masz się przewrócić, to lepiej usiądź...

Przysiadł na skraju otworu, schował za pazuchę fińską strużkę, zawierającą listę inwalidów, odepchnął się rękami i zjechał do rozdawalni.

— Brawo, dziadku — cieszyli się górnicy z kolejki.

— Popatrz, jaki zuch. Jakby mu dać babcię, to by jeszcze lepiej się przejechał.

Nie odpowiadał. Czuł, że wulgarny sposób dotarcia do okienka nadwątlił jego godność, nie chciał więc ryzykować słów, które by czyjakolwiek uwagę dłużej na nim koncentrowały. Poza tym — jego zadanie w tej sionce pachnącej kaszą i olejem było inne. Galiński wyjął gont zza pazuchy, położył go na podokienniku, wsunął głowę w okienko i zaanonsował:

— Brygada inwalidów!

I od razu się nie udało, bo go ktoś odtrącił, ktoś, kto pewniej stał na nogach, sam wepchnął głowę do środka i przymilnie, szczerząc zęby (bodaj ci powypadały), powitał starszego kuchni:

— Sie masz, Miszka. Inwalidzi mogą poczekać, nie? A teraz — brygada Bielajewa. Jeden piąty kocioł, dwa czwarte, sześć trzecich i dwa karne.

— Te karne — Galiński kpina łagodził porażkę — to pewnie dla dziesiętnika i zastępcy...

— A co, stary? Zły, że trzeba czekać. Inwalidzi mają czas.

— Poczekaj, gówniarzu. I ty będziesz inwalidą, wtedy zobaczysz, na co inwalidzie czas potrzebny.

Jemu, Galińskiemu był w tej chwili potrzebny, by zaspokoić głód narosły od ostatniej kruszyny chleba przełkniętej wczoraj, swój głód i innych inwalidów. Zajął pozycję przy drugim okienku, a szedł tam świadom, że działa jak komik z filmu niemego, który przeskakuje z kolejki do kolejki, a widownia ryczy ze śmiechu.

Wśród tych co się gromolili, by stanąć na nogach i odzyskać równowagę, pojawił się jeszcze jeden element komizmu — uszanka Dryi. A więc i Dryja. Szanse rosły. Dwóch trudniej odtrącić niż jednego.

— Sie masz Bielajew. Jak sprawy?

— Jak u Polaka. U kogo pyta taka, ten pan.

Kilku zarechotało. Dowcip stary, powtarzany do znudzenia, ale obecność Galińskiego i Dryi wzmagała jego śmieszność. Galińskiego, bo dziesiętnik, a do tego brygady inwalidów, Dryi, bo choć ubrany w waciak trzeciego stopnia zużycia, choć śmieszący otoczenie uszanką, której uszy sterczały komicznie, choć obuty w gałganiane burki, nie umiał ukryć „pańskości" rysów, figury, ruchów. Stary facecjonista Kariew-Kronsztacki zauważył kiedyś: „Dryja tak się, kurwa, zabiera do bicia pluskiew, jakby miał poćwiartować homara". Nikt oczywiście dowcipu oprócz Dryi nie zrozumiał, a Kronsztackiemu zostało to i owo w pamięci sprzed rewolucji.

Tym razem od drugiego okienka odepchnął Galińskiego Czernow.

— Że też ty, dziadku, zawsze się tu wpieprzasz, kiedy ludzie śpieszą się do pracy. Na odprawę z kuternogami idziesz, czy co? Brygada Czernowa.

— Przyjdzie czas, dziesiętniku, że sam zostaniesz kuternogą. Chyba że ci się nie uda i w drewnianym paltociku schowają cię pod mech. A jeśli nie schowają, to masz u mnie miejsce gównowoza. A co do odprawy, to Dryja też musi zdążyć na odprawę, żeby ci, w razie czego, numer na świeżo napisać.

Dryja nie ujawniał radości z tego powodu, ale, jeśli przypomnienie jego funkcji mogło pomóc we wcześniejszym otrzymaniu śniadania, gotów był na przecenienie swojej służbowej wartości. Poza tym — akceptował krzepnięcie tej niezbyt oczywistej prawdy, że nie wolno od okienka odpędzać tych, którzy nie przedstawiają wartości przemysłowych.

— Brygada inwalidów!

Ale dziesiętnik Duchin okazał się silniejszy i lepiej uprawniony. A uwagi Galińskiego o przyszłości swoich gnatów puścił mimo uszu.

Żorka obojętnie patrzał, jak brygady znikają w dziurze, a pojedynczy górnicy z niej wyłażą, żonglując swoim krótkotrwałym szczęściem chlupiącym w kociołkach. Nadejdzie jego kolej. A na razie obciąga wokół siebie waciak, rusza palcami w gumiakach i próbuje zgłębić prawa i zwyczaje rządzące jego środowiskiem. Dręczy go problem, dlaczego kiedy jeden zaklnie „jobtwojumać", to wszyscy dokoła się boją. A kiedy drugi zrobi to samo, to mu mówią „przestań śląć..." Albo opieprzą, albo nawet w mordę dadzą. Czyżby to też była sprawa autorytetu?

Uwagę jego przykuło nowe zjawisko. Oto w polarnej nocy, nikle rozświetlonej zorzą, gwiazdami i bielą śniegu, zamajaczyło inne światło. Różowe, rozjarzające się i przygasające, ciepłe, parzące, budzące pragnienia: ktoś szedł i palił. Zapomniał Żorka o swoich planach, o autorytecie i o głodzie, a zapatrzył się w podskakujący w takt kroków ogieniek, coraz większy, coraz bliższy. Żorka

Rys. Rafał Cieciński

stanął mu na drodze i wypatrywał czegoś znajomego w sylwetce człowieka, który palił, w jego ruchach. Wraz z zapachem dymu przyszło odkrycie, że to Kola, sprzątacz z kadr.

— Sie masz, Kola... — zaczął Żorka, ale nie dokończył, bo ogieniek jakby wyrwał się spod białego numeru widocznego na daszku uszanki, zatoczył krwawą, bolesną linię i padł sycząc w śnieg. Rzucił się Żorka w tę stronę, wypatrzył ostatnią, tlejącą się iskierkę, wychwycił ją zręcznie z topniejącego w dłoni puchu, ujął wargami i, zachłannie ciągnąc powietrze, uchronił przez chwilę od zgaśnięcia, rozjarzył i zapełnił płuca dymem. Ciągnął aż do sparzenia palców, póki na wardze nie został flaczek mokrej gazety. Wypluł. Przez mgnienie oka, przez błysk żaru był szczęśliwy. Uczuł rozkoszny zawrót głowy i pewność, że czegoś dokonał.

— Ścierwo Kola... — pomyślał mściwie — mógł przecież oddać. A on rzucił. Ssssuka. Poczekaj. Jeszcze odzyskam autorytet i na moje życzenie włożysz rękę do kibla.

A Kola, z nieustającą muzyką brzęczących kociołków, wcisnął się do okienka, pomiędzy Galińskiego i Duchina, wsunął rękę z naczyniami do wnętrza i dobitnie zaanonsował, że to dla Wani Konina. Dla Wani Konina! Wania Konin — małowyrokowy, bez pięćdziesiątego ósmego, z funkcji — kadrowiec. Z kadrowcem nikt rozsądny nie zadziera. Kadrowiec ma autorytet. Może więcej niż naczelnik dyscyplinarny. Przy okienku zmieniła się skala wartości. Duchin spokorniał. Galiński ponuro obserwował swobodę i pewność siebie, z jaką sobie poczyna Kola. „Fagas" — przeszło mu przez głowę, ale milczał, bo tu każda złośliwość mogła wrócić dolegliwością. Ku jego zdziwieniu Dryja zdawał się bawić widowiskiem, w którym łagierny blat był motorem wydarzeń, a Kola jaśniał w blasku cudzej potęgi.

— Pewna moja znajoma — wyjaśniał Dryja — zbijała kapitał towarzyski, chwaląc się przyjaźnią z hrabiną Szczebrzeszyńską. „Powiedziałam do niej: Różo, kochanie..."

Galiński docenił dowcip, ale nie miał czasu na bawienie się jego puentą, bo prowadząc grę, jaką prowadził, musiał mieć oko na wszystko, co się działo, a właśnie coś się działo u sztolni. Coś czarnobrudnego ruszało się niemrawo, przepoczwarzało z magmy w kształt niemal ludzki, aż stało się Łysakiem. Ale strona estetyczna przemiany nie miała w danej chwili znaczenia. Liczba była ważna! Bo razem z nim Galiński i Dryja stanowili siłę, zdolną zablokować dostęp do jednego z okienek. I zablokowali.

Ale nie tak się wszystko odbyło, jak sobie brygadzista inwalidów wyobrażał.

Już wyłożył swoją kancelaryjną strużkę, już wydobył ogryzek ołówka, już powiedział: „A więc tak...", kiedy od dołu — nie od tyłu, a od dołu, pomiędzy wyświechtany przód jego waciaka a skraj podokiennika wdarł się Żorka. Środek zastawił kociołkami, oburącz wczepił się w ramy, z umocnionej w ten sposób pozycji odtrącił zaskoczonych inwalidów i zakrzyczał najgrubszym głosem na jaki potrafił się zdobyć:

— Tu! Żreć! Dla mnie! Zrozumiano?!

Z tamtej strony ustał wszelki ruch właściwy tej grupie. Ktoś wezwał Miszkę Ajachana. Miszka wytarł ręce o fartuch, zbliżył się nieco do okienka i swoim perskim akcentem perswadował:

— Słuchaj, gołąbku, idź ty nachuj, jasne? Ja ciebie tego już mówił, nie?

— Nie dasz?! — agresywnie basował Żorka.

— Nie dam! — Miszka spokojnie i z przekonaniem.

I wtedy stało się to, czym Żorka żył od paru dni. Błyskawicznymi ruchami rąk wydobył skądś gwoździa i kamień, wywalił język i kilkoma uderzeniami przybił go sobie do podokiennika.

Zrobiło się cicho i wszyscy zastygli w bezruchu, wpatrzeni w język Żorki. Krew płynęła rozlewającą się plamą, a potem małymi strużkami poczęła wnikać w resztki kaszy, plamiące tu i ówdzie podokiennik, tworząc surrealistyczną kompozycję w tonacji szaroczerwonej. Żaden artysta nie wpadł na to! Żorka, choć mu łzy płynęły z oczu, to ich nie spuszczał z Ajachana. W jego gardle warczało dźwiękiem nieartykułowanym, ale zadziornością dokładnie przypominającym ostatnie Żorki pytanie: „Nie dasz?" — i wszyscy je rozumieli.

Zanim komisja polsko-radziecka historyków zakończy pracę.

Gdzie zaginęli oficerowie polscy?

WITOLD BOROWY

Na terenie Związku Radzieckiego było wiele obozów dla internowanych polskich żołnierzy, ale szczególną sławę zdobyły trzy obozy: w Kozielsku, Starobielsku i Ostaszkowie. Stało się tak dlatego, że internowani w tych obozach we wrześniu 1939 roku polscy oficerowie, policjanci, żołnierze Korpusu Ochrony Pogranicza, sędziowie nie odnaleźli się po lipcu 1941 roku, 30 lipca 1941 roku zawarty został układ między gen. Władysławem Sikorskim a Iwanem Majskim — ambasadorem ZSRR w Londynie. W Protokole Dodatkowym stwierdzono:

„Z chwilą przywrócenia stosunków dyplomatycznych, Rząd Związku Socjalistycznych Republik Rad udzieli amnestii wszystkim obywatelom polskim, którzy są obecnie pozbawieni swobody na terytorium Związku Socjalistycznych Republik Rad, bądź jako jeńcy wojenni, bądź z innych odpowiednich powodów".

14 sierpnia 1941 roku podpisano układ o tworzeniu armii polskiej w ZSRR. Z obozów internowanych, z łagrów, z różnych rejonów ZSRR zaczęli napływać Polacy z zamiarem wstąpienia do wojska polskiego. Oczekiwano, że przybędzie znaczny korpus oficerski, jako że według źródeł radzieckich na terenach dawnych Kresów Wschodnich internowano 181 000 żołnierzy polskich, w tym około 10 000 oficerów.

4 sierpnia 1941 roku z więzienia na Łubiance w Moskwie wyszedł gen. Władysław Anders. Od ppłk Zygmunta Berlinga i ppłk Piotra Dudzińskiego — którzy go odwiedzali po wypuszczeniu z więzienia — dowiedział się, że około 15 000 internowanych przebywało w obozach w Kozielsku, Starobielsku i Ostaszkowie. Los tych oficerów był nieznany.

W październiku 1940 roku w więzieniach moskiewskich na Łubiance i w Butyrkach Ławrientij Beria i Ł. Merkułow prowadzili rozmowy z grupą oficerów polskich. Byli wśród nich: płk Eustachy Gorczyński, podpułkownicy: Zygmunt Berling, Leon Bukojemski i Leon Tyszyński. Władze radzieckie prowadziły z nimi rozmowy na temat możliwości powołania w ZSRR polskiego wojska u boku Armii Czerwonej. Wtedy — jak później zrelacjonował to rtm. Józefowi Czapskiemu ppłk Zygmunt Berling – ten ostatni postawił warunek, że do oddziałów tych będą mogli wstąpić wszyscy polscy żołnierze bez względu na ich poglądy polityczne. Ł. Beria i Ł. Merkułow zgodzili się na to bez trudu.

— *A więc doskonale* – powiedział na to Zygmunt Berling — *mamy świetne kadry dla armii w obozach Starobielska i Kozielska.*

— *Nie, ci to nie* — wyrwało się Ł. Merkułowowi. — *Zrobiliśmy z nimi wielką pomyłkę.*

16.08.1941 roku odbyła się pierwsza konferencja gen. Władysława Andersa z przedstawicielami władz radzieckich. Konferencji tej przewodniczył gen. Aleksiej P. Panfiłow, a uczestniczył w niej gen. wojsk NKWD – Gieorgij S. Żukow. Na konferencji gen. Władysław Anders zapytał, jaką ilością żołnierzy i oficerów — będących internowanych w ZSRR — może rozporządzać po ich zwolnieniu z obozów i łagrów. W odpowiedzi usłyszał, że może liczyć na tysiąc oficerów i 20 tysięcy żołnierzy. Wówczas gen. Władysław Anders zapytał o internowanych w obozach w Kozielsku Starobielsku i Ostaszkowie. Zapowiedziano udzielenie odpowiedzi. Sytuacja taka powtórzyła się podczas pięciu następnych konferencji.

Wiosną 1940 roku — podczas, jak to wówczas określano, rozładowywania obozów — grupa około 400 oficerów z trzech wymienionych obozów przewieziona została do obozu Pawliszczew-Bor, a następnie do obozu w Griazowcu, gdzie przebywali oficerowie internowani na Litwie i Łotwie zabrani do ZSRR po przyłączeniu Litwy i Łotwy do Związku Radzieckiego. Oni opowiadali tak o rozładowywaniu obozów w Kozielsku, Starobielsku i Ostaszkowie i o tym, że wszelkie wieści o wywiezionych przepadły.

Wśród uwięzionych w Kozielsku i Starobielsku byli między innymi generałowie: Stanisław Bohaterewicz, Mieczysław Smorawiński, H. Minkiewicz, Jerzy Wołkowicki (nie zginął), L. Billewicz, Stanisław Haller, A. Kowalewski, K. Łukowski, Franciszek Sikorski, Konstanty Plisowski, L. Skierski i Piotr Skuratowicz. Gen. Władysław Sikorski przygotowując się do wznowienia stosunków dyplomatycznych z ZSRR, a wiedząc, że generałowie polscy są internowani w ZSRR, wielu z nich wyznaczył różne ważne funkcje, jak choćby gen. Stanisławowi Hallerowi i gen. Piotrowi Skuratowiczowi. Ale ci nigdy nie zgłosili się do służby, po swoje zadania. Nie zgłosił się nikt ze sztabu grupy wojsk dowodzonej we wrześniu 1939 roku przez gen. Władysława Andersa.

To oczekiwanie stawało się coraz bardziej męczące. Przypuszczano wówczas, że oficerowie ci są gdzieś w głębi Syberii, za kołem polarnym lub na wyspach Oceanu Lodowatego i wieść o amnestii i możliwości powrotu do polskiego wojska do nich nie dotarła. Przypuszczano też, że gdzieś z dala od Moskwy, jakieś lokalne władze, nieprzychylnie nastawione do Polaków, przytrzymują ich wbrew zarządzeniom. Z takimi pretensjami zwracano się do władz ZSRR. 27 września 1941 roku ambsador Polski w ZSRR prof. Stanisław Kot wręczył rządowi ZSRR notę, w której rząd polski upominał się o obywateli polskich jeszcze nie zwolnionych z obozów, więzień i przymusowej pracy. 14 października 1941 roku ambasador Stanisław Kot powiedział podczas spotkania z wiceministrem spraw zagranicznych Andriejem Wyszyńskim:

— *Mam nadzieję, że gdy gen. Sikorski przyjedzie, znajdzie on wszystkich swoich oficerów.*

— *Oddamy wam wszystkich ludzi, jakich mamy, ale nie możemy dać tych, których nie posiadamy* — powiedział na to Andriej Wyszyński.

Brak oficerów polskich w odradzającym się wojsku polskim tłumaczono też trudnościami komunikacyjnymi. Ale mijał czas i nikt się nie zgłaszał. Na punktach zbornych oficerowie przyjmujący zgłaszających się do wojska Polaków pytali, czy nie spotkali gdzieś oficerów, którzy na początku 1940 roku byli jeszcze internowani w Kozielsku, Starobielsku i Ostaszkowie. Odpowiedzi były negatywne. Poprzez wywiad podziemny w Polsce rozpytano, czy oficerowie ci, lub ich jakaś grupa, nie zjawili się u rodzin. Zbadano też, czy nie ma ich w obozach jenieckich w Niemczech. Wszystkie odpowiedzi były negatywne.

14 listopada 1941 roku ambasador Stanisław Kot dotarł z tą sprawą do Józefa Stalina, ale i ta wizyta nie dała rezultatu. 3 grudnia 1941 roku gen. Władysław Sikorski i gen. Władysław Anders spotkali się z Józefem Stalinem i Wiaczesławem Mołotowem i podczas rozmowy strona polska wróciła do sprawy zaginionych oficerów. Józef Stalin zapewnił wówczas, że *„rząd radziecki nie ma najmniejszych powodów, żeby zatrzymać choćby jednego Polaka".*

— *Chyba to niemożliwe* — powiedział Wiaczesław Mołotow — *aby w obozach przebywali wasi ludzie.*

— *To będzie załatwione* — dodał Józef Stalin. — *Specjalne zarządzenia zostaną wydane władzom wykonawczym, trzeba jednak zrozumieć, że prowadzimy wojnę.*

18 marca 1942 roku odbyła się rozmowa gen. Władysława Andersa i płk Leopolda Okulickiego z Józefem Stalinem. Wtedy to Józef Stalin wysunął hipotezę:

— *Być może, że znajdując się w obozach na terenach, które zajęli Niemcy, rozbiegli się...*

W toku zbierania materiałów wyłoniły się pewne hipotezy budowane wszakże na poszlakach, pogłoskach i plotkach, ale sprawę tę powinna wyjaśnić pracująca polsko-radziecka komisja historyków. Na wyniki jej pracy wszyscy oczekują z niecierpliwością.

■

KONFRONTACJE 88

Zaprasza:

w dniach 31.03 — 11.04.89

godziny seansów 9.00, 11.30, 14.00, 16.30, 19.00 w dniu prezentacji filmów „Ostatni cesarz" „Imperium Słońca" godziny seansów 8.00, 11.00 14.00, 17.00, 20.00.

OSTATNI CESARZ Anglia
(The last emperor)
reż. Bernardo Bertolucci
wyk. John Lone, Joan Chen, Peter O'Toole
Bestseller roku 1988. Fascynująca historia życia ostatniego władcy Chin.
9 Oscarów 88, 4 Złote Globusy 88,
Cezar 88 dla najlepszego filmu zagranicznego.

MIASTECZKO HIBISCUS Chiny
(Hibiscus town)
reż. Xie Jin
wyk. Liu Xiaoping, Jiang Wen
Losy ludzi z małego miasteczka, dla których idee Mao są przyczyną dramatów i tragedii w czasach „rewolucji kulturalnej".
Grand Prix na MFF Karlove Vary 88

FRANTIC USA
(Frantic)
reż. Roman Polański
wyk. Harrison Ford, Emmanuelle Seigner, Betty Buckley
Sensacyjna historia amerykańskiego chirurga, samotnie i desperacko poszukującego porwanej w Paryżu żony.

ŚWIAT NA UBOCZU Anglia
(A world apart)
reż Chris Menges
wyk Barbara Hershey, Jodhi May, Jeroen Krabbe
Dzieje białej dziennikarki i jej córki osadzone w realiach Afryki Południowej lat 60-tych opisane na podstawie autentycznych wydarzeń.
Wielka Nagroda Specjalna Jury, Nagroda Jury Ekumenicznego i nagrody za najlepsze role kobiece — MFF Cannes 88.

KOYAANISQATSI USA
reż. Godfrey Reggio
Film pełen rewelacyjnych efektów wizualnych i akustycznych. Obraz poświęcony przedstawieniu świata, a także temu, co człowiek z nim zrobił i jak na nim żyje.

DO ZOBACZENIA, CHŁOPCY
(Au revoir enfants) Francja-RFN
reż. Louis Malle
wyk. Gaspard Manesse, Raphael Feito
Film zainspirowany dramatycznymi wspomnieniami z dzieciństwa reżysera — o wojennej przyjaźni i rywalizacji chłopców z zakonnego internatu.
Nagroda „Złoty Lew" na MF Wenecja 87, 7 Cezarów 88, Europejska Nagroda Filmowa — Felix 88 za scenariusz.

ŁÓDŹ ul. ŻEROMSKIEGO 74/76 tel. 32-43-44

Z ŻYCZENIAMI ŚWIĄTECZNYMI

KINO PRZEDWIOŚNIE

WILLOW USA
reż. Ron Howard
wyk. Warwick Dawis, Joanne Whalley
Fantazja filmowa, jakiej jeszcze nie było. Mistrzowski popis zastosowania technicznych możliwości kina. Podróż do głębi wyobraźni, do ziemi mitów i magii...

KOMISARZ ZSRR
(Komissar)
reż. Aleksander Askoldow
wyk. Nonna Mordiukowa, Rołan Bykow, Wasyl Szukszyn
Kolejny, zrehabilitowany po 20 latach film, którego bohaterką jest kobieta dokonująca wyboru między obowiązkiem macierzyństwa a powinnością żołnierza — dowódcy.
„Srebrny Niedźwiedź" — MFF Berlin Zach. 88, Nagroda FIPRESCI, INTER-FILM i OCIC — MFF Berlin Zach. 88

IMPERIUM SŁOŃCA USA
(Empire of the sun)
reż. Steven Spielberg
wyk. Christian Bale, John Malkovich, Miranda Richardson
Szanghaj rok 1941 — okupacja japońska. Dramatyczna odyseja przetrwania chłopca podczas wielkiej ewakuacji ludności chińskiej i angielskiej.

UCZTA BABETTE Dania
(Babettes Gaestebud)
reż. Gabriel Axel
wyk. Stephane Audran, Jarl Kulle, Bibi Anderson
Ekranizacja powieści Karen Blixen („Pożegnanie z Afryką")
Uczta Babette, prawdziwe dzieło sztuki kulinarnej, inaczej niż w „Wielkim żarciu" godzi zgorzkniałych i skłóconych rybaków w małej wiosce.
Oscar 88 dla najlepszego filmu zagranicznego.

HANUSSEN Węgry
reż. Istvan Szabo
wyk. Klaus Maria Brandauer, Erland Josephson, Ewa Błaszczyk
Trzecia część trylogii I. Szabo („Mefisto", „Pułkownik Redl"). Historia słynnego jasnowidza fascynującego Europę, wciągniętego w rozgrywki polityczne w okresie dojścia do władzy Hitlera.

DOTKNIĘCI Polska
reż. Wiesław Saniewski
wyk. Piotr Fronczewski, Ewa Wiśniewska, Ewa Błaszczyk
Film zrealizowany na motywach opowiadania Andrzeja Kijowskiego „Oskarżony". Historia naukowca podejrzanego o zabójstwo psychicznie chorej żony.
Nagroda Dziennikarzy — FPFF Gdańsk—Gdynia 88.

17,021/g

kalkulatory firmy casio
z wyświetlaczem i drukarką

Zasilanie sieciowe i bateryjne.
Nowoczesne i niezawodne.
— 10-, 12-, 14- i 16-cyfrowe niezastąpione w działach finansowo-księgowych
— KALKULATORY INŻYNIERSKIE
Udzielamy 12-miesięcznej gwarancji, zapewniamy serwis pogwarancyjny.
Krótkie terminy do odbiorcy. Płatność przelew, inkaso, czek.
Nasz adres:
Przedsiębiorstwo Techniczno-Handlowe, Sp. z o.o.
ul. Słowackiego 189, 26-600 Radom
tel. 524-65: 527-80
teleks. 067645
460 K

BIURO PROJEKTÓW
Piątka
spółka z o.o.
telefon: 863876
94 035 ŁÓDŹ ul. Wróblewskiego 67/41
OFERUJE
swoje usługi w zakresie projektowania budowlano-instalacyjnego i technologicznego obiektów budownictwa ogólnego, przemysłowego i specjalnego. Prace projektowe wykonujemy w krótkich terminach i po cenach konkurencyjnych. 1321/k

casio
- Sumatory biurowe 10-, 12-, 14- i 16-pozycyjne z drukarką i wyświetlaczem optycznym
- Kalkulatory inżynierskie
- Kalkulatory biurowe 8-, 10-pozycyjne
- Kalkulatory kieszonkowe
- Maszyny elektroniczne do pisania
- OVERLOCKI przemysłowe i półprzemysłowe oraz maszyny kuśnierskie

OFERUJE

PRZEDSIĘBIORSTWO WIELOBRANŻOWE
„JAKRAN"
Radom, ul. Mariacka 4/6
tel. 248-31 tlx. 67 588 JAKRAN

jakran
818/k

Aby najszybciej sprzedać najtaniej kupić samochód
„TEXAPOL"
Spółka z o.o. biuro handlowe
TEL. 328-198, 814-076
1178-k

uwaga fotoamatorzy!
U NAS JUZ REFORMA
NAJTAŃSZE ODBITKI BARWNE W POLSCE NA PAPIERZE AGFA
Z filmów wywołanych u nas, przy zamówieniu po 1 sztuce z dobrych:
— małoobrazkowych, format 7 x 10 — idealny format do albumu — cena — 180 zł
— małoobrazkowych i pocket format 9 x 13 — cena 250 zł
— małoobrazkowych i zwojowych format 13 x 18 — cena 450 zł
TYLKO DLA BOGATYCH
Odbitki na papierze KODAKA — bardzo drogie — bardzo dobre.
Odbitki ze slajdów wykonywane techniką specjalną na papierze odwracalnym.
STUDIO FOTOGRAFICZNE AFP ZAPRASZA!
adres: 03—318 Warszawa — Bródno
ul. Ogińskiego 5a, tel. 11-50-95
00—545 Warszawa — Śródmieście
ul. Marszałkowska 72, tel. 28-32-29
PRACE MOŻNA RÓWNIEŻ NADSYŁAĆ POCZTĄ.
KUPIMY małe pawilony lub lokale sklepowe, własnościowe nadające się na punkty przyjęć w centrum miast wojewódzkich.
685/k

Masz temat dla reportera? Coś cię drażni, niepokoi, szlag cię trafia – podnieś słuchawkę i wykręć numer: 36-77-70

Poglądy, opinie i fakty przedstawiamy w relacji z reporterskiego dyżuru wyłącznie na odpowiedzialność Czytelników, którzy przekazali je nam telefonicznie. Rubryka ta funkcjonuje na zasadzie wzajemnego zaufania. Daje ona naszym Czytelnikom możliwość przekazania opinii publicznej spraw, które utrudniają im życie.

Na Twój telefon czekają redaktorzy:

23 marca — RYSZARD BINKOWSKI — godzina 10—15
30 marca — DARIUSZ DOROŻYŃSKI — godzina 10—15

RELACJA Z DYŻURU REPORTERSKIEGO Z 16 MARCA 1989 R.

Od 1975 roku **pani Teresa K.** czeka na mieszkanie spółdzielcze. Na razie wciąż mieszka razem z mężem i dzieckiem u matki, co ma oczywiście swoje dobre strony, ale... Wiadomo, każdy dziś woli „na swoim". Kiedy jednak to swoje mieszkanie otrzyma, nie wie. W **RSM „Polesie"** nikt bowiem pani Teresie K. nie chce zdradzić, członkowie zarejestrowani w którym roku otrzymują obecnie przydziały, z jakimi numerami... Odpowiedzi zawsze są wymijające.

Nasza Czytelniczka nie zamierza w ten sposób niczego sugerować, zastanawia się jednak, czy taka sytuacja nie może budzić podejrzeń, iż nie wszystko w spółdzielni dzieje się prawidłowo? Po co ta cała tajemnica? — pyta i uważa, że powinna zostać dokładnie poinformowana, gdyż ma do tego prawo.

W sprawie mieszkania zatelefonowała do nas też **pani Jadwiga K.**, choć jej kłopoty są zupełnie innej natury. Otóż były mąż pani Jadwigi wyprowadził się od niej w listopadzie 1987 roku, co w rok później skłoniło ją do złożenia w Urzędzie Dzielnicowym Łódź-Widzew wniosku o jego wymeldowanie. Wniosek został rozpatrzony pozytywnie, aliści po odwołaniu się byłego męża ten sam urząd unieważnił swoją decyzję i zameldowanie przywrócił. Jak to możliwe — zastanawia się Jadwiga K. — skoro były mąż od ponad roku już mieszka w całkiem innym mieszkaniu i to w dodatku ze swoją drugą żoną?

Pan Antoni W. pochodzi z poznańskiego, wychowany został tak, że przez całe życie miał szacunek dla pracy, porządku i czystości. Dlatego też od kiedy zamieszkał w Łodzi, nie potrafi zaakceptować panującego w naszym mieście brudu i nieładu. Przede wszystkim — mówi — w miejscach publicznych: na ulicach, w parkach, w bramach domów, w korytarzach. Co gorsza, milicja, choć powinna, w ogóle na to nie reaguje. Patrole udają, że nie widzą, jak pijak oddaje w bramie mocz, chuligan niszczy zieleń, czy ktoś inny zamiast do kosza wyrzuca niedopałek na chodnik. Przykładów można by zresztą podać więcej, ale nie o nie przecież chodzi, a — o zasadę, o to, by wszędzie było czysto, zaś odpowiedzialni za utrzymanie porządku rzeczywiście byli odpowiedzialni i karani, gdy zaniedbują swe obowiązki.

Podobne poglądy wyrażała jedna z mieszkanek bloku przy **ulicy Władysława Bytomskiej 9**, w którym to bloku po ubiegłorocznym malowaniu klatek schodowych nikt jeszcze nie zdążył posprzątać. Dozorczyni tłumaczy się, że jest ponoć chora, zaś interwencje w **PGM przy Wojska Polskiego** nie odnoszą żadnego skutku. Naszą Czytelniczkę nie mniej bulwersuje również fakt, iż w klatce schodowej światło pali się przez cały dzień, zaś koszty energii elektrycznej i gazu zużytego w pralni na X piętrze rozkłada się na wszystkich mieszkańców, a nie tylko na tych, którzy z tej pralni korzystają. Ona od lat nie korzysta, więc czuje się pokrzywdzona. I słusznie, tylko że znów administracja domu nie ma w tej sprawie nic do powiedzenia. A może by — proponuje nasza Czytelniczka — po prostu administrację zlikwidować, jeśli ta nic nie jest w stanie zrobić?

Kto wie, może rzeczywiście propozycja godna jest przemyślenia? Utrzymywanie pracowników, którzy niczego nie mogą, to też przecież zwykłe marnotrawstwo!

Zatelefonowali pracownicy **Rejonowej Biblioteki Publicznej nr 3 przy ulicy Stefana Przybyszewskiego** z dramatycznym pytaniem, jak mają żyć za pieniądze, które im się płaci. Pracownica z 5-letnim stażem pracy zarabia tam 29 tysięcy złotych, zaś kierowniczka — po 20 latach — 36 tysięcy. Rzecz nie dotyczy zresztą tylko tej jednej placówki, ale — wszystkich bibliotek, w których uposażenia są żenująco niskie.

Istotnie — jak żyć za taką pensję? jak utrzymać rodzinę? jak zachować poczucie godności i szacunku do wykonywanego zawodu? Robotnicy w przemyśle strajkują, bo też zarabiają mało. Ich zarobki są jednak nieporównywalnie większe, a szanse na wywalczenie podwyżek — jak dowodzą ostatnie strajki — stosunkowo duże, jakkolwiek nie są to wcale podwyżki aż tak znaczne jakich się domagano. Bibliotekarze nie zastrajkują. Bibliotekarze mogą co najwyżej zająć się czymś innym, z konieczności zmienić pracę. Źle by się stało, gdyby trzeba zamykać biblioteki z powodu braku personelu. A i do tego przecież może dojść.

Jak bumerang powraca znów **sprawa wiaty na przystanku MPK przy zbiegu ulic Zachodniej i Bolesława Limanowskiego**, o której już pisaliśmy. MPK zaproponowało, aby wiatę tę postawić w czynie społecznym. Idea słuszna, ale... Od samego początku, to jest od 3 już lat o wiatę proszą przede wszystkim okoliczni emeryci i renciści. To oni bowiem muszą czekać na tramwaj w deszczu, czy na wietrze, nie mając możliwości — ze względu na stan zdrowia, czasem kalectwo — schronić się gdzieś dalej, a potem dobiec szybko na przystanek, kiedy nadjedzie oczekiwany tramwaj. To oni najbardziej cierpią z powodu braku wiaty. Ale czy im właśnie godzi się proponować czyn społeczny?

Z telefonów, jakie ostatnio odebraliśmy, w tym także podczas czwartkowego dyżuru, bije jeszcze nikła nadzieja, że po niedawnej podwyżce cen biletów, MPK wygospodaruje jednak jakieś środki i rzeczoną wiatę w końcu ustawi. A może wystarczy rozejrzeć się dobrze po mieście i sprawdzić, czy wszystkie wiaty na przystankach MPK są rzeczywiście wykorzystywane? Może jakaś stoi na przystanku, którego już nie ma? A bywały takie przypadki.

Pani Krystyna P. zastanawia się, czy aby na pewno stać nas na to, aby szczeliny między płytami chodnikowymi wypełniać cementem, jak się to ostatnio często robi. Kiedyś wypełniano je piaskiem i wystarczyło. Dziś używa się cementu, a tymczasem wciąż mówi się o braku cementu na rynku, zaś minister Mieczysław Wilczek zapowiedział już ograniczenie jego produkcji.

I na koniec refleksja **pana Jerzego L.**, który czytając sprawozdania z dyżuru reportera przy redakcyjnym telefonie, zauważa, że nasi Czytelnicy dzwonią przede wszystkim w sprawach prywatnych, jednostkowych, często błahych, rzadko natomiast mówią o generaliach: złej organizacji pracy, nieuczciwości, nieudolności, marnotrawstwie. Martwią się głównie o siebie, o swoje rodziny, niewiele zaś zdaje się ich obchodzić los całego społeczeństwa, kraju.

Uwaga jest trafna. Mamy też świadomość, że na pewno nieraz ten, kto skarży się na złą pracę innych, sam być może wcale nie lepiej pracuje. Z tych jednostkowych, prywatnych, często błahych spraw wyłania się jednak obraz szerszy, co wielu Czytelników zapewne dostrzega. I o to też między innymi chodzi.

PAWEŁ TOMASZEWSKI

1 Pod prąd

Zabawa w chowanego

Wbrew temu, co się ostatnio słyszy z ust wielu speców od środków masowej komunikacji, Główny Urząd Kontroli Publikacji i Widowisk wcale nie cierpi na brak zajęcia, ani tym bardziej nie ma poczucia, że jest już niepotrzebny. Podobnie — urzędy okręgowe, które wprost dwoją się i troją, aby nie tylko nie dopuścić do zdrady jakiejś ważnej tajemnicy państwowej, ale również — aby z wielu artykułów wyeliminować pewne rzeczy, które większości społeczeństwa i tak są znane. Wystarczy bowiem wziąć do ręki dwie różne gazety, wydawane w dwóch różnych miastach, żeby przekonać się, że to, co w jednej jest dopuszczalne, w drugiej nie ma prawa egzystencji lub odwrotnie. I trudno doprawdy pojąć, z czego to wynika, ponieważ żadne racjonalne przesłanki za takim działaniem nie przemawiają.

Różnie też redakcje różnych pism radzą sobie w tej dziwnej i nienormalnej sytuacji. Jedne, jak „Konfrontacje", czy „Kurier Polski", nie bawią się w chowanego i kiedy cenzura czegoś napisać im nie pozwala, w miejsce „zdjętego" fragmentu, czy nawet całego artykułu wstawiają taki oto znak: [----]. Zaznaczają jednocześnie na jakiej podstawie to czynią. Inne, jak „Tygodnik Kulturalny", zamiast czterech kresek w nawiasie kwadratowym, drukują trzy kropki — w zwykłym, i każdy uważny czytelnik też już wie, o co chodzi. Jeszcze inne, a tych jest najwięcej, dyskretnie umawiają się z cenzurą, iż udawać będą, że ingerencji nie było, co stawia ich redaktorów naczelnych oraz autorów „pociętych" tekstów w wyjątkowo paskudnej sytuacji, ponieważ z lektury takiego artykułu często wynika, że piszący go dziennikarz jest ślepy, głuchy i niespełna rozumu, zaś jego szef głęboko okopał się w twierdzy ze zbrojonego betonu.

Oczywiście bywa i tak. Ale bywa też, że decyzji o zaznaczeniu ingerencji cenzury redaktor naczelny, nawet gdyby chciał, powziąć nie może, gdyż tzw. dysponent danej gazety rezerwuje sobie ten przywilej dla siebie i biada temu, kto chciałby go wyręczyć.

Proszę przy tym zwrócić uwagę, iż podając powyższe przykłady, ograniczyłem się jedynie do prasy niekatolickiej, a więc wydawanej przez rządzącą koalicję. „Kurier Polski" jest bowiem dziennikiem SD, „Tygodnik Kulturalny" firmuje ZSL, „Konfrontacje" zaś — Rada Krajowa PRON. I fakt ten sporo daje a przynajmniej powinien dawać do myślenia. Szczególnie tym, którzy, czy zaznaczać, czy nie, decydują.

Jeśli wolno mi przy tym wyrazić moje prywatne zdanie, to sądzę, iż utrzymywanie dalej takiego stanu rzeczy jest nie do przyjęcia i prawdopodobnie bliska jest już chwila, kiedy cztery kreski w nawiasie kwadratowym zagoszczą wreszcie także na łamach „Polityki", „Kultury" czy „Odgłosów". Nikt bowiem chyba nie uwierzy, że redakcje te nie mają żadnych kłopotów z cenzurą. I oby stało się to jak najszybciej.

Poruszając ten problem byłbym jednak niesprawiedliwy, gdybym milczeniem pominął fakt, że dzisiejsza cenzura jest zupełnie inna od tej sprzed dziesięciu, a nawet ośmiu lat, kiedy to wydawało się, że jest ona już tak liberalna, jak to tylko w socjalizmie możliwe. Na szczęście okazało się to złudzeniem i dziś napisać można naprawdę dużo więcej, niż w 1981 roku, co oczywiście wcale nie znaczy, że wszyscy dziennikarze w pełni z tego korzystają.

Ale mniejsza teraz o tych, którym „wewnętrzny cenzor", niczym tasiemiec w jelicie, na stałe zagnieździł się w mózgu i wyżera im z tekstów co smaczniejsze kąski. Bóg z nimi. I tak nic im już chyba nie pomoże. Warto natomiast, a nawet trzeba dbać o tych, którzy chcą, a nie zawsze mogą.

I tu pragnę dotknąć drugiej sprawy — w moim przekonaniu — wcale nie mniej ważnej od problemu cenzorskich nożyc. Chodzi mianowicie o tzw. skuteczność krytyki prasowej, lub — należałoby raczej powiedzieć — o jej nieskuteczność; zjawisko ostatnio dosyć powszechne i niepokojące.

Najkrócej mówiąc — krytykowani bardzo często w ogóle nie poczuwają się do obowiązku odpowiadania na przedstawione im publicznie zarzuty. Udają, że to nie o nich mowa, „biorą na przeczekanie", wreszcie — „wykręcają się sianem" i życie spokojnie toczy się dalej, jak gdyby nic ważnego się nie stało.

Są kraje, gdzie człowiek na stanowisku, przedsiębiorstwo, czy instytucja wzięta przez prasę „na muszkę" długo i drobiazgowo musi się tłumaczyć z każdego wysuniętego pod jej adresem zarzutu. Musi, ponieważ inaczej znaczyłoby to, że krytyka jest słuszna, a wtedy... przyszłość dla krytykowanego nie rysuje się zwykle zbyt różowo. U nas — nic z tych rzeczy. U nas „psy szczekają, a karawana idzie dalej". I co gorsza, często jest to marsz donikąd, na zupełne bezdroża, gdzie i wielbłądy i ludzie niepotrzebnie tracą siły.

Zjawisko to, jak widać, jest niczym innym, jak tylko odmianą dobrze znanej już skądinąd zabawy w chowanego, tyle że nie dziennikarz, a „bohater" jego artykułu się chowa. Rezultat, niestety, jest podobny, z tą wszakże różnicą, że zabawa toczy się na oczach tłumu, a jej uczestnicy, mimo wszystko, trochę więcej ryzykują.

JÓZEF RETMAN

2 Lewym okiem

Póki co...

Ogromnie dużo mówi się ostatnio o tym, że jesteśmy państwem nadopiekuńczym i praworządnym. Praworządność, przyznaje się tu i ówdzie, bywa czasem wypaczana. Ale nadopiekuńczość szerzy się i czyni z nas rozgrymaszonych pieszczochów. Słyszę to dokoła i myślę z goryczą — a i cóż to za opiekuńczość, cóż to za opiekun, który swych podopiecznych nie potrafi obronić przed tysiącem codziennych udręczeń, ani zapewnić mu elementarnych wygód, znanych powszechnie od dawna na całym świecie? Cóż to za opiekun, który nie potrafi nam zapewnić jako takich wygodnych i punktualnych dojazdów, jako tako czystych pomieszczeń publicznych, ani minimum leków ratujących zdrowie i życie? Ani uprzejmej i sprawnej administracji, ani najprostszych form zdrowego wypoczynku?

Całą tę jeremiadę można powtarzać na tysiące sposobów i słyszy się ją także ze wszystkich stron. Do tych wszystkich udręczeń doszło ostatnio w Łodzi jeszcze jedno, o którym także słyszę i czytam, a nie mogę się powstrzymać, aby swoich trzech groszy nie dorzucić. Myślę o zlikwidowaniu doręczania prenumerowanej prasy do mieszkań abonentów. To już wytarta i wyświechtana prawda, że na całym świecie wszędzie, a do niedawna także u nas, prasę się doręcza, czasem nawet dwa razy dziennie. W Łodzi przestano ją doręczać, bo za ciężko było listonoszom nosić paki czasopism. Absolutnie nie wątpię, że to jest ciężka praca. Uciążliwych prac jest na świecie dużo. Z przerażeniem myślę, że któregoś dnia śmieciarze powiedzą, że za ciężko im jest wozić śmieci, niech każdy je wywozi sam za miasto. A może jeszcze dołączą górnicy i powiedzą, że za ciężkie jest rąbanie węgla kilofem, że oni poprzestaną tylko na zamiataniu podziemnych korytarzy. Doręczycieli zwolniono z trudu dźwigania prasy, ale przecież ten trud przerzucono po prostu na barki tysięcy czytelników. To wcale nie jest takie proste dla ludzi — powiedzmy — mniej sprawnych, pójść raz na tydzień chociażby do przystanku odległego o pół kilometra, pchać się w niezmiernie zatłoczonym tramwaju albo w dwóch tramwajach, co daje w obie strony już cztery przejazdy, czyli co tydzień około setki złotych. Godzić się na jeszcze większe opóźnienie w czytaniu bieżącej prasy — czy to wszystko razem nie stanowi poważnej udręki? „Państwo opiekuńcze" a nawet „nadopiekuńcze" okazało się znowu opiekunem marniutkim.

A przy okazji — to przecież jest ze strony poczty złamanie umowy, zawartej z prenumeratorem. Już mniejsza o koszty wyliczalne, te niewyliczalne podałem wyżej. Na to wszystko naraziła mnie poczta zrywając zawartą ze mną umowę. Póki co zawieśmy może wobec tego wszystkiego ciągłe powtarzanie o nadopiekuńczości i praworządności. Póki co — do jednego i drugiego jeszcze nam trochę brakuje.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

3 Sport

W Radomiu zastrajkowali piłkarze

Sensacja goni sensację. Oto odnalazł się w RFN polski piłkarz Andrzej Rudy, który zaginął w Mediolanie. Oto w Radomiu zastrajkowali piłkarze. W „temacie strajki" doganiamy zgniły Zachód. Strajkuje u nas kto chce i może. Ostatnio zastrajkowali listonosze, a parę staruszek wypłakiwało oczy w oczekiwaniu na emeryturę. Myślałam, że nic mnie już zdziwić nie może, a tu proszę — strajk w drużynie Radomiaka. Najpierw zastrajkowali solidarnie wszyscy piłkarze, później w strajkowej decyzji wytrzymało siedmiu. Zaraz jednak zaczęli żałować za grzechy, bić się w piersi i prosić o przebaczenie.

Dobrze rozumiem prezesa Radomiaka, Jerzego Maja, gdy na ultimatum piłkarzy, że jeśli nie otrzymają obiecanych pieniędzy, to nie wyjdą na boisko, szczerze wykrzyknął:

— I dobrze! Nie wychodzcie!

Nie chce się im grać w piłkę — rozumowałam — to niech idą do pracy. Są przecież fikcyjnie zatrudnieni w radomskim „Radoskórze". Niech się wezmą do szycia butów. Przed wojną ponoć mówiono, że jak ktoś nie chce chodzić do szkoły, to pójdzie do szewca. Ale szyć buty też trzeba umieć. W tym miejscu zaczęłam mieć wątpliwości. Nie mam bowiem żadnej gwarancji, że słabi piłkarze zostaną dobrymi szewcami. W końcu wolę, żeby słabeusze nieudolnie kopali piłkę. Nikt mnie siłą na ich mecz nie zaciągnie i nic nie stracę. Ale może się stać, że fatalnie uszyte przez nich buty mnie przypadnie kupić, bo lepszych nie będzie. Przerażona taką wizją czekałam na dalszy rozwój wypadków.

Strajkujących zawieszono, ale oni trenowali. Zawieszenie w prawach zawodnika to nie wykluczenie z klubu, zawieszenie zawsze można odwiesić. Trzeba tylko wykazać skruchę, prezesa dobroczyńcę podjąć pod kolana — w historycznych filmach pokazują, jak się to robi — a może nawet rękę strudzoną rządzeniem ucałować i czekać łaski pańskiej, co na ostrym koniu jeździ. Strajkujący, którzy już nie strajkowali, a nawet tego bardzo żałowali, popadli w skrajną pokorę i jak tylko mogli demonstrowali dyscyplinę i posłuszeństwo. Trener Jerzy Leszczyński zrobił zawieszonym zawodnikom test wydolnościowy, zawieszeni mieli dobre wyniki. W Radomiaku wyraźnie coś drgnęło.

To drganie zauważyli, wniosek odpowiedni spisali oraz go do Zarządu Klubu Radomiak skierowali odpowiedni ludzie, którzy mają widzieć to, co widzieć trzeba. We wniosku tym stwierdzono, że jest lepiej, bo chłopaki dostali dobrą lekcję życia. Wiele zrozumieli, pojęli na czym polega ich błąd i będą się teraz starali grać, jak należy. Chłopaki sami takie wnioski też pisali, prosząc o zdjęcie z nich kary, czyli o odwieszenie.

Porzucmy na chwilę żartobliwie-ironiczny ton i popatrzmy na ten dziwny strajk z drugiej strony. Oto na początku sezonu powiada się młodym ludziom, że jak mecz wygrają — to otrzymają 800 000 złotych premii do podziału w drużynie. Jest to formalne zobowiązanie uczynione młodym ludziom przez ludzi dojrzałych, którzy tych młodych mają obowiązek wychowywać i być dla nich przykładem. Na początku drużyna dostaje premie, ale później gra coraz gorzej i premii nie dostaje. Nikt o to nie ma pretensji. Ale nadchodzi taki okres, gdy drużyna znów zaczyna wygrywać, a pieniędzy nie dostaje. Dlaczego? Nikt im tego nie wyjaśnia. Nagle w Radomiu wszyscy zamienili się w dżentelmenów, którzy o pieniądzach nie rozmawiają. Kilku młodych ludzi nie pojęło dżentelmeńskiej gry i zapytało o to, co ich zdaniem słusznie się należało. Przypadkowo chodziło o pieniądze.

Teraz będzie mała dygresja. Polacy kochają udawać. Udają więc, gdzie i kiedy mogą, że im nie chodzi o pieniądze, chociaż wszyscy wiedzą, że chodzi. Emigrują z powodów politycznych, a nie w poszukiwaniu „prawdziwych pieniędzy". Gdy przychodzi do nas rzemieślnik i pytamy go: ile będzie kosztowała naprawa czegoś tam? — odpowiada najczęściej, że do wójta nie pójdziemy i jakoś się dogadamy. A przecież chodzi o zapłatę za jego pracę. Gdy zwracamy się do artysty z jakimś zamówieniem, a ten powie: — za ile? — mamy mu to za złe. Naruszył umowę, według której mówienie o pieniądzach należnych za wykonaną pracę jest czymś wstydliwym. Strajkujący, którym głównie chodzi o podwyżki też ten powód ukrywają w morzu postulatów. Komu potrzebna jest ta hipokryzja? I na tym kończy się mała dygresja.

Młodzi chłopcy z Radomiaka powiadają, że pieniądze, które im się należą są śmieszne — jak dla kogo, bym rzekła — i już o nich dawno zapomnieli, ale nie chcą, aby nimi pomiatano, okłamywano ich i traktowano jak durniów. I tu mają rację.

Nie mam najlepszego mniemania o umiejętnościach naszych piłkarzy. Trener Jerzy Leszczyński nie ma też takiego mniemania o umiejętnościach niektórych piłkarzy z Radomiaka. Ale nawet jeśli są to niedouczeni piłkarze, to — po pierwsze — trzeba ich piłkarskiego rzemiosła nauczyć, po drugie — trzeba ich traktować poważnie, z zobowiązań wywiązywać się i wymagać tego, czego wymagać trzeba. Od nich, ale i od siebie. To też jest wychowanie.

W Radomiaku wszystko wróciło do normy. Zarząd Klubu zawiesił karę. Piłkarze wrócili na boisko. Czy ktoś wyciągnie jakąkolwiek naukę z tej smutnej i śmiesznej zarazem historyjki? I co z tą nauką zrobić?

BOGDA MADEJ

ANDRZEJ BRYCHT

Azyl polityczny

Część II

Starzy przyjaciele (8)

Pewnego dnia Jan Duch siedział w poczekalni Manpower Office, przygnębiony, ponieważ przed chwilą właśnie skończył rozmowę z panią Polweis, która mu powiedziała:

— Widział pan tego młodego człowieka, który przed chwilą wychodził z mojego biura?

— Widziałem. Znam go z widzenia.

— Otóż ten młody człowiek oświadczył mi, że Kanada nie powinna wpuszczać takich starych ludzi, jak pan. Co innego młody, dwudziestoletni mężczyzna, który ma życie przed sobą i wszystko może osiągnąć, a co innego gość pod czterdziestkę. Zastanawiał się, co też pan osiągnie w tym kraju, panie Duch. Na zrobienie majątku trochę za późno, na zdobycie poważnego, intratnego zawodu także. Wobec czego będzie pan obciążeniem dla rządu i podatników, będzie pan korzystał z zapomóg i innych rodzajów pomocy, podczas kiedy on będzie pracował i z jego podatków będą pana utrzymywać.

— To ja zaraz z nim to przedyskutuję — powiedział Duch i wybiegł, by złapać gnoja i strzelić mu w ryj. Niestety, po gówniarzu nie było już śladu. Wrócił więc, ale do biura pani Polweis wszedł już ktoś inny, więc musiał czekać aż będzie wolna.

Nagle podszedł do niego młody, szczupły facet, średniego wzrostu, w zgrabnych europejskich okularkach, lekko przyciemnianych, które harmonizowały z jego oliwkową cerą i czarnymi, krótkimi, zaczesanymi modnie do góry włosami.

— Panie Duch — powiedział energicznie — dlaczego pan nie przyszedł na spotkanie ze studentami SGPiS w Warszawie w dniu dwunastym maja sześćdziesiątego ósmego roku?

Jan Duch wytrzeszczył oczy. Jakby jakieś sygnały spoza grobu... Esgiepis? Spotkanie ze studentami? Skąd się wziął ten facet?

Przyjrzał się dokładniej jego twarzy żeby sobie uprzytomnić, czy gościa kiedykolwiek spotkał. Wyglądało, że nie. Facet miał orli nos, szczupłą twarz, bystre czarne oczy. Duch pomyślał że to musi być jakiś Portugalczyk albo Hiszpan. I nie stąd ni zowąd zapytał:

— Przepraszam, czy pan jest Portugalczykiem?

Zupełny bezsens! Teraz tamten wytrzeszczył oczy. Mówił przecież po polsku! I Duch do niego po polsku. Skąd Portugalia?

Kiedy się jest myślami daleko, zdarzają się takie dziwolągi w zachowaniu.

— Nazywam się Harry Paszkowski — powiedział tamten i podał Duchowi rękę. — Co pan tu robi, panie Duch?

— Czekam na swoje dwadzieścia dolarów. Niedawno przyjechałem.

— Ja jestem z pomarcowej emigracji. Cieszę się, że pana tu spotykam.

— Wolałbym, żebyśmy się spotkali w Warszawie — rzekł Duch, dając do zrozumienia, że nie jest zachwycony życiem emigranta w Kanadzie.

— Rozumiem, że nie jest panu lekko. Wszyscy to przechodzimy. Ja już jestem wprowadzony w to życie, więc nie mam innych problemów, poza finansowymi. Zapraszam pana na piwo tu obok.

Duch załatwił swoją sprawę z panią Polweis. Uzbrojony w dwudziestkę, która miała mu wystarczyć na cały tydzień, gotów był stawić czoła Paszkowskiemu. Ale nie było to konieczne, tamten zapłacił. Jeszcze zabrał się z nimi niejaki Brzeźniak, wysoki powolny chłopak, który w Polsce studiował weterynarię i teraz starał się, by mu zaliczono trzy lata studiów. Niestety nie znał angielskiego, to była główna przeszkoda. A do tego trochę się jąkał. W szybkiej ocenie Ducha ten facet skazany był na niepowodzenie. Są takie typy nieudaczników, o których się wszystko wie od pierwszego spojrzenia.

Zanim powiem dalej o sprawie z Paszkowskim, skończę z Brzeźniakiem, żeby już do niego nie wracać, bo to postać poboczna. Otóż Duch się pomylił, ja zresztą też, bo poznawszy Brzeźniaka przewidywałem jego klęskę na całej linii. Ten facet nie potrafił nauczyć się słowa po angielsku! Kuł dniami i nocami jak najgorszy kujon ze szkoły, prowadzonej przez zakonnice — a mimo to nic mu nie wychodziło. Tak przynajmniej nam się zdawało. Mieszkał z żoną i małym dzieckiem w norze za kilka dolarów na tydzień, żona pracowała dorywczo, on sprzątał biura, pomywał naczynia w restauracjach i w tajemnicy przed wszystkimi robił postępy. Trwało to kilka lat. Zdał egzaminy, coś mu tam zaliczono, poszedł na studia i dokończył. Po pięciu latach prowadziłem z Toronto do Londonu wypożyczoną ciężarówkę z jego skromnym dobytkiem — jako świeżo upieczony weterynarz dostał pracę w tym ładnym, uniwersyteckim mieście. Prywatna klinika zwierząt, bardzo dochodowa, Brzeźniak został asystentem właściciela. Po pewnym czasie stał się ulubieńcem klienteli. Kochał zwierzęta i to z miejsca rzucało się w oczy, a także dawało wyniki w leczeniu. Zwierzęta czują, kto jest dla nich dobry. I Brzeźniak, niewiele mówiący z powodu wciąż istniejącej zająkliwości, dokonywał cudów na tych chorych zwierzakach. A trzeba wiedzieć, że w Kanadzie mnóstwo ludzi trzyma w domu zwierzęta. Nie tylko psy i koty, choć tych jest najwięcej, ale także małpy, węże, czy szopy-pracze, widzi się na ulicy kaczkę, prowadzoną na szeleczkach, drepczącą przy nodze właściciela jak dobrze ułożony pies, słowem, bogaci ludzie, ludzie pozbawieni trosk bawią się w przyjaźń ze zwierzętami — rzecz ciekawa, że w Warszawie widzę na ulicach więcej psów, niż w Toronto. A więc stan materialny nie decyduje o posiadaniu zwierzaka. Jedyna różnica, to pamiątki, jakie te zwierzaki zostawiają na ulicach i w parkach. W Polsce co krok można wdepnąć w psią kupę. Piaskownice dla dzieci pewnie roją się od pasożytów. Zwierz, jak to zwierz, załatwi się i pójdzie, zadowolony polski właściciel też. Natomiast kanadyjski właściciel musi kupkę zabrać z ulicy. Biedniejsi noszą szufelki i plastikowe torebki, potem wyrzucają to do koszy na śmieci. Bogatsi mają specjalne urządzenie, przypominające laskę, zwane „pooper-scooper", czyli zgarniacz kaka, nie trzeba się schylać, tylko za pomocą cięgieł i sprężynek klapka na dole się otwiera, podrywamy skarb, klapa się zamyka i idziemy dalej. Skromny scooper kosztuje dwadzieścia dolarów, luksusowy sto, a w Nowym Jorku na Park Avenue widziałem panią ze scooperem ze złota wartości kilku tysięcy. Za panią, oczywiście, szły dwa potężne bodyguardy.

„To make long story short", czyli żeby zrobić długą historię w krótką, powiem tylko, że po kilkunastu latach pracy Brzeźniak otworzył piękną klinikę zwierząt, jest szanowanym obywatelem miasta London, ma znakomity dom za milion dolarów, wyjeżdża na wakacje trzy razy w roku, narty w Szwajcarii, gdzie postawił sobie dom w górach, wczesna zima na Florydzie lub na Martynice, późna zima na Hawajach, i tak dalej, i dalej. Jedyna rzecz, która mi się w milczącym i mile uśmiechniętym Brzeźniaku nie podoba, to ogromny złoty sygnet z herbem, który mu obciąża palec. Rozumiem że herb ma wskazywać na korzenie — ale korzenie Brzeźniaka to upór, pracowitość, uczciwość, miłość do zwierząt i świetne opanowanie zawodu. On nie potrzebuje innych korzeni, tych z almanachów gotajskich, bo Brzeźniaków tam nie znajdziemy. Obyśmy za to jak najwięcej Brzeźniaków spotykali w życiu.

Tak więc pomylił się Duch w ocenie tego człowieka. Ale młody człowiek, który powątpiewał w przyszłość Ducha w Kanadzie, i który zaczynał swój start w nowym kraju od zawistnego krytykowania innych, również się pomylił. Powiem o tym już tutaj, bo nie jest to powieść, trudno śledzić wątki w tej opowieści reporterskiej i Czytelnik zapomni jedną z wielu postaci w tekście wspomnianych. Otóż niespełna sześć lat później ten facet, nie potrafiący dać sobie rady w życiu, rozpił się, krążył po znajomych, brał udział w cotygodniowych przyjęciach, zwanych „party" i pewnego razu nad ranem wsiadł w samochód pijany, wpadł na latarnię i zginął na miejscu.

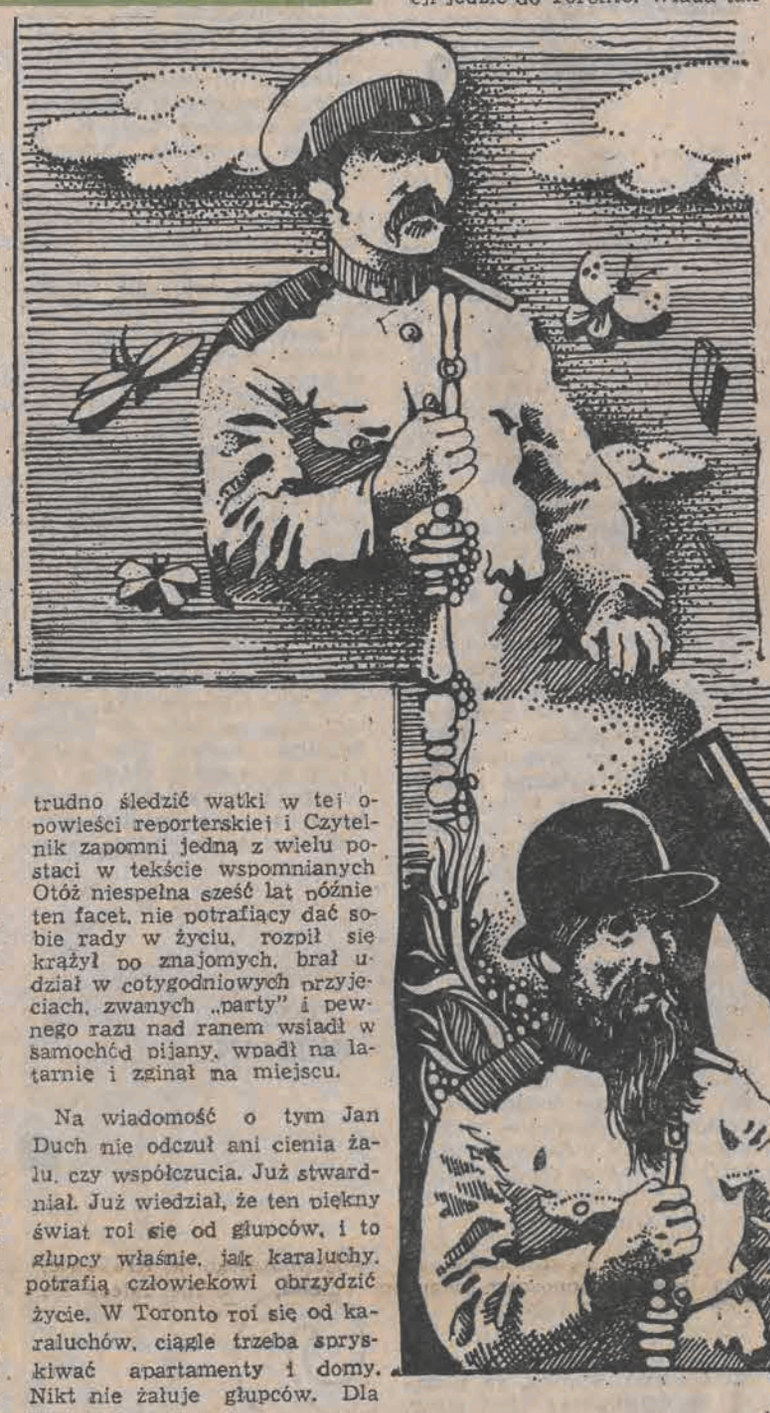

Na wiadomość o tym Jan Duch nie odczuł ani cienia żalu, czy współczucia. Już stwardniał. Już wiedział, że ten piękny świat roi się od głupców, i to głupcy właśnie, jak karaluchy, potrafią człowiekowi obrzydzić życie. W Toronto roi się od karaluchów, ciągle trzeba spryskiwać apartamenty i domy. Nikt nie żałuje głupców. Dla obu gatunków tych stworzeń w normalnym świecie nie ma litości.

Wróćmy do Paszkowskiego. Jego ojciec był zaraz po wojnie doradcą Bieruta. Potem, aż do emerytury zajmował stanowiska ministerialne, Matka była redaktorką partyjnego miesięcznika radzieckiego, ukazującego się w polskiej wersji językowej. Paszkowski wychowywał się w domu, w którym na każdym piętrze mieszkał jakiś generał, minister albo sekretarz partii. Synowie tych ludzi byli najbliższymi kolegami Paszkowskiego, niektórzy z nich dotąd się z nim przyjaźnią. Paszkowski patrzył na świat przez specjalne szkła. Należał do klasy uprzywilejowanej, do świata służbowych samochodów, sklepów za żółtymi firankami, wakacji na Krymie, do świata „wiecie, rozumiecie", „należy to wykonać, towarzyszu", „po linii i na bazie". Chodził do właściwej szkoły, do właściwego gimnazjum, spotykał się z właściwymi ludźmi. Przyszłość Paszkowskiego w układzie, jaki istniał do 56 roku była zapewniona. Gdyby nie meandry polityczne, spychające pojazd pełen aparatczyków z toru, ustawionego przez Stalina, Harry Paszkowski też pewnie dziś byłby ministrem. Albo dyrektorem wydawnictwa czy wytwórni filmowej. Stało się jednak inaczej. Harry Paszkowski nie musiał emigrować po marcu 68 roku, tak jak nie musiała emigrować ogromna większość z tych, którzy emigrowali. Ale sytuacja Harry'ego różniła się od sytuacji wielu ludzi z tamtych lat. Otóż ojciec, sprawujący władzę w Polsce, miał rodzonego brata, który sprawował władzę w Kanadzie. Nie, on nie był w rządzie, on po prostu miał pieniądze, dużo tych pieniędzy. Posiadał bowiem ogromną ilość budynków mieszkalnych, całe dzielnice. Były to porządne domy, każdy opatrzony nazwiskiem właściciela: „Grunberg". W kapitalizmie pieniądze to władza. To jest układ zdrowy. W Polsce władza to pieniądze i to jest układ niezdrowy. Popatrzmy: dwaj rodzeni bracia, z jednej matki, z jednego ojca, z jednej krwi. Jeden stuprocentowy komunista, trzyma władzę nad narodem polskim. Drugi stuprocentowy kapitalista, trzyma władzę nad społeczeństwem kanadyjskim. Młody Paszkowski w szkole uczy się marksizmu-leninizmu, po szkole czyta „Time" i paryską „Kulturę". Pija whisky. Na jeden miesiąc wakacji jedzie na Krym, na drugi miesiąc wakacji jedzie do Toronto. Włada tak samo dobrze polskim, rosyjskim i angielskim, którego nauczyła go w dzieciństwie bona. Czy widzimy teraz wyraźnie, jak rodziny mądrych, inteligentnych ludzi potrafią panować nad światem?

Różnice ideologiczne, ustrojowe to dla malutkich. Wy tam w dole, Polacy, Czesi, Węgrzy czy inne biedne diabły, harujcie w pocie czoła, dobywajcie węgiel i rudę żelaza, a my tu wam będziemy opracowywali raj na ziemi. Co nam szkodzi opracować wam raj na ziemi? Czy projektanci nie zarabiają najwięcej? A jeżeli się projekt nie uda i raj, niby kiepsko postawiony budynek zawali się i przygniecie realizatorów programu? Cóż, projektanci będą już daleko. U brata w Kanadzie, u mamy w Ameryce, u wujka w Anglii, u szwagra w Niemczech Zachodnich, u siostry w Szwecji, u kuzynów w Szwajcarii.

— Rozbiła się beczka z peklowanym Stalinem nad Europą Wschodnią — powiada Duch. — Ale czy Stalin powstał z nicości, z popiołu, ot tak sobie, jak deus ex machina? Czy mógłby zaistnieć, gdyby nie był potrzebny? Gdyby nie spełniał zapotrzebowania tych, którzy bez niego nie mogliby rozwinąć swojej działalności? Kto stworzył Stalina, jeśli nie ci, którzy chcieli dokonać bolesnego eksperymentu na ogromnym ciele narodu rosyjskiego? Eksperymentu, który w razie sukcesu dałby im nieograniczoną władzę nad tym narodem? Czy nie przypomina to działania wirusów grypy, atakujących ludzki organizm?

Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie. Wymaga to bowiem dokładnych badań, analiz. Najlepiej, jeśli zadania te przeprowadzą sami zainteresowani. Wystarczy przecież rekomendacja: sposób, w jaki rozprawiają się ze Stalinem. Rybakow, który napisał „Dzieci Arbatu", pisarz rosyjski pochodzenia żydowskiego, pobierał kiedyś wielkie literackie nagrody za prawomyślne, stalinowskie książki. Nawet nagrodę państwową. Gdyby Stalin żył po dziś dzień, ten Rybakow wziąłby pewnie najwyższe trofeum: nagrodę Stalina. Ale Stalin umarł i Rybakow pewnie poczuł się zawiedziony. Jest jednak człowiekiem inteligentnym i dokonuje gwałtownego zwrotu, leje wiadra pomyj i krwi na martwy łeb Stalina. Józef Stalin musiałby mieć mózg na miliard miliardów bitów, jak największy komputer, żeby móc kontrolować nieprawości, dokonywane w ciągu dziesięcioleci na ogromnych przestrzeniach Związku Radzieckiego, gdzie wszystkie prawie stanowiska politruków i tajniaków zajęte były przez element obcy, eksperymentujący. Sołżenicyn, który z taką uczciwością pokazał rzeczywistość łagrów, uczciwością w którą możemy tylko wierzyć, bo nie sposób jej zweryfikować, nabiera wody w usta, kiedy należałoby powiedzieć o tym podstawowym, najważniejszym problemie — o chorobie ogromnego, wielonarodowego organizmu, opanowanego przez wirusy, już nie grypy, ale czegoś, co było jakby prekursorem AIDS. Dobrze, że ten organizm znalazł jednak w sobie tyle siły, żeby wytworzyć przeciwciała i rozpocząć kontrofensywę. Ale to nie Stalin spowodował chorobę, to choroba stworzyła Stalina.

Harry Paszkowski mógł robić socjalizm w Polsce z taką samą łatwością, z jaką może robić miliony dolarów w Kanadzie. W końcu i to, i tamto — zwyczajny business. Musi się opłacać temu, kto go robi.

Na wiadomość, rozesłaną telefonicznie, że oto w mieszkaniu Harry'ego znajduje się słynny Jan Duch (czytaj: ten Duch, antysemita, przyjaciel Moczara), w ciągu następnej godziny zjawia się gromada młodych ludzi. Mieszkanie Paszkowskiego jest niewielkie, bo dopiero po latach dojdzie on do majątku, ale wszyscy plasują się jakoś, a to na podłodze, a to na komodzie, na parapetach — wygląda to wszystko jak przygotowanie do wieczoru autorskiego! Żona Paszkowskiego, wysoka i szczupła, i szalenie miła Węgierka, mówiąca dobrze po polsku, powiada do męża:

— Słuchaj, Harry, weź tych wszystkich Żydów i posadź ich na podłodze, bo mi zgniotą komodę i wypchną szyby...

W końcu jakoś się towarzystwo plasuje, wina i wódki oczywiście do diabła i ciut. Duch natychmiast proponuje, żeby mówić sobie po imieniu, koniec z tym „panie Janie to, panie Janie tamto", trudno jest zapamiętać te wszystkie kanadyjskie imiona, każdy teraz George, Jack, John, Steve, Art, Don, Marvin i Norman... Ale nazwiska wciąż swojskie: Koniecpolski — syn ministra budownictwa, Szatkowski — syn ministra pracy, Zamojski — syn generała wojsk wewnętrznych, Szczepański — syn wiceministra, Kolasa — syn innego generała, Kościelski — syn kierownika wydziału rolnego w KC, i tak dalej, i dalej: piętnastu facetów, a każdy z takiej rodziny, że można by tu z nimi od razu nowy rząd założyć i poprowadzić polską emigrację do świetlanej przyszłości. To właśnie ci faceci i ich koledzy z tak zwanej grupy „komandosów" zaczęli marcową rozróbę w 68 roku, żeby ułatwić ich odsuwanym od władzy rodzicom ponowne objęcie stanowisk. Obrzydliwa, grubymi nićmi szyta prowokacja politykierów stalinowskich, wciąż jeszcze wtedy stanowiących ponad połowę góry partyjnej i zajmujących większość stanowisk w rządzie i massmediach! Kiedy wywąchali, że przyszedł czas odejścia od steru, że dotąd gnębieni, uciskani w kazamatach i szantażowani „niewłaściwym pochodzeniem" ludzie, zjednoczeni w organizacjach kombatantów, domagają się rozrachunku z przeszłością i usunięcia winnych — wtedy wszyscy ci prominenci, kurczowo uczepieni koryta, podpuścili własną młodzież, żeby wyszła na ulicę, żeby wywołała zamieszki, które miały doprowadzić do zamachu stanu, usunięcia Gomułki, zneutralizowania grupy generała Moczara i do wprowadzenia reżimu na modłę absolutnie stalinowską. Posłużyli się w tym celu przedstawieniem „Dziadów" Mickiewicza, choć powinni zamówić sobie w tym celu inscenizację „Kupca weneckiego" Szekspira. To by bardziej pasowało merytorycznie.

Ponieśli klęskę. I oto teraz, znając doskonale rozmiary tej klęski i wiedząc że Jan Duch, który według wszelkiej logiki powinien siedzieć w Polsce i smakować owoce zwycięstwa, zjawił się po tej stronie w nieokreślonym celu — patrzą na tego potwora, uśmiechają się, przepijają brudzia i czekają na rozwój sytuacji.

C.D.N.

Rys. Dariusz Romanowicz